

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



2

(115) 2024

O Tarnopolu i Tarnopolanach piszą: Ewa Laskowska-Kusztal o prof. Kazimierzu Michałowskim ♦ Antoni Wilgusiewicz o Czesławie Blicharskim ♦ Karolina Grodziska o Adamie Przybosiu ♦ Józef Skrabski o kościele OO. Dominikanów ♦ Igor Megger o obrazie Matki Boskiej Tarnopolskiej

Teraz o Tarnopolu!

Z dużym opóźnieniem przekazujemy Państwu drugi numer kwartalnika „Cracovia Leopolis”. W poprzednim numerze wspominałem o naszych kłopotach finansowych. W efekcie odebrałem od Czytelników wiele telefonów wspierających nas i zagrzewających, by nie tracić nadziei i robić wszystko, by pismo mogło nadal się ukazywać. Podpowiadano podniesienie ceny prenumeraty, deklarowano dokonywanie wyższych wpłat (niektórzy już to uczynili – dziękujemy bardzo!) na rzecz pisma, dzielono się radami, gdzie i jak można pozyskiwać finanse. Bardzo dziękuję za każdy telefon, za każde dobre słowo wsparcia. Czujemy, że pismo jest Państwu potrzebne, że pisane przez naszych autorów teksty nie trafiają w próżnię.

Tematem numeru jest Tarnopol, miasto wojewódzkie w II RP – niezwykle ważne dla Kresów miejsce nie tylko pod względem administracyjnym. Na okładce zamieszczamy dawną fotografię bramy wiodącej na zamek w Tarnopolu, umieszczonej pomiędzy dwoma klasycystycznymi kamiennymi słupami-pylonami, w których znajdowały się furtki wejściowe na dziedziniec zamku. Na pylonach znajdowały się herby Potockich i Korytowskich – Ostoja i Mora oraz kule i głowy lwów. Prof. Joachim Śliwa, gdy rozmawialiśmy o pochodzącym z Tarnopola światowej sławy archeologu prof. Kazimierzu Michałowskim, zastanawiał się, czy widok tych pylonów nie mógł wpłynąć na jego zainteresowania archeologią klasyczną? O prof. Michałowskim pisze jego uczennica i kontynuatorka dzieła – prof. Ewa Łaskowska-Kusztal. Podejmując temat Tarnopola, trudno byłoby pominąć sylwetkę majora Czesława Blicharskiego. Wspomina go, a także swego tarnopolsko-nowohuckiego wuja Witolda Zielińskiego, Antoni Wilgusiewicz. O najpiękniejszej tarnopolskiej świątyni, kościele OO. Dominikanów, opowiada prof. Józef Skrabski, a o obrazie Matki Boskiej Różańcowej z tego kościoła, która znajduje się obecnie w Poznaniu, pisze Igor Megger – redaktor naczelny kresowego pisma „Głosy Podolan”. Teksty Karoliny Grodziskiej przybliżają nam sylwetkę Adama Przybosia, wieloletniego dyrektora Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Tarnopolu, oraz przypominają rzeźby aniołów-rycerzy lwowskiej rzeźbiarki Janiny Reichert z kościoła Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, który został wyburzony przez władze ZSRR w 1954 roku. O trudnym, ale interesującym okresie 1809–1815, w którym Rosjanie objęli władzę w Tarnopolu, pisze Karol Chlipalski, a Tomasz Dudek opowiada o działalności Armii Krajowej na Tarnopolszczyźnie.

Inne teksty w niniejszym numerze kwartalnika to wiersze Mariusza Olbromskiego i Franciszka Habera oraz fragment biograficznej książki Marka A. Koprowskiego *Bandera. Terrorysta, morderca, fanatyk*. O tej książce pisze też Tomasz Specyał. Interesujący tekst o książce *Galicja* Normana Daviesa napisał Michał Piekarski, który – tradycyjnie już – w ramach cyklu „Musica Leopolis” tym razem opowiada o uroczystości odsłonięcia tablicy pamiątkowej poświęconej Mieczysławowi i Adamowi Sołtysom w Filharmonii Lwowskiej. Czytelników zainteresuje też tekst Piotra Świąteckiego o lotnikach kresowych. A całość zwieńczają przepisy z *Kuchni lwowskiej Jadwigi Sabadasz*.

Niezwykle ważny – dla mnie osobiście – jest tekst licealisty Tadeusza Chlipalskiego, który napisał dziennik podróży z patriotycznej wędrowki na Monte Cassino. Autor jest wnukiem założyciela pisma – Andrzeja Chlipalskiego. Prawdę mówiąc, pojawienie się właśnie na łamach „Cracovia Leopolis” tekstów Karola Chlipalskiego, a teraz jego syna Tadzika, napawa optymizmem – są następcy... Choć samoistnie przychodzi do głowy pytanie do Kresowej Rodziny – kto jeszcze dołączy do nich...

I z tym optymistycznym pytaniem-przesłaniem, życzę Państwu dobrej lektury!

Janusz M. Paluch

Antoni Wilgusiewicz

PERUKOWIEC PODOLSKI WUJA ZIELIŃSKIEGO

Perukowiec podolski (*Cotinus coggygria* Scop.) – gatunek krzewu z rodziny nanerczowatych (*Anacardiaceae*). Pochodzi z południowo-zachodniej Azji i z południowo-wschodniej Europy. W wielu krajach, również w Polsce, jest uprawiany jako roślina ozdobna. Nazwa rodzajowa rośliny pochodzi od bardzo ładnych, delikatnych kwiatostanów przypominających perukę (Wikipedia).



Perukowiec podolski w rozkwicie (fot. Wikipedia)

Na wschód patrząc swym zwyczajem
czego płacze to pachole?
Tęskni pono za swym krajem,
a tym krajem jest Podole.
A w tym kraju jest włość skromna,
A w tej włości miły domek
I kochanka tam niepomna,
że ją kocha tęskny ziomek.

Stanisław Starzyński
Dumka podolska

Kiedy w 1526 roku w Krakowie ukazała się pierwsza wydana w Polsce mapa *Tabula Sarmatiae* Bernarda Wapowskiego, widniało na niej Podole. Na słynnej mapie Wilhelma de Beauplana wydanej w 1660 roku Podole leży na lewym brzegu Dniestru, na zachód sięga po Brzeżany, na północ po Tarnopol, na wschodzie po Bar.

Szczegółowy przebieg granicy Podola pokazuje dopiero mapa z 1772 roku, kiedy to jednak na mocy pierwszego aktu rozbiorowego Podole zostało podzielone między Rosję – większa, wschodnia część, i Austrię – mniejsza, zachodnia część do rzeki Zbrucz, która weszła potem w skład II Rzeczypospolitej.

Na ziemi tej wówczas już od tysięcy lat występował perukowiec podolski. Silna, mrozoodporna roślina, sięgająca nawet do czterech metrów wysokości, była częścią niezwykłej, podolskiej przyrody, którą opiewali poeci i pisarze na czele z Juliuszem Słowackim.

Witaj mi ziemio stepów gładka, cicha,
Gdzie kwiat dla Boga kwitnie i usycha;
Gdzie dwa kurhany na błękitnym niebie
Przez całe stepy patrzą się na siebie;
Gdzie przerywają trupy sen grobowy,
Orłami z sobą prowadząc rozmowy.

Dziki step, ale też niezwykła, urodzajna ziemia, słynny czarnoziem podolski, o głębokości sięgającej do trzech metrów. Ziemia zdolna wykarmić pół Europy, gdzie zasiew potrafił przynieść plon TRZYDZIESTOKROTNY. Na północy klimat surowy, zimy tak śnieżne, jak nigdzie w Polsce, z drugiej strony na południu nad Dniestrem łagodny, podatny do uprawy winorośli, melonów i innych typowych dla południa darów natury. Pszenica, słonecznik, kukurydza rosły w olbrzymich łąkach sięgających po horyzont. W jarach rzek, takich jak Seret, także charakterystyczne dla Podola ogrody, gdzie papryka i pomidory, a także liczne zioła wydają odurzający zapach. Do tego stada była pasącego się w zakrywającej je aż po rogi trawie, roje miododajnych pszczół... Kraina mlekiem i miodem płynąca...

Perukowiec podolski jest świadkiem, jak przed 600 laty na tę urodzajną ziemię, spustoszoną przez Tatarów, napływają Polacy, gospodarząc początkowo w sporze z Litwinami, a od 1569 roku, po unii lubelskiej, już samodzielnie. Ale gospodarzenie to przebiegało w ciągłej obawie przed tatarskimi, a później także tureckimi najazdami. Do walki z nimi powstają kresowe stancie, ale i zwykły rolnik musiał być w stałym pogotowiu. Jak pisał Karol Szajnocha, „nie mogli z tej przyczyny osadnicy ukraińscy wychodzić po jednemu do pracy w polu, lecz musieli stawać gromadnie, nigdy bez rusznicy lub innej broni... Wszystko przeciwieństwem owa gorąca miłość zajęć rolniczych, wszystkiego dokazał ów pracowity pług polski, który wraz z mieczem tak żywo pociągał ku sobie serca szlacheckie”.

Symbolem tej kresowej w dosłownym znaczeniu roli Podola stała się wspaniała twierdza kamieniecka, gdzie sztuka fortyfikacyjna wraz z przyrodą stworzyły unikalny w skali światowej twór obronny. Ale i on, co łączy się w polskiej świadomości z trzecią częścią sienkiewiczowskiej *Trylogii*, wpadł w ręce tureckie wraz z całym Podolem. Dopiero po 27 latach ziemia podolska wróciła pod władanie Rzeczypospolitej, spustoszona do tego stopnia, że wymagała ponownej kolonizacji. Obok najazdów turecko-tatarskich wielkie spustoszenie niosły także konflikty wewnętrzne związane z buntami kozackimi. Różnice narodowościowe, społeczne i religijne doprowadziły do krwawych wyda-

zeń, których następstwa trwały przez następne wieki i są żywe do dziś. Kiedy i one przygasają, pojawia się potęga sąsiednich mocarstw, prowadząca do rozbioru Podola i upadku Rzeczypospolitej. Zaczyna się nowy rozdział w dziejach tej ziemi.

Było Podole niezwykłą mieszkanką narodowościową, gdzie obok polskiej szlachty, ruskiego włościanina, żydowskiego bałaguty czyli woźnicy żyli też greccy i ormiańscy kupcy, rosyjscy i austriaccy urzędnicy, wędrowni Cyganie. Wydała ta ziemia ludzi niezwykłych, fantastów i marzycieli, jak Jan Potocki, wielki polski magnat, który nie znał języka polskiego, a po francusku stworzył dzieło światowej sławy *Rękopis znaleziony w Saragossie*. Z Podola pochodził wybitny inżynier Ernest Malinowski, twórca najwyższej w świecie położonej kolei transandyjskiej. Wiek XIX mimo carskich prześladowań, zwłaszcza po dwóch narodowych powstaniach, był okresem względnego spokoju. „W dni świąteczne rano pobożność do cerkwi, pohulanka z południa do karczmy zgromadzały lud zdrowy, dorodny i strojnie odziany...”. Obok chat były i pałace, w nich galerie obrazów i biblioteki, jak w Kuryłówce, zwanej Podolskimi Puławami. Pozytywiści krytykowali beztroskie życie podolskich ziemian. „Wyborowa kuchnia, wina kosztowne, zbytkowne życie, ciżba służby, okazałe zaprzęgi, huczne bale, świetne polowania, odwiedzanie się wzajemne, wyjazdy zagraniczne, pouby w wód i w Paryżu – wszystko to rzeczy arcyprzyjemne, ale wobec kraju i społeczeństwa nie znaczą nic...”. Z drugiej jednak strony podkreślano „podolskie cnoty”, takie jak przyzwoitość, prostota, dobroć, rozwaga, otwartość na różnorodne poglądy i odmienne obyczaje. Publicyści ówczesni przeciwstawiali je warszawskim pseudopatriotom, a w rzeczywistości często ksenofobicznym nacjonalistom. Ziemia podolska i jej mieszkańcy sprzyjali kształtowaniu tolerancji dla różnorodności, respektowania poglądów i zapatrywań pozornie nawet niedorzecznych – jak stało się w wypadku Józefa Korzeniowskiego, później wybitnego pisarza miary światowej Josepha Conrada.

Wiek XIX to okres powstawania kresowej legendy, począwszy od *Mohorta* Wincentego Pola, dzieła, które zapoczątkowało „mit Kresów” w Polsce. Tragedie Podola pokazują też tak wybitne poematy, jak *Zamek*

kaniowski Seweryna Goszczyńskiego czy Maria Antoniego Malczewskiego. Piewcą Podola, jak Mickiewicz Litwy, był cytowany już Słowacki, między innymi w *Beniowskim*. Na Podolu wychował się także Jarosław Iwaszkiewicz, wracający w swych wspomnieniach literackich do tego tematu. Nade wszystko jednak w polskiej świadomości mit kresowy utrwalił Henryk Sienkiewicz, którego pierwszy i trzeci tom *Trylogii*, zakończony śmiercią Hektora kamienieckiego, to niezbywalna część narodowej legendy, z której Kresów usunąć się nie da. To tak, jak mówi prof. Nicieja, jakby wyciąć sobie połowę mózgu.

Sielski świat Podola wali się, począwszy od 1914 roku, a zwłaszcza w latach 1917–1921. Opisał to w książce *Lata walk i zamętu na Ukrainie 1917–1921*, wydanej w 1928 roku w Warszawie, a niedawno wznowionej przez ks. Witolda Kowalowa, twórcę „Wołania z Wołynia” – młody podolanin Stefan Kamiński. Po zawarciu pokoju ryskiego w 1921 r. zachodnie Podole wchodzi w skład II RP jako województwo tarnopolskie, a jego dzieje stanowią ostatni etap polskości tych ziem. Lata te stanowią rozkwit między innymi Jazłowca, słynnego ze szkoły dla dziewcząt siostr niepokalanek (obecnie znana szkoła w Szymanowie koło Warszawy), a także pułku ułanów stacjonujących we Lwowie i co roku pędzących do swojej patronki – Matki Boskiej Jazłowieckiej. Co było dalej? 17 września 1939 roku i jego następstwa, na Podolu trochę mniej znane niż na leżącym na północ od niego Wołyniu, ale dla tamtejszych Polaków nie mniej tragiczne...

Perukowiec podolski był niemy świadkiem tych wszystkich wydarzeń. Był tu, kiedy w 1925 roku w Horodnicy niedaleko Zbrucza urodziła się moja matka, i był, kiedy 20 lat później wraz ze swoją rodziną i innymi ocala-



Rodzina Wajsów (Weiss) około roku 1908. Wśród siostr Wajsówien Zuzanna, moja babcia (zam. Małkiewicz), i Józefa, matka Witolda (zam. Zielińska). Jednym z dwóch synów był Antoni Wajs, poległy w walce z bolszewikami na Zamojszczyźnie w 1920 r. (zbiory rodzinne)

łymi Polakami opuszczała tę ziemię, udając się na daleki, nieznaną Śląsk.

Pozostał, kiedy panowała tu „władza radziecka”, i jest teraz, kiedy Podole to część „samostijnej Ukrainy”. Wraz z nim pozostali tu nieliczni Polacy, jak zmarła w siłę wieku Tarnopolanka Jolanta Kowalenko. Wspominała tak te lata:

Warunki życiowe były bardzo ciężkie, dzieci dorastały w niedostatku, na skraju nędzy. Babcia dotychczas nie pracowała ze względu na dobre zarobki męża, ale w zaistniałej sytuacji musiała podjąć pracę, nie będąc do tego wcale przygotowaną. Moja mama (Krystyna) nie знаła ukraińskiego, miała więc ogromne trudności w szkole, bo nauczanie było przecież tylko w tym języku. Pomimo tego matka ukończyła podstawówkę, potem Technikum Łączności we Lwowie, a na koniec Instytut Ekonomiczny w Tarnopolu. Po ukończeniu wyższej szkoły rozpoczęła pracę na poczcie, następnie objęła posadę księgową w banku. Wyszła za mąż w 1960 roku, a ja urodziłam się w dwa lata później. Naukę rozpoczęłam w szkole podstawowej, następnie ukończyłam Liceum Medyczne

w Leningradzie, Liceum Muzyczne w Tarnopolu i studia ekonomiczne w Tarnopolu. Przez cały ten czas rodzina zachowała tożsamość polską, mówiła w naszym języku i podtrzymywała tradycje patriotyczne i religijne.

Jola prowadziła polskie harcerstwo w Tarnopolu, szkółkę języka polskiego, dbała o polski cmentarz znajdujący się w fatalnym stanie. Niestety...

A dziś – dla przeciętnego Polaka co oznacza słowo „Podole”? Kresy Wschodnie to Lwów i Wilno... Dlatego tak cenna, wprost nie do przecenienia jest wrocławska akcja *Mogię pradiada ocal od zapomnienia*, podczas której młodzi – uczniowie dolnośląskich szkół – od 2010 roku odwiedzają i porządkują cmentarze polskie na dawnych Kresach Wschodnich. Lista cmentarzy wygląda imponująco – wiele z nich znajduje się właśnie na Podolu, między innymi we wspomnianym Jazłowcu.

A perukowiec podolski? Rośnie w moim ogrodzie, gdzie za poradą mego wuja, Tarnopolanina, a po wojnie mieszkańca Krakowa – Nowej Huty zasadziłem dwa krzaki. Wuj Witold Zieliński (rocznik 1935) i jego brat Przemysław byli synami Józefy z d. Wajs, siostry mojej babki Zuzanny. Mąż Józefy – Stanisław Zieliński był lekarzem powiatowym (tzw. fizykiem) w Tarnopolu, gdzie mieszkała rodzina i gdzie – jak twierdził wuj (właściwie kuzyn mojej matki Stelli) – on sam urodził się 21 stycznia 1935 roku. Dość anegdotycznie wyglądała jego walka, którą u schyłku ży-

cia toczył z USC w Warszawie, a dokładnie z Sekcją Ksiąg Zabuzzańskich, z której otrzymał wypis z ksiąg metrykalnych dowodzący, że urodził się w Czarnokońcach Wielkich, powiat Kopyczyńce (tam zamieszkiwali jego dziadkowie o nazwisku Wajs). Jako niezwykle miłośnik Tarnopola nie mógł pogodzić się z faktem, że mógłby urodzić się nie w tym wojewódzkim wówczas mieście, a na wsi. Wuj Witold zamieszkiwał na Osiedlu na Skarpie z matką Józefą, wówczas już owdowiałą, która pracowała w Miejskiej Bibliotece Publicznej i zasłynęła z tego, że ukończyła studia polonistyczne na UJ jako najstarsza wówczas studentka w Polsce (była już po siedemdziesiątce, zmarła w 1990 roku w wieku 92 lat). Wuj nie założył własnej rodziny, był pracownikiem naukowym AGH, gdzie prowadził zajęcia także już na emeryturze, a cały swój wolny czas poświęcał sprawom Tarnopola. Działał aktywnie w Kole Tarnopolan Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział Kraków, brał udział w zjazdach koleżeńskich Tarnopolan i wycieczkach do Tarnopola i okolic, gdzie odnajdywał ślady swojej rodziny. Dzielił się swoją wiedzą z historykami – m.in. składa mu podziękowania p. Anna Zapalec w swojej książce *Ziemia tarnopolska w okresie pierwszej okupacji sowieckiej (1939–1941)*. Zmarł w 2020 roku. Jako symbol swej łączności z Ziemią Tarnopolską zasadził na trawniku obok swego bloku dwa perukowce podolskie, a za jego

poradą i ja uczyniłem to samo w moim ogródku działkowym w Katowicach. Po kilku latach oba perukowce wyrosły do kilkumetrowej wysokości i okrywają się co roku bujnym kwiatostanem – owymi perukami. I dla mnie stanowią symbol ojczyzny mojej matki – Podola.

Przy tworzeniu tego tekstu korzystałem w dużym stopniu ze znakomitej książki Zdzisława Skroka *Podolska legenda. Powstanie i pogrzeb polskiego Podola*, wyd. Iskry, Warszawa 2007.



Ewa Laskowska-Kusztal*

NASZ MISTRZ PROFESOR KAZIMIERZ MICHAŁOWSKI

1901
1981



Profesor Kazimierz Michałowski w swym ulubionym fotelu w Podkowie Leśnej (zdjęcie udostępnione przez córkę Profesora M. Karkowską)

Jest nas już tylko nieliczne grono – uczniów i współpracowników profesora Kazimierza Michałowskiego, światowej sławy archeologa – którzy byli świadkami budowy przez naszego Mistrza polskiej szkoły archeologii śródziemnomorskiej, uczestniczyli w kierowanych przez niego lub przez niego organizowanych misjach wykopaliskowych w całym basenie Morza Śródziemnego i Sudanie, pracowali lub jeszcze pracują w tworzonych przez niego instytucjach naukowych. Z radością witamy każdą inicjatywę utrwalenia pamięci Profesora i przywołania jego życiorysu, starając się wzbogacić te teksty o osobiste wspomnienia, wprawdzie ulotne, ale najtrafniej charakteryzujące wielkość jego dzieła.

Nie mamy także wątpliwości, że przypomnienie postaci Profesora jako obywatela Tarnopola, który wprowadzony został do panteonu najwybitniejszych badaczy starożytnego Egiptu uhonorowanych popiersiami ustawionymi w ogrodach Muzeum Kairskiego, jest godnym uczczeniem historii tego

miasta. Tym hołdem dla Tarnopola są również z pewnością doktoraty *honoris causa* nadane profesorowi Kazimierzowi Michałowskiemu przez uniwersytety w Strasburgu, Cambridge i Uppsali oraz liczne medale, tytuły, wyróżnienia i członkostwa prestiżowych instytucji naukowych, których lista utrwalona jest w poświęconych mu notach biograficznych.

O ile przedstawienie sylwetki tego słynnego uczonego i opisanie kolejnych etapów wprowadzania polskiej archeologii śródziemnomorskiej na światowe salony nauki nie stwarza trudności, bo jest wystarczająco udokumentowane fachową literaturą, o tyle uwzględnienie z równą precyzją jego lat dziecięcych i wczesnomłodzieńczych spędzonych w Tarnopolu jest niemal niemożliwe – pomimo wielkiej życzliwości i chęci pomocy



Odsłonięcie popiersia profesora Kazimierza Michałowskiego w eksedrze słynnych badaczy Egiptu w ogrodach Muzeum Kairskiego (2007), z lewej córka Profesora Małgorzata Karkowska i dyrektor generalny Departamentu Egiptu Faraońskiego Najwyższej Rady Starożytności (SCA) dr Sabry Abdel Aziz, z prawej syn Profesora Jan Michałowski oraz dyrektor generalny Muzeum Egipskiego w Kairze dr Wafaa El Saddik (ze zbiorów CAŚ UW)

* Instytut Kultur Śródziemnomorskich i Orientalnych PAN (dawny Zakład Archeologii Śródziemnomorskiej PAN)

okazywanej przez jego Najbliższych. Profesor i jego Rodzina, podobnie jak większość mieszkańców Warszawy, zostali bowiem pozbawieni rodzinnych pamiątek i całego rodzinnego archiwum zniszczonego podczas pożaru tzw. Domu Profesorskiego przy ulicy Brzozowej 12, który jako reduta powstańcza został całkowicie spalony. Niestety również *Wspomnienia* Profesora, wydane przez PIW w 1986 roku, a więc już po jego śmierci, nie obejmują tych najwcześniejszych lat. Natomiast opisują jego studia na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, wybitne osobowości wykładowców, zagraniczne wyprawy i staże pozwalające poznać najważniejsze zabytki europejskiej kultury i liczące się ośrodki badań archeologicznych. *Wspomnienia*, uzupełnione opracowywanymi już po śmierci Profesora biogramami, każą przede wszystkim podziwiać harmonię i konsekwencję jego działań i decyzji.

Kazimierz Józef Marian Michałowski urodził się w 1901 roku w Tarnopolu. Był synem Mariana Michałowskiego, oficera armii austriackiej i urzędnika państwowego zmarłego w 1910 roku, oraz Kazimiery z d. Ostrowskiej. Dziadkiem jego był słynny obywatel Tarnopola Emil Michałowski zajmujący od 1892 roku stanowisko dyrektora Seminarium Nauczycielskiego Męskiego w Tarnopolu, od 1899 roku poseł na Sejm Krajowy Galicji, sprawujący podczas I wojny światowej od 1915 do 1917 roku urząd burmistrza Tarnopola. W 1918 roku Kazimierz Michałowski ukończył Gimnazjum Klasyczne w Tarnopolu i rozpoczął służbę wojskową w Szkole Podchorążych Piechoty Polskiej Organizacji Wojskowej w Tarnopolu, a rok później wziął udział w wojnie bolszewickiej. Po latach wspominał lata służby wojskowej jako okres niezwykle istotny dla ukształtowania jego siły charakteru i poczucia dyscypliny, a cechy te łatwo odnaleźć na całej jego drodze życiowej. Dwukrotne urlopowanie z wojska – trzymiesięczne w 1919, a potem bezterminowe w 1921 roku – umożliwiło mu rozpoczęcie edukacji na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, gdzie studiował archeologię klasyczną i historię sztuki. Był niezwykle pilnym studentem, jak sam się śmiał, niemal nocującym na uczelni. Przede wszystkim jednak, co zawsze podkreślał, był uczniem wybitnych wykładowców Uniwersytetu Lwowskiego prof. Kazimierza

Twardowskiego, prof. Jana Bołoz-Antoniewicza, prof. Władysława Podlachy, doktorantem prof. Edmunda Bulandy. Po ukończeniu studiów w 1924 roku pozostał na macierzystej uczelni jako asystent. Miał wtedy okazję współpracować z wieloma innymi badaczami tworzącymi kadre naukową Uniwersytetu Jana Kazimierza: prof. Ryszardem Ganszyńcem, prof. Marianem Goliąsem, prof. Leonem Kozłowskim, a nawet prof. Stanisławem Witkowskim, słynnym archeologiem klasycznym, rektorem Uniwersytetu w roku akademickim 1930/31. W 1926 roku obronił dysertację doktorską. Warto dodać, że przewodniczącym dwóch komisji, przed którymi zdawał egzaminy doktorskie, był prof. Jan Czekanowski, sławny antropolog, ówczesny dziekan Wydziału Humanistycznego. Dzięki jego staraniom świeży doktor otrzymał stypendium Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, pełniące tę samą funkcję co obecny popularny i ceniony Erasmus. Pozwoliło mu ono odbyć studyjną podróż na uniwersytety Berlina, Heidelbergu i Münster, która była cennym uzupełnieniem doświadczeń zdobytych w 1921 roku podczas jeszcze studenckiej wyprawy do Wiednia, Wenecji, Mediolanu i Paryża. Po latach Profesor podkreślał, a my, uczniowie Profesora mogliśmy to potwierdzić, że uzyskana wówczas wiedza na temat funkcjonowania zagranicznych szkół archeologii, nawiązane podczas tej podróży przyjaźnie, a także kontakty ze sławami archeologii pomagały mu przez całe życie w realizacji wielu niełatwych przedsięwzięć naukowych wymagających wielu dyplomatycznych działań i życzliwości tych środowisk.

Znaczącym krokiem ku szczytom nauki było wspomniane przez Profesora z największą estymą zdobywanie archeologicznych szlifów w Szkole Francuskiej w Atenach (École française d'Athènes), prestiżowej instytucji zasłużonej dla badań starożytnej Grecji, której został zagranicznym członkiem. Współpraca ta umożliwiła mu udział w wykopaliskach na Tasos, w Mallia na Krecie, a przede wszystkim na Delos, gdzie jego wszechstronne wykształcenie zostało uhonorowane powierzeniem mu opracowania zespołu odnalezionych na tym stanowisku hellenistycznych i rzymskich rzeźb portretowych. Przygotowana przez młodego doktora pionierska typologia tych zabytków, wysoko

oceniona, opublikowana później w Paryżu w 1932 roku, przedstawiona została jako rozprawa habilitacyjna, która pozwoliła mu uzyskać na Uniwersytecie Lwowskim stopień docenta otwierający drogę samodzielnej kariery naukowej. W 1930 r. podjął decyzję kontynuowania jej na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie już w 1931 roku utworzył Katedrę Archeologii Klasycznej.

Katedra stała się solidną bazą umożliwiającą Profesorowi realny powrót do marzeń o rozpoczęciu polskich prac wykopaliskowych w kolebkach europejskiej cywilizacji, zgodnie z wyrażaną przez niego maksymą, że „aktualny poziom kultury danego kraju mierzy się tym, czy posiada swe własne wykopaliska w Egipcie”. Udało mu się urzeczywistnić tę maksymę dzięki nawiązaniu współpracy z mającym długą tradycję archeologicznej eksploracji Egiptu Francuskim Instytutem Archeologii Wschodu (Institut français d'archéologie orientale) w Kairze oraz zdobyciu funduszy na te badania z Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, Ministerstwa Spraw Zagranicznych, od miasta Warszawy i władz Uniwersytetu Warszawskiego. Jako miejsce działalności wspólnej polsko-francuskiej misji została wybrana, po starannie przeprowadzonej w latach 1934 i 1935 prospekcji terenowej, miejscowość Edfu w Górnym Egipcie, stolica II staroegipskiego nomu, która oferowała badaczom szeroką paletę zabytków od Starożytności po okres ptolemejsko-rzymski. Badania w Edfu były interdyscyplinarne, co obecnie jest powszechną praktyką, a wówczas zdumiewały nowoczesnością. W misji brali udział oprócz archeologów inni wybitni specjaliści w swych dziedzinach – papirolog i epigrafik grecki Jerzy Manteuffel oraz antropolog Stanisław Żejmo-Żejmis.

Wykopaliska prowadzone w latach 1936–1939, przerwane przez II wojnę światową, pozwoliły dzięki możliwości dokonania usankcjonowanego prawnie przekazania misjom wybranych zabytków (określanego francuskim terminem *partage*) na późniejsze utworzenie Galerii Sztuki Starożytnej w Muzeum Narodowym w Warszawie, którego Profesor był wicedyrektorem od 1939 roku.

Kolejne lata życia Profesora, kształtowane przez losy świata, są powrotem do jego obowiązków porucznika rezerwy. Obejmują udział w kampanii wrześniowej, za który



Polsko-francuskie wykopaliska w Edfu. K. Michałowski, J. Sainte Fare Garnot, J. Manteuffel u stóp komu, 1937 (zbiory IKŚiO PAN)

otrzymał Order Wojenny *Virtuti Militari*, oraz pobyty w obozach jenieckich w Linzu i Woldenbergu, gdzie zapisał się w pamięci współtowarzyszy wykładami ze sztuki i archeologii, a nawet nauczaniem egipskich hieroglifów.

Lata powojenne były poświęcone systematycznej, ale z konieczności doposażonej do uwarunkowań politycznych kontynuacji działań przygotowujących powrót polskich archeologów do Egiptu. Na szczęście droga wprowadzająca Polskę w międzynarodowy świat archeologii, rozpoczęta polsko-francuskimi wykopaliskami w Edfu, wysoko ocenionymi również dzięki szybkiej publikacji wyników badań, była już otwarta. Kolejnym spektakularnym przedsięwzięciem Profesora było połączenie w jeden współpracujący organizm trzech instytucji przez niego kierowanych, niezbędnych dla realizacji prawidłowo prowadzonych wykopalisk. Była to Katedra Archeologii Śródziemnomorskiej na Uniwersytecie Warszawskim, której poprzedniczką była założona przed wojną Katedra Archeologii Klasycznej, Dział Sztuki Starożytnej w Muzeum Narodowym w Warszawie oraz utworzony w 1956 roku Zakład Archeologii Śródziemnomorskiej



Profesor Michałowski wraz z uczniami i współpracownikami na przyjęciu w Instytucie Francuskim w Kairze podczas I Międzynarodowego Kongresu Egiptologii, Kair 1976 (zbiory IKŚiO PAN)

Polskiej Akademii Nauk. Katedra Archeologii Śródziemnomorskiej pozwoliła wykształcić profesjonalną kadrę archeologów różnych specjalności, która najpierw współpracowała z Profesorem, a później przejęła jego dzieło. Muzeum Narodowe i jego galerie były ważnym, niezbędnym elementem ubiegania się o wszelkie dopuszczalne prawnie podziały znalezisk podczas prac terenowych na kolejnych stanowiskach, instytucją przygotowującą ekspozycje zabytków i udostępniającą je publiczności, posiadającą w swej strukturze tak istotne pracownie konserwatorskie. Trzecią instytucją o zdefiniowanej funkcji był Zakład Archeologii Śródziemnomorskiej PAN, w którym afiliowana była pracownia dokumentacji wykopaliskowej i architektonicznej usytuowana w rodzinnej willi Profesora w Podkowie Leśnej. Zakładowi powierzona została misja publikacji wyników wykopalisk, a także zbudowanie specjalistycznej biblioteki gromadzącej wielojęzyczną literaturę przedmiotu. Warto dodać, że w budowaniu zrębów tej biblioteki pomagali francuscy przyjaciele Profesora, a książki przywożone były w prywatnych bagażach.

W tym miejscu należy koniecznie podkreślić wizjonerstwo Profesora dotyczące funkcjonowania w światowej nauce, które wymagało i oczywiście nadal wymaga publikowania wyników wykopalisk i ich opracowań w językach obcych. Sprostaniu tej potrzebie służyło m.in. wydawane przez Za-

kład od 1966 roku czasopismo „Etudes et Travaux”, ukazujące się od początku do dnia dzisiejszego wyłącznie w językach kongresowych, którego łamy udostępnione zostały badaczom z zagranicy.

Dla tych, którzy towarzyszyli dziełu profesora Michałowskiego, jego *Wspomnienia* są nie tylko potwierdzeniem systematycznej, pełnej kolejnych sukcesów realizacji wizji polskiej archeologii śródziemnomorskiej, ale również świadectwem dotrzymania obietnicy wcielenia w życie nauk wypływających z własnych doświadczeń życiowych dotyczących funkcjonowania w światowej nauce. Rady Profesora przekazywane uczniom, stawiane im wymagania, a przede wszystkim koncepcje organizacji systemu kształcenia były niewiarygodnie racjonalne. Studentom Katedry Archeologii Śródziemnomorskiej UW oferowana była wszechstronna wiedza, w kolejnych latach studiów zapoznawali się ze specyfiką cywilizacji Egiptu, Mezopotamii, Grecji i Rzymu, aby dopiero pod koniec studiów zdecydować się na preferowaną specjalizację. Kierowane przez Profesora prace magisterskie były opracowaniami zabytków z kolekcji muzealnej MN, niemal zawsze później publikowanymi. Korzystanie z obcojęzycznej literatury już na etapie prac seminaryjnych było sprawą oczywistą bez względu na to, który język był przez studenta preferowany, a tłumacza *Google* jeszcze nie było... Jednocześnie Profesor starał się nas nauczyć krytycyzmu wobec własnych osiągnięć, co ilustruje powtarzana w naszym środowisku anegdota o jego uczennicy, która prosiła Profesora o napisanie listu popierającego. Profesor, przychylny się do prośby, sformułował bardzo pochlebną rekomendację, natomiast jej przekazywaniu towarzyszyła rada: „Moja droga, pamiętaj, ja mogę napisać, że jesteś primabaleriną, i wszyscy w to uwierzą, tylko ty nie możesz”.

Koleje życia Profesora sprawiły, że koleżeńskie, niekiedy wręcz przyjacielskie relacje z archeologami z całego świata uznawane były przez niego za warunek *sine qua non* twórczej działalności naukowej i kształcenia młodej kadry. Zapraszanie w latach realnego socjalizmu z wizytą do Polski na seminaria i wykłady najbardziej znanych specjalistów było stałą praktyką. Dzięki tym przyjaźniom spotykaliśmy się podczas tak rzadkich i trudnych do realizacji pobytów za granicą

w najtrudniejszych czasach z życzliwą opieką i pomocą tuzów światowej archeologii.

Konfrontacja *Wspomnień* Profesora z powojenną rozległą jego aktywnością realizowaną już nie tylko w gronie uczniów, ale również wykształconych przez niego współpracowników, każe zwrócić uwagę, jak wysoko cenił znaczenie spotkań towarzyskich dla integracji środowiska – i tej codziennej, i tej dotykającej współpracy międzynarodowej. Już bardzo zaawansowany wiekiem Professor, odpoczywając po późnopołudniowym (bo tak późne spotkania były preferowane na Uniwersytecie Lwowskim i tę tradycję przeniósł Professor do Warszawy) seminarium w Pałacu Kultury i Nauki, gdzie mieścił się Zakład Archeologii Śródziemnomorskiej PAN, westchnął ze smutkiem: „Przed wojną po seminariach na Uniwersytecie chodziliśmy do Adrii, a dzisiaj...”. Należy tu wyjaśnić, że Adria była słynną restauracją z dancinikiem i obrotowym parkietem, notabene odbudowaną po wojnie, lecz pozbawioną już przedwojennego sznytu. Udział w przyjęciach towarzyszących wielkim imprezom naukowym lub organizowanie takich spotkań zaliczane były niemal do obowiązków zawodowych.

Dysponując solidną bazą badawczą i wykształconą kadrą, Professor rozpoczął rozdział swej aktywności usytuowany najwyżej w hierarchii celów naukowych. A było to wznowienie prac wykopaliskowych. Pierwszym krokiem były prowadzone w latach 1956–58 na zaproszenie Muzeum Ermitażu



Wykopaliska polsko-radzieckie w Mirmeki. K. Michałowski i W.F. Gajdukiewicz, 1956 (zbiory IKŚIO PAN)

w Leningradzie wykopaliska w Mirmekionie na Krymie, opisywane szeroko w ówczesnej polskiej prasie ze względu na odkrycie doskonale zachowanej tłoczni wina z okresu hellenistycznego.

Do Egiptu prof. Kazimierz Michałowski powrócił w 1957 roku, aby pokierować wymagającymi szerokiej wiedzy i doświadczenia terenowego wykopaliskami w Tell Atrib w Delcie. Było to stanowisko trudne do eksploracji ze względu na bardzo wysoki poziom wód gruntowych, zróżnicowane chronologicznie, z przewagą niełatwej do badania architektury z cegły suszonej. Tell Atrib było nieocenionym miejscem zdobywania



Professor K. Michałowski z członkami misji w Tell Atrib, 1962. Obok Profesora z lewej: T. Biniewski, M. Marciniak, K. Kołodziejczyk. Z prawej: A. Ostrasz, S. Jakobielski. Z przodu S. Jasiewicz (zbiory IKŚIO PAN)



Profesor K. Michałowski w Aleksandrii w słynnej budowlu teatralnej odsłoniętej i zrekonstruowanej przez polską misję z E. Promińską i E. Makowiecką, 1967 (zbiory IKŚiO PAN)

doświadczeń polskiej szkoły archeologii, a kolejne lata wykopalisk i znaleziska licznych świadectw integracji kultury Egiptu z kulturą klasyczną potwierdziły niezwykłość tego stanowiska jako miejsca osiedlenia weteranów armii Aleksandra Wielkiego.

Niezwykłej rangi perspektywicznym przedsięwzięciem naukowym podjętym przez Profesora z myślą o kolejnych generacjach archeologów śródziemnomorskich było utworzenie w 1959 roku Polskiej Stacji Archeologii Śródziemnomorskiej Uniwersytetu Warszawskiego w Kairze, która w latach 80. przekształcona została w Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej Uniwersytetu Warszawskiego im. Kazimierza Michałowskiego z centralą w Warszawie. Ta niezwykła instytucja, z siedzibą w dzielnicy Heliopolis, miała za zadanie koordynację badań wykopaliskowych w basenie Morza Śródziemnego i krajach ościennych. Stała się gościnnym domem dla wielu pokoleń archeologów udających się na misje lub z nich wracających. Została serdecznie powitana przez mające wielkie tradycje zachodnie instytucje archeologiczne działające w Egipcie, w tym oczywiście związany współpracą z Polską od wspólnych wykopalisk w Edfu Instytut Francuski Archeologii Wschodu w Kairze, i włączona w rytm życia naukowego. Uznanie dla Profesora jest tym większe, że nigdy nie godził się na przeniesienie stacji pod patronat MSZ, dbając o jej pozostawanie w resorcie nauki. Dzięki tej decyzji stacja mogła przetrwać wszelkie zawirowania politycz-

ne powodujące czasowe zamknięcie instytutów archeologicznych innych krajów socjalistycznych i być ważkim argumentem w działaniach służących naprawie tych stosunków. Stacja pozwoliła nam zaistnieć jako poważny, wiarygodny i rozpoznawalny partner rozmów z władzami Egiptu, a potem również Syrii, Cypru i innych krajów Bliskiego Wschodu, służąc pozyskiwaniu kolejnych koncesji wykopaliskowych.

Szczególnym darem losu, pozwalającym wykorzystać kompetencje Profesora archeologa klasycznego przebywającego w Aleksandrii w 1957 i 1958 roku jako *visiting professor*, było niespodziewane odsłonięcie podczas prac budowlanych prowadzonych na terenie dawnego fortu na Kom el-Dikka w centrum Aleksandrii ruin antycznej budowli nieanonsowanej w żadnych źródłach. Profesor rozpoznał w niej bez wahania, ale ku zdumieniu i niedowierzaniu innych badaczy, rzymską budowlę teatralną, pierwszą odnalezioną w Egipcie! Autorytetowi Profesora i niezwykłej życzliwości Najwyższej Rady Starożytności światowa kultura zawdzięcza wstrzymanie prac budowlanych, a Polska powierzenie polskim archeologom koncesji badań na tym stanowisku. Rozpoczęte w 1960 roku i trwające do dzisiaj obejmują prace wykopaliskowe, rekonstrukcyjne i konserwatorskie. Ich efektem jest utworzenie świadczącej o wspaniałości Aleksandrii *zona monumentale* obejmującej także inne budowle publiczne, m.in. łaźnie, oraz mieszkalne ilustrujące poziom życia mieszkańców stolicy władców ptolemejskich.

Kolejnym dowodem zaufania wiedzy Profesora i jego doświadczeniu było przekazanie mu kierownictwa Polsko-Egipskiej Misji Rekonstrukcyjno-Wykopaliskowej w świątyni królowej Hatszepsut w Deir el-Bahari. Rozpoczęte w 1961 roku dzieło rekonstrukcji, konserwacji i publikacji jednego z najważniejszych i najpiękniejszych zabytków architektury starożytnego Egiptu, wpisane go w 1977 roku przez UNESCO na listę



Profesor K. Michałowski i prof. F. Hintze przy posągu Totmesa III odnalezionym w ruinach ufundowanej przez tego faraona świątyni odkrytej przez polską misję, 1965 (zbiory IKŚIO PAN)

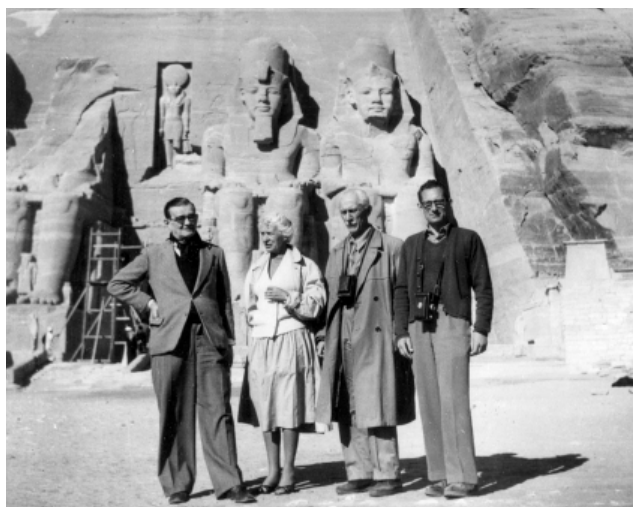
światowego dziedzictwa, wymagało zaangażowania filologów-egiptologów, architektów i konserwatorów. Dlatego bardzo wczesną decyzją Profesora było zaproszenie do współpracy polskiej Pracowni Konserwacji Zabytków, cieszącej się wówczas światową renomą, która pracowała w świątyni przez dwie dekady od 1968 roku.

Już w następnym roku po zainicjowaniu prac w Deir el-Bahari teren koncesji stał się miejscem spektakularnego odkrycia naukowego. Podczas porządkowania terenu sąsiadującego od południa ze świątynią królowej Hatszepsut odkryto pozostałości świątyni jej współregenta, a później następcy, faraona Totmesa III, która była dotąd znana jedynie ze źródeł pisanych. Świątynia została zniszczona jeszcze w starożytności przez trzęsienie ziemi, co spowodowało, że na jej fragmentach zachowała się w doskonałym stanie polichromia, natomiast prace nad choćby częściową jej rekonstrukcją, przypominające układanie puzzli, zajęły badaczom kilkadziesiąt lat.

Największą sławę zdobył jednak Profesor jako ak-

tywny organizator i uczestnik przeprowadzanej pod patronatem UNESCO tzw. kampanii nubijskiej związanej z realizacją wielkiego projektu hydrogeologicznego, którym była budowa Wysokiej Tamy Asuańskiej. Była to niespotykana dotąd mobilizacja świata naukowego ratującego najwyższej klasy zabytki południowego Egiptu i północnej Nubii, w tym świątynie, przed totalnym zniszczeniem przez wody Jeziora Nasera. Jedynym ratunkiem dla tych pomników kultury ludzkości było przeniesienie ich w miejsca poza-zalewowe oraz błyskawicznie prowadzona eksploracja archeologiczna. Profesor Michałowski, jako wybitny autorytet naukowy, kierował w latach 1960–68 dziesięcioosobową międzynarodową grupą ekspertów czuwających nad realizacją finansowanego przez UNESCO i władze Egiptu projektu demontażu i przeniesienia na wyższy teren kompleksu świątynnego Ramzesa II w Abu Simbel.

Niekwestionowane epokowe znaczenie dla miejsca Polski w światowej archeologii miało wytypowanie przez Profesora Faras, starożytnego Pachoras, stolicy północno-nubijskiego królestwa Nobadii, które w VI wieku przyjęło chrześcijaństwo, jako miejsca prowadzenia wykopaliisk ratunkowych przez polską misję. Podczas czterech sezonów badań w latach 1961–64 została tam odkryta przebudowywana i dekorowana w kilku fazach katedra biskupów Pachoras



K. Michałowski, J. Černý wraz z małżonką i S. Donadoni podczas wizyty w Abu Simbel, 1958 (zbiory IKŚIO PAN)



Palmyra 1963. Profesor K. Michałowski i słynna kolekcja rzeźb odnalezionych przez polską misję w Dolinie Grobów (zbiory IKŚiO PAN)

wraz z kolekcją malowideł ściennych z VII–XIV w. Pośpiesznie zdejmowane ze ściany przez ściągniętych z Muzeum Narodowego w Warszawie konserwatorów zostały, podobnie jak inne kategorie zabytków, poddane uzgodnionemu ze stroną sudańską podziałowi i zdeponowane w Muzeum w Chartumie oraz w Muzeum Narodowym w Warszawie. Dzięki temu Polska może się szczycić unikalną w Europie kolekcją średniowiecznego malarstwa nubijskiego, ściągającą badaczy z całego świata oraz turystów. Warto wspomnieć, że po zakończeniu skomplikowanych, ściśle nadzorowanych procedur dzielenia fresków między dwie ekspozycje muzealne, kiedy zapadły już wszelkie oficjalne ustalenia, ówczesny dyrektor Sudańskiej Służby Starożytności dr Thabit Hassan Thabit dołączył do grupy malowideł wysyłanych do Warszawy wizerunek głowy Archanioła Michała jako wyraz szczególnej wdzięczności dla prof. Kazimierza Michałowskiego i jego wielkiego dzieła na rzecz ochrony kultury nubijskiej. Galeria malarstwa faraskiego została otwarta w 1972 r. i uczczona wielkim światowym sympozjum badaczy Nubii, którzy podjęli inicjatywę powołania Society for Nubian Studies, którego Profesor został

przewodniczącym. Były to zarazem nierzeczywiste dziedziny badań – nubioologii, w której polska szkoła archeologii stworzona przez Profesora zajmuje poczesne miejsce.

Opisując sukcesy Profesora odniesione podczas badań Egiptu i Nubii, należy pamiętać o jego wielkiej estymie dla archeologii klasycznej, która była jego pierwszą specjalizacją zdobytą dzięki studiom na Uniwersytecie Jana Kazimierza, objazdom naukowym po Europie wieńczącym te studia oraz kilkuletniemu funkcjonowaniu w środowisku *École française d'Athènes*. Urzeczywistnieniem tej pierwszej pasji naukowej stały się rozpoczęte w 1959 roku i kontynuowane do wybuchu obecnie trwającej wojny wykopaliska w Syrii w Palmyrze, mieście usytuowanym w II w. p.n.e na szlaku jedwabnym, przeżywanym swą świetnością w II połowie III w. za panowania królowej Zenobii, której armia została pokonana w 272 roku przez cesarza Aureliana. Polska misja, działająca w tym ośrodku miejskim o wzbudzającej zachwyty monumentalnej architekturze, objęła badaniami obóz Dioklecjana oraz Dolinę Grobów. Mogła się również poszczycić odnalezieniem złotego skarbu monet bizantyńskich Fokasa, Herakliusza i Konstansa II oraz



Uroczystość nadania imienia Kazimierza Michałowskiego pasażowi w centrum Warszawy, 17 maja 2024 r. (zbiory IKŚiO PAN)

biżuterii, wzbudzającego zainteresowanie nie tylko świata naukowego, ale również odwiedzających stanowisko wielkich postaci świata politycznego i oczywiście licznych turystów. Dopelnieniem zainicjowanych przez Profesora badań świata kultury klasycznej stały się rozpoczęte w 1965 roku i nadal prowadzone wykopiska w Nea Paphos na Cyprze, antycznym mieście założonym w IV w. p.n.e. i funkcjonującym do VII w., w którym zachowały się imponujące świadectwa architektury publicznej i prywatnej ozdobione rzeźbami i mozaikami.

Zbudowana przez Profesora polska szkoła archeologii śródziemnomorskiej z wielką pasją i świadomością misji powierzonych przez naszego Mistrza nie tylko kontynuuje badania w ramach uzyskanych przez niego koncesji, ale prowadzi wykopiska na wielu nowych stanowiskach, obejmując swymi zainteresowaniami również Irak, Izrael, Półwysep Arabski, Tunezję, Liban, Libię, Jordanię. W ten sposób możemy wyrazić wdzięczność Profesorowi i utrwalić pamięć o jego osiągnięciach i długiej drodze do nich prowadzącej.

Wreszcie w tej laudacji wielkiego obywatela Tarnopola warto wspomnieć o niedawnej uroczystości nadania, staraniem uczniów Profesora, imienia Kazimierza Michałowskiego pasażowi położonemu w centrum Warszawy, w bliskości Uniwersytetu Warszawskiego oraz ul. Sewerynow, gdzie Profesor wraz z żoną Krystyną, córką Małgorzatą oraz synem Janem spędził swoje powojenne lata.

Pani Krystynie Michałowskiej, towarzyszącej Profesorowi w wielu archeologicznych wyprawach, otaczającej uczniów wymagającego i surowego Mistrza serdeczną opieką i goszczącą nas u siebie przez wiele lat po śmierci Profesora składamy wyrazy naszej wdzięcznej pamięci.

Rekomendowane lektury:

Profesor o sobie i swoim dziele:

K. Michałowski, *Od Edfu do Faras. Polskie odkrycia archeologii śródziemnomorskiej*, Warszawa 1974.

K. Michałowski, *Wspomnienia*, Warszawa 1986.

Profesor i jego dzieło w dokumentach i relacjach:

V. Rezler-Wasielewska, *Profesor Kazimierz Michałowski, 1901–1981*, „Łambinowicki Rocznik Muzealny”, t. 32, 2009, s. 47–86.



Profesor K. Michałowski z żoną Krystyną w Tell Atrib, 1958 (zbiory IKŚiO PAN)

Tarnopolskie lata profesora Adama Przybośia i jego monografia Tarnopola w zbiorach Biblioteki Naukowej PAU i PAN w Krakowie

Jego miastem rodzinnym był Rzeszów: tu przyszedł na świat w 1906 r., tu w II Państwowym Gimnazjum zdał maturę w 1925, tu pracował po ukończeniu studiów i tu mieszkała jego rodzina. Z Rzeszowem czuł się przez całe życie silnie związany, badając historię miasta i regionu i wiele na ten temat publikując. Decydując się na spisanie wspomnień (otrzymały tytuł: *Wspomnienia rzeszowianina*), zaznaczał, że w rozdziałach *Rodzina i Moje dzieciństwo i lata szkolne* zawarł „ten okres swego życia tak całkowicie z Rzeszowem związany, że w pewnym sensie jest to też historia Rzeszowa w przeżyciach jednej jego rodziny”¹. Jednak nie Rzeszów, a Kraków stał się od 1947 roku jego miejscem na ziemi, tu związał się zawodowo z Polską Akademią Umiejętności, po jej likwidacji – z Polską Akademią Nauk i Wyższą Szkołą Pedagogiczną, w której pracował od 1950 do 1977 roku.

Studia historyczne ukończył na Uniwersytecie Jagiellońskim, był uczniem profesora Władysława Konopczyńskiego. Jego głównym polem badawczym był wiek XVII. Opracował m.in. biografię króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego i wspólnie z Michałem Rożkiem – biskupa Andrzeja Trzebickiego. Był też znakomitym wydawcą źródeł;

niezastąpiona jest wielotomowa edycja akt sejmikowych województwa krakowskiego z lat 1621–1696, edycja pamiętnika Albrychta Stanisława Radziwiłła (dokonana wraz z Romanem Żelewskim), legacji Wojciecha Miaskowskiego do Turcji w 1646, czy też materiały do powstania Kostki Napierskiego. Wydał również drukiem listy swojego kuzyna – poety Juliana Przybośia – do rodziny.

Było jednak jeszcze trzecie miasto dawnej Galicji, w którym młody wówczas historyk spędził pięć lat (1934–1939). To właśnie Tarnopol.

W październiku 1934 roku liczący 28 lat Adam Przyboś otrzymał pełny etat jako romanista w II Państwowym Liceum i Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Tarnopolu. Z czasem otrzymał zajęcia w innych tamtejszych szkołach średnich: I Państwowym Liceum i Gimnazjum im. W. Pola, Państwowym Liceum Żeńskim i Prywatnym Gimnazjum Żeńskim TSL. Organizował liczne wycieczki szkolne do Trembowli, Oleska,

Podhorzec, wysyłano go też na matury do gimnazjów w Brzeżanach, Buczaczu i Trembowli. Wiosną 1939 r. lwowski kurator Tadeusz Kupczyński proponował mu stanowisko wiceinspektora szkolnego jednego z powiatów, którego jednak Przyboś nie przyjął.

Udzielał się społecznie i naukowo. Był współzałożycielem Podolskiego Towarzystwa Naukowego i w latach 1937–1939 członkiem jego Dyrekcji. Jego doktorat *Konfederacja gołabska* ukazał się drukiem w 1936 r. jako nr 1 „Prac Podolskiego Towa-



prof. Adam Przyboś

¹ Adam Przyboś, *Wspomnienia rzeszowianina 1906–1939*, Rzeszów 1999, do druku przygotowała Aleksandra Przybosiowa, wyd. Towarzystwo Przyjaciół Rzeszowa, s. 6.

rzystwa Przyjaciół Nauk”. Był też aktywnym członkiem Towarzystwa Szkoły Ludowej, w ramach którego jeździł z odczytami i zajmował się bibliotekami w terenie.

Wśród jego kolegów, tarnopolskich nauczycieli, których serdecznie wspomina, byli m.in. ksiądz katecheta Marian Rechowicz, późniejszy rektor KUL-u, Franciszek Machalski, potem wybitny orientalista, którego praca o orientalizmie Antoniego Langego ukazała się w 1937 jako tom drugi „Prac Podolskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk”, dalej Józef Staszewski, geograf i historyk geografii, profesor PAN, i Tadeusz Ladenberger-Ładogórski, historyk i demograf, profesor we Wrocławiu².

Uczniami Adama Przybosia byli natomiast Józef Sperling (po wojnie Wrocław), Józef Dziurzyński (Legnica), Marian Stetkiewicz (Wrocław). Był nim też Tarnopolanin, więzień łagrów i Workuty, lotnik Dywizjonu 300 – Czesław Blicharski, po wojnie mieszkawiec Zabrze, niestrudzony w utrwalaniu wiedzy i pamięci o Tarnopolu, a także życzliwy konsultant wydania *Wspomnień rzeszowianina*. Po wojnie spotykali się na nieoficjalnych zjazdach maturzystów z 1938 roku: we Wrocławiu w 1976 i w Zagórzu Śląskim w 1981 roku.

Na wakacje 1939 r. Adam Przyboś pojechał najpierw do matki, do Rzeszowa, następnie do Iwonicza i Muszyny. Rozdział tarnopolski został na zawsze zamknięty. Po latach pisał:

„Dużo przeżyłem w Tarnopolu pięknych chwil, zyskałem uznanie przełożonych, znalazłem przyjaźń kolegów, sprawdziłem się sam wobec siebie jako nauczyciel, zacząłem poważnie pracować naukowo i społecznie, poznałem tylu interesujących ludzi...”³.

Bogaty powojenny dorobek naukowy i edytorski Adama Przybosia, wielka liczba jego uczniów (ponad 500 magistrantów, siedmioro doktorantów), skuteczne godzenie pracy dydaktycznej, naukowej i edytorskiej oraz szeroka bibliografia jego publikacji świadczą, że raczej nie pozostałby na stałe w Tarnopolu, a zdecydował się na przyjęcie pracy na uniwersytecie we Lwowie lub właśnie Krakowie. Tak czy inaczej Tarnopol

stał się ważnym rozdziałem jego biografii. Pozostał w serdecznej pamięci przyszłego profesora zarówno jako miasto, o którym pisał „nasze” i „ukochane”, jak i środowisko, w którym pracował. Przyjął więc skierowaną wobec niego przez prezydenta Tarnopola propozycję napisania monografii miasta, które w 1940 r. obchodzić miało swoje czterechsetlecie. Rzecz była już mocno zaawansowana w chwili wybuchu wojny. Dokończył ją, traktując to zadanie jako serdeczne zobowiązanie, już w czasie okupacji.

Tekst książki zachował się w co najmniej dwóch egzemplarzach. Pierwszy z nich, złożony z 249 stron rękopisu i 125 maszynopisu z doklejonymi na paskach papieru przypisami, wdowa, pani Aleksandra Przybosiova, w 2009 r. złożyła do ówczesnego Archiwum PAN przy ul. św. Jana w Krakowie⁴. Drugi egzemplarz, maszynopis liczący 393 strony, z zamieszczonymi po każdym rozdziale przypisami, pani Przybosiova przekazała na moje ręce do zbiorów rękopiśmiennych Biblioteki Naukowej PAU i PAN w Krakowie. Nadano mu sygnaturę 12.059.

Monografia podzielona jest na następujące rozdziały:

Wstęp

- I Powstanie, położenie, nazwa, herb i wygląd zewnętrzny miasta
- II Tarnopol Tarnowskich i Ostrogskich (1540–1620)
- III Zamojscy, Koniepcolscy, Sobiescy panami Tarnopola (1620–1737)
- IV Pod rządami Potockich, Korytowskich i Turkułów (1748–1843)
- V Ludność, pochodzenie, liczba, wzrost, zajęcia
- VI Organizacja życia miejskiego, władze miejskie, obowiązki mieszczan
- VII Handel i rzemiosło
- VIII Kościoły Tarnopola
- IX Cerkwie Tarnopola
- X Żydzi
- XI Udział Tarnopolan w walkach o niepodległość
- XII Dodatek. Nadanie prawa magdeburskiego Tarnopolowi w 1548 r.

² Tamże, relacja z lat spędzonych w Tarnopolu na s. 52–57.

³ Tamże, s. 57.

⁴ Biblioteka Naukowa PAU i PAN w Krakowie, rękopis sygn. 12.059, karta 393, gdzie zamieszczono tę informację.



Przytoczmy powstały po II wojnie wstęp do tej nieznannej monografii Tarnopola, ukazujący zarazem motywację jej Autora:

Ostatnia krwawa wojna dotknęła cały naród polski, zniszczyła wszystkie ziemie polskie, ale najgłębiej, najboleśniej okaleczyła tylko wybrane miasta polskie, jakby je chciała ich męczeństwem wynieść ponad wszystkie inne i krzyżem zasługi naznaczyć. Obok stolicy – Warszawy, szkieletami kościołów, osmalonymi kominami dachów, pustymi oczodołami na wpół zburzonych domów, rumowiskiem całych ulic – o walce o dobrą sprawę świadczy tak tragicznie bohaterskie miasto Tarnopol. Miasto gruzów i ruin, ostatnio w walce ponownie na kresowego rycerza pasowane, na początku piętego stulecia swego istnienia zdało chlubilnie swój egzamin kresowego grodu. Niszczona bezwzględna ręką wroga, bombardowane, palone i plądrowane, głodzone i dziesiątkowane – pozostało wierne Rzeczypospolitej. Ludność jego za tę wierność, za przywiązanie do ojczystej ziemi, prześladowana i gnębiona, w dalekich ziemiach, w setkach obozów na zesłaniu, w snach i tęsknotach długiej tułaczki wskrzeszała sobie obraz ukochanego miasta. Zamiast uniesionej na tułaczkę wizji wież strzelistych miasta i gmachów tonących w zieleni – czekały ich puste pola śmierci. Grozę budzące wieści płynące z kraju nie odbierały jednak wiary, że Tarnopol odżyje znów, że nadal pozostanie na straży naszych ziem, odbudowany, wielki i piękny, stanie się jeszcze bardziej odporny, jeszcze bardziej dumny. Rycerska przeszłość jego, misja od wieków na kresach spełniana, udział w życiu

ziem ruskich, zasłużony, a nieświęcony 400-letni jubileusz (1540–1940), a ostatnio tragedia roku 1944, wszystko to uzasadnia potrzebę poświęcenia temu miastu osobnej monografii.

O Tarnopolu pisano wiele, ale raczej ułamkowo, choć nie brak było ludzi, którzy interesowali się jego przeszłością, zwłaszcza Tarnopolan. Byli wśród nich i obcy, którzy miasto to, w któ-

rym dom i radość pracy dla Polski znaleźli, ukochali jak swoją ojczyznę.

W dodatkach tygodniowych do „Gazety Lwowskiej” od 1852 r. ogłoszono wiele dokumentów dotyczących Tarnopola, między innymi [pisał] i Franciszek Wolański. Akta ławnicze tarnopolskie z lat 1738–1743 wydał i opracował w 1856 r. Aleksander hr. Stadnicki. W „Rocznikach Kółka Naukowego Tarnopolskiego” zebrano wiele wiadomości dotyczących naszego miasta: i tak Tarnopolanin Ludwik Finkel pisał o swoim mieście w 1672 r. O klimacie Tarnopola pisał w „Roczniku Kółka” z 1892 r. Władysław Satke, o Stawie w tymże roczniku R. [oman] Gutwiński, a powiecie Al. [eksander] Medyński w 1911 r. W języku ukraińskim o Tarnopolu i jego okolicy zebrał dużo ciekawych danych ks. Piotr Biliński, drukując je w 1894 r. w „Roczniku Kółka”. J. [óze]f Nogaj również w „Roczniku Kółka” w 1894 r. ogłaszał historię i akt fundacyjny kościoła parafialnego. O gimnazjum tarnopolskim w latach 1820–1848 pisał w 1896 r. Maurycy Maciszewski. O kościele dominikańskim w 1917 r. napisał Wł. [adysław] Żyła. O naszym mieście w czasie pobytu w nim jezuitów pisał wiele ks. Załęski w znanej *Historii Jezuitów*. J. Leszczyński opisał w 1903 r. kraj Tarnopolski pod rządami rosyjskimi. O przeszłości przedhistorycznej i historycznej ziem okolicznych pisali A. Czołowski i Bohdan Janusz, dorzucając wiele uwag i o mieście, w pracy z 1926 r. Przywileje królów i właścicieli Tarnopola z archiwum miejskiego wydał Jan Leniek w „Rocznikach Kółka Naukowego Tarnopolskiego” z 1892 r., a akta procesu o Tarnopol z 1690 r. Kazimierz

Gorzycki również w „Rocznikach” z 1895 r. Jeszcze w 1861 r. w lwowskim „Przyjacielu Domowym” Stanisław Z. zamieścił jeden z pierwszych opisów miasta. Równie dawno o jednym z panów miasta Tomaszu Zamoj- skim pisał Stanisław Żurkowski. W 1893 r. *Słownik geograficzny Królestwa Polskie- go* pod redakcją Bronisława Chlebowskie- go zamieścił obszerny artykuł o Tarnopolu pióra Tadeusza Wiśniowskiego i Ludwika Dziedzickiego. Szereg wiadomości z histo- rii wojennej miasta dorzucił Tadeusz Korzon w swych *Dziejach wojen i wojskowości w Polsce* (1923). O województwie tarnopol- skim z okazji rolniczej Regionalnej Wystawy w Tarnopolu w 1931 r. pisali w pracy zbio- rowej: Józef Haliczner – badacz-geograf Po- dola, S.[tanisław] Gorzuchowski, Wł.[odzi- mierz] Wakar, Al. Czołowski, J. Piotrowski, a w *Przewodniku po województwie* zabierał głos o naszym mieście Tomasz Kunzek, znany działacz z czasów przedwojennych.

Wszystkie te jednak wiadomości czerpane w różnych czasach i z różną historyczną wiedzą nie dawały pełnego obrazu przeszłości naszego miasta. Kiedy więc zbliżał się 400-letni jubileusz miasta, Zarząd Miejski z prezydentem Widackim i wiceprezydentem Pawłowskim na czele zwrócił się do Dyrekcji Podolskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Tarnopolu z prośbą o napisanie naukowej monografii, która by dawała całokształt dzie- jów miasta. Wówczas Dyrekcja Towarzystwa z wiosną 1937 r. powierzyła piszącemu te słowa opracowanie takiej monografii.

Warunki, w których podejmowano tę pracę, nie były łatwe. Wprawdzie istnia- ło już na terenie Tarnopola bardzo czyn- ne ognisko naukowe – Podolskie Towarzy- stwo Przyjaciół Nauk, które opiekowało się i popierało żywy ruch regionalno-naukowy, a niebawem miało on stworzyć prawdzi- wy warsztat pracy – Zakład Naukowy im. Wiktora hr. Baworowskiego – ale fakt, że Tarnopol oddalony był poważnie od zbiorów rękopiśmiennych, gdyż na miejscu można było tylko korzystać z pokaźnej zresztą ilo- ści opracowań i drukowanych źródeł, że musiano znaczną część czasu poświęcać nauczycielskiej pracy zawodowej i pracy społecznej, wpływał ujemnie na tempo pracy. Pomimo kilkakrotnych próśb lwowskie wła- dze szkolne nie udzieliły mi żadnej pomocy, jedynie Dyrektor Podolskiego Towarzystwa

Przyjaciół Nauk, a zarazem mój przełożo- ny w II Państwowym Liceum i Gimnazjum im. J. Słowackiego, dr Adam Heilpern, oka- zał mi swą cenną opiekę w pracy. Im trud- niejsze były warunki pracy na miejscu, tym bardziej cenię sobie życzliwość tych przy- jaciół nauki i miasta, którzy nie szczędzili mi swych cennych wskazówek i opieki na każdym kroku w trudnym okresie zbierania potrzebnych mi materiałów. Na tym miejscu za tę pomoc składał serdeczne wyrazy podzięków drowi Franciszkowi Polniaszkowi i drowi Tadeuszowi Ladenbergerowi. Głów- ne materiały zostały zebrane w Tarnopolu, Lwowie i Krakowie przed wybuchem wojny 1939 r. Odcięty od źródeł lwowskich byłem zmuszony oprzeć się na materiale poprzed- niego zebranym. Konstrukcja pracy nastąpiła w czasie wojny, musi też ona z konieczności nosić piętno tych czasów. Tym należy wytłu- maczyć wszelkie braki zarówno w doborze źródeł, jak i w ich opracowaniu.

Z przywiązania do ukochanego miasta, gdzie znalazłem radość pracy dla Ojczy- zny, z umiłowania tej nieszczęśliwej ziemi podolskiej, z którą związałem się na za- wsze, postanowiłem pracę tę mimo wszel- kich trudności w najsmutniejszym okresie naszej Ojczyzny do końca doprowadzić, by w ten sposób spłacić choć częściowo zaciągnięty wobec niej i jej mieszkańców wieczysty dług wdzięczności⁵.

Wzrusza fakt, iż książka kończona była właśnie jako owo serdeczne zobowiązanie. Z oczywistych względów swoją monografię miasta Tarnopola profesor Adam Przyboś kończył, pisząc „do szuflady”. Na jej wyda- nie przed 1989 rokiem nie było w Polsce szans. Sądzę jednak, że obecnie tekst ów, po pewnych aktualizacjach i rozszerzeniu bibliografii, powinien zostać wydany i że miałby znaczenie zarówno dla polskich, jak i ukraińskich badaczy przeszłości i tradycji Tarnopola.

Za udzielone mi informacje rodzinne oraz udostępnienie fotografii Adama Przybosia z czasów jego pracy w Tarnopolu serdecz- nie dziękuje Pani Profesor Ewie Przyboś- -Razowskiej, córce Profesora.

⁵ Tamże, k. I–IV.

DOMINIKANIE W TARNOPOLU



skiego Kryspina Cieszkowskiego. W akcie konsekracyjnym wystawionym kilka miesięcy później wymieniono 7 ołtarzy: główny św. Wincentego Ferreriusza, Matki Boskiej Różańcowej, św. Alberta Wielkiego i Tomasza z Akwinu, Jezusa Ukrzyżowanego, św. Dominika, Jacka i Czesława, św. Marii Magdaleny oraz św. Tekli.

W 1772 roku, po pierwszym rozbiórce Polski, Austriacy urządzili w klasztorze magazyn wojskowy. Część klasztoru została przeznaczona na cele administracji rządowej oraz mieszkania prywatne. W 1820 roku dominikanie zostali wydaleny z miasta i przeniesieni do Żółkwi. Kościół i klasztor władze w Wiedniu przekazały jezuitom, którzy mieli prowadzić szkołę. W sporządzonym wówczas inwentarzu wspomniano już tylko jeden ołtarz Matki Boskiej Różańcowej oraz kilka obrazów i paramentów liturgicznych. Jezuita szybko uruchomili szkołę, następnie otworzyli gimnazjum, a w 1823 roku otworzyli studium filozoficzne dla świeckich i kleryków jezuckich. W 1821 roku otwarto konwikt, na potrzeby którego wzniesiono osobny budynek, zaprojektowany przez architekta Fidelisa Stadlera (1788–1866).

W latach 1827–1833 w kościele wzniesiono nowe ołtarze: główny, zaprojektowany przez prefekta tarnopolskiego gimnazjum Jakuba Perlinga, a wykonany przez Fidelisa Stadlera, oraz dwa boczne poświęcone jezuitom świętym – Ignacemu Loyoli i Franciszkowi Ksaweremu. Jezuita wybudowali również nową zakrytą przy kościele. Z Wiednia sprowadzono tabernakulum w kształcie Arki Przymierza z figurami klęczących apostołów oraz rzeźby św. Piotra i św. Ignacego Loyoli oraz św. Pawła i św. Dominika. Kolejne ołtarze powstały w latach 1841–1844 (Matki Boskiej Niepokalanej, Matki Boskiej Różańcowej). Przy kościele powstała akademicka Sodalicja Mariańska (1836) i Bractwo Niepokalanego Serca Marii (1844). W 1846

Kościół Dominikanów w Tarnopolu jest niewątpliwie jedną z najważniejszych w dziejach polskiej architektury budowlą sakralną. Klasztor ufundował hetman wielki koronny Józef Potocki 1 października 1746 r. Fundator przekazał teren pod klasztor w północno-wschodniej części miasta, blisko wałów miejskich, i wyznaczył miejsce pod kościół, który obiecał wystawić i odpowiednio uposażyć. W klasztorze miało mieszkać co najmniej 12 zakonników wraz z przeorem.

O budowie kościoła nie wiemy praktycznie nic z uwagi na brak źródeł archiwalnych. W 1771 roku wnukowie fundatora (synowie Stanisława, wojewody poznańskiego) zawarli umowę, na mocy której rotmistrz pancerny Franciszek Potocki, jako dziedzic klucza tarnopolskiego, zobowiązał się klasztor dokończyć i kościół wymurować. Wysokie koszty budowy ponosić mieli jego bracia: Józef, krajczy koronny, Piotr, starosta śniatyński, i Wincenty. Kościół w roku 1777 musiał być ukończony, skoro wówczas malarz Stanisław Stroiński i jego uczeń Józef Chojnicki wykonali polichromię na ścianach i sklepieniu – jedną z najwybitniejszych tego rodzaju malowideł w sztuce polskiej doby późnego baroku. 12 września 1779 kościół został konsekrowany przez sufragana lwow-

roku większość z wyposażenia kościoła została przekazane do klasztoru dominikanów w Żółkwi.

W 1848 roku jezuita zostali zmuszeni do zamknięcia gimnazjum i studiów filozoficznych. Klasztor i konwikt oddano pod zarząd świeckiego proboszcza, który pomieszczenia wynajmował na mieszkania i sklepy; w klasztorze pozostało zaledwie kilku zakonników. Ponownie otwarcie konwiku i kolegium nastąpiło w 1856 roku, ale kościołem nadal administrowali księża świeccy, jezuitom przydzielono odrębną zakrynię i powierzono opiekę nad ołtarzami św. św. Ignacego, Ksawerego i Józefa. W kościele mogli odprawiać msze święte i kazania w wybrane dni tygodnia oraz w czasie nabożeństw majowych.

W 1870 roku uszkodzeniu uległa kopuła świątyni. W 1878 roku sprowadzony z Nysy malarz Karol Stolper odrestaurował ołtarz Matki Boskiej, ołtarz główny i całe prezbiterium. W latach 1872 i 1877 wyremontowano i rozbudowano konwikt, dodano wówczas skrzydło od strony ogrodu. W nowym budynku urządzono kaplicę konwiktorską, sypialnie dla uczniów i profesorów, szatnię, kuchnię, a w przyziemiu łazienki i pomieszczenia dla służby. Z inicjatywy furtiana klasztoru jezuitów br. Kajetana Markiewicza

powstała kaplica cmentarna w Tarnopolu (1861–1865).

Od końca XIX wieku dominikanie prowadzili starania o odzyskanie klasztoru od jezuitów. Ostatecznie jezuita opuścili dominikański klasztor w 1901 roku, a dominikanie wrócili do Tarnopola dwa lata później. Odkupili od jezuitów wzniesiony przez nich konwikt, a z Żółkwi przywieźli szereg paramentów liturgicznych. W ocenie dominikanów kościół był poważnie zaniedbany, przegniła częściowo więźba dachowa, zniszczona była posadzka, a malowidła na ścianach albo częściowo odpadły, albo niefortunnie były przemalowane w czasach jezuitkich. Również klasztor był w złym stanie technicznym, zniszczona była więźba dachowa i sam dach, posadzki, okna, drzwi oraz piece. W latach 1905–1906 przeprowadzono gruntowny remont klasztoru, który wyposażono w elektryczność, a do kościoła zamówiono u malarza Karola Polityńskiego nowe wizerunki świętych dominikańskich Dominika, Jacka i Czesława oraz św. Tomasza z Akwinu.

Dalsze prace nad restauracją świątyni prowadzono pod nadzorem Grona Konserwatorów Galicji Wschodniej, które zatwierdziło plany restauracji wież oraz usunięcia uznanych za bezwartościowe ołtarza głównego i ołtarzy bocznych powstałych w czasach jezuitkich. W restaurację zaangażowali się znani architekci i historycy sztuki, w tym Teodor Talowski postulujący budowę nowych ołtarzy, Władysław Sadłowski, autor projektu nowej wieży dachowej kopulastego dachu, czy Edgar Kováts, autor projektu okna z oratorium nad zakrynią do kościoła. Znany historyk sztuki Franciszek Klein, jeden z pierwszych monografistów świątyni, skrytykował plany przebudowy kopulastego dachu nad nawą. Lwowski malarz Karol Polityński, wcześniej zatrudniony przez zakon w Żółkwi, Podkamieniu i Jezupolu, przeprowadził kompleksową restaurację fresków Stanisława Stroińskiego. W kościele pojawiły się nowe rzeźby – figura Najświętszego Serca Jezusa przywieziona z Paryża oraz Matki Boskiej Zwycięskiej przekazana z Podkamienia. Malarz Polityński namalował wizerunek św. Katarzyny Sieneńskiej do jej ołtarza. Nowe ławki sprowadzono z lwowskiego warsztatu Stanisława Kruka, a organy zaprojektowane przez Zygmunta

Ogólny widok na wnętrze dominikańskiej świątyni, fot. ze zbiorów autora





Hendla wykonała we Lwowie firma Aleksandra Żebrowskiego.

W czasie I wojny światowej kościół nie uległ poważniejszym zniszczeniom. W wyniku ostrzału rosyjskich oddziałów zniszczeniu uległy figury na fasadzie, dach i ołtarz Matki Boskiej Bolesnej; zrabowano wówczas dzwony kościelne. Wprawdzie miasto wkrótce (6 XI 1918) odbili Ukraińcy, ale ci zrabowali klasztor, aresztowali kościelnego Wojciecha Jarzembkiego oraz ostrzelali z karabinów posąg Matki Boskiej Niepokalanej.

W okresie międzywojennym prowadzono stałe prace remontowe w kościele i klasztorze. Za czasów przeoratu o. Dominika Krzanowicza w latach 1920–1923 wstawiono szyby wybite podczas ostrzału artyleryjskiego, naprawiono hełmy wież, wieżyczkę na sygnaturkę, odrestaurowano prospekt organowy oraz zamontowano nowe lampki elektryczne. Gruntownego remontu dokonano w klasztorze i w konwiktach. W następnym okresie, za przeoratu Czesława Kaniaka (1930–1933), prowadzono głównie prace o charakterze konserwatorskim, odnowiono ołtarze, freski w nawie i w kaplicach, jak

i liczne paramenty liturgiczne. Dalsze prace nad odnową lub wymianą elementów wyposażenia kościoła i klasztoru prowadzono do czasu wybuchu II wojny światowej, remontując stare wyposażenie kościoła i klasztoru, lub kupując nowe elementy wyposażenia. Przed rozpoczęciem II wojny światowej dominikanie podjęli remont klasztoru na cele mającej powstać w Tarnopolu Izby Skarbowej, które to prace przerwał wybuch II wojny światowej i wkroczenie do miasta Sowietów.

19 września 1939 wojska sowieckie ustawiły przed kościołem działa pod pretekstem obecności w nim polskich żołnierzy. Mimo że w świątyni nie było nikogo, ostrzelali fasadę, wieże i kopułę, powodując pożar, który zniszczył wnętrze kościoła. Pożaru nie zdołali ugasić strażacy, których Rosjanie ostrzelali, raniąc ciężko obecnego w akcji komendanta. Rosjanie aresztowali wówczas br. Jacka Matogę, usiłującego uratować obraz Matki Boskiej Różańcowej (obraz podczas okupacji rosyjskiej zdołała przeżyć dr Zofia Turecka, dyrektorka gimnazjum w Tarnopolu), Romana Madurę (o. Fabiana), Bronisława Pittnera i Antoniego Górniewicza, których po intensywnych przesłuchaniach wypuszczono na wolność. Brat Jacek Matoga zdołał uciec i udał się do Lwowa, a następnie Lublina. Wśród aresztowanych wówczas znalazł się prezydent miasta Stanisław Widacki.

Po wkroczeniu Niemców w 1942 roku dominikanie mogli ponownie zamieszkać w klasztorze. Przeprowadzili wówczas remont kościoła, wznosząc nad nim nowy dach. W 1945 roku obraz Matki Boskiej Różańcowej został przewieziony przez o. Wojciecha Kobzdeję do Krakowa, a stamtąd trafił do kościoła Dominikanów w Poznaniu. W 1945 roku kościół doznał kolejnych zniszczeń. W czasach sowieckich świątynia pełniła funkcję galerii obrazów, obecnie jest katedrą greckokatolicką. W klasztorze mieści się archiwum obwodowe.

Dzieje budowy kościoła Dominikanów w Tarnopolu są niedostatecznie znane ze względu na niedostatek osiemnastowiecznych materiałów archiwalnych pozwalających odtworzyć fazy budowy i odkryć artystów związanych z realizacją dzieła. Kościół i klasztor niewątpliwie powstały w kilku fazach. Budynek klasztoru wzniesiono w dużej mierze w latach 1746–1750. Czas powstania

kościół jest przedmiotem polemiki naukowej. Datą *ad quem* ukończenia prac murarskich jest rok 1777, w którym powstały malowidła na sklepieniu.

Powstałe w Tarnopolu dominikańskie założenie składające się z trójskrzydłowego klasztoru usytuowanego osiowo za kościołem należy do większej grupy tego typu założeń klasztornych występujących w Polsce w okresie późnego baroku (Niżniów – paulini, Brahiłów – trynitarze). Podobne rozwiązania wprowadzali także dominikanie (Winnica, Tywrów). Jednym z najwcześniejszych tego typu zespołów był zaprojektowany przez Giuseppe Piolet zespół pauliński we Włodawie (ok. 1717–1724), ale kościół podniesiony do wysokości fundamentów na osi klasztoru ostatecznie został rozebrany, a obecny na planie ośmiobocznym powstał w późniejszym czasie obok klasztoru.

Kościół Dominikanów w Tarnopolu wprowadził do literatury przedmiotu Franciszek Klein w pracy będącej krytyką pierwszej w XX wieku restauracji kościoła. Dalej poszedł ks. Władysław Żyła, który przeprowadził obszerną analizę form architektonicznych świątyni na tle architektury polskiej i europejskiej, wyprowadzając genezę układu przestrzennego z architektury morawskiej i austriackiej, a pośrednio także włoskiej; wpływy niemieckie dostrzegał w formach dwuwieżowej fasady. Podsumowując swoje rozważania stwierdził, że autorem projektu świątyni mógł być związany z fundatorem komendant twierdzy w Kamieńcu Podolskim i budowniczy kościoła tego samego zakonu we Lwowie – Jan de Witte. Należy odnotować, że według Żyły zwieńczenia wież dominikańskiego kościoła w formie „pagód chińskich” powstały dopiero w czasach jezuitów. Z atrybucją tą zgodził się Jerzy Raczyński. Odmienne natomiast stanowisko zajęł Tadeusz Mańkowski, który opublikował trzy sygnowane przez Augusta Moszyńskiego rysunki kościoła w Tarnopolu. Ukazują one rzut poziomy, przekrój poprzeczny i fasadę kościoła. Mańkowski prawidłowo wskazał na różnice między kościołem przedstawionym na rysunku a istniejącym dziełem, podkreślając, iż plan, nawa kościoła do wysokości gzymsu oraz dolna kondygnacja fasady są identyczne z zachowanym dziełem, natomiast różnice są widoczne w sposobie przykrycia kościoła oraz opracowania gór-

nej kondygnacji fasady, której formy – jak stwierdził – były skutkiem „dawnego, uświęconego tradycją, pojmowania w Polsce barokowych form architektonicznych”. Badacz ten przypomniał również inne okoliczności, pozwalające widzieć w Moszyńskim autora kościoła tarnopolskiego. Moszyński był bowiem od 1755 roku mężem Teofilii Potockiej, wnuczki Józefa Potockiego – fundatora tarnopolskiej świątyni. Mańkowski zwrócił ponadto uwagę na to, że synowie fundatora (czyli szwagrowie architekta) w dokumencie z 1772 roku wyraźnie zobowiązali się „klasztor dokończyć, kościół wymurować”.

Wątpliwości w stosunku do autorstwa Moszyńskiego wysunął najpierw Zbigniew Hornung, wskazując na Thomasa Rezlera, jako możliwego budowniczego, a w ostatnich latach Jerzy Kowalczyk, przypisując fasadę kościoła tarnopolskiego Pawłowi Giżyckiemu. Hornung nie uzasadnił szerzej swojej hipotezy, podnosząc jedynie ogólne podobieństwa kościoła tarnopolskiego do kościoła Pijarów w Chełmie. Z kolei Kowalczyk oparł swoje spostrzeżenia na zdaniu Marii Krasnowolskiej, która przed II wojną światową sformułowała hipotezę o zaleźności formalnej fasady tarnopolskiego kościoła od fasady kościoła Jezuitów w Krzemieńcu. Jeszcze dalej poszedł Andrzej Betlej, który nie tylko fasadę, ale i korpus świątyni w Tarnopolu przypisał jednoznacznie Giżyckiemu. Stwierdził ponadto, że dzieło wzniesiono w latach pięćdziesiątych, a rysunki Moszyńskiego, które zadatowała na około 1770 rok, uznał za inwentaryzacyjne (rzut poziomy) lub za projekty niezrealizowanej przebudowy kościoła (widok fasady i przekrój). Jednocześnie w obszernej analizie doszukiwał się podobieństw w zakresie kompozycji fasady i detalu. Wybór przez Giżyckiego planu owalnego tłumaczył wpływem grupy centralnych świątyń Paolo Fontany.

Rozstrzygnięcie autorstwa oraz ustalenie chronologii kościoła tarnopolskiego jest niezwykle trudne. Rozbieżne stanowiska wspomnianych badaczy, a w ostatnich latach sugestie Kowalczyka oraz atrybucja Betleja nie znajdują poparcia ani w przekazach źródłowych, ani też w formach świątyni. Wzmianki w dominikańskich archiwaliach są zbyt lakoniczne, aby na ich podstawie móc stwierdzić, jaki był stan robót przy kościele w latach pięćdziesiątych. Z drugiej strony

pamiętać należy, że we wspomnianym dokumencie spadkobierców Potockiego z 1772 roku jest wyraźnie powiedziane o konieczności ukończenia klasztoru i wymurowania, czyli wybudowania kościoła. Trudno się zgodzić z opinią, że kościół zaprojektował Paweł Giżycki pod wpływem dzieł Paolo Fontany. Oparty na owalu rzut poziomy tarnopolskiego kościoła – tak rzadko występujący w polskiej architekturze – jest bardzo daleki od znanych prac Giżyckiego, który nigdy nie wybudował kościoła założonego na planie zbliżonym do owalu. Tłumaczenie w tym przypadku wyboru trudnego technicznie do zrealizowania układu przestrzennego wpływem dzieł włoskiego architekta jest nabytym ryzykowne. Co więcej, wnętrze kościoła Dominikanów zostało opracowane zupełnie odmiennie niż kościoły z tzw. grupy lubartowskiej. Zastosowane w tarnopolskim kościele rozwiązania, w tym płaskie podziały ścian, równej wysokości arkady między nawowe, nawy boczne rozczłonkowane przy pomocy wnęk arkadowych oraz wysokie okna w kaplicach bocznych i w tamburze pozwalają wiązać to wnętrze z klasycyzującym włosko-francuskim barokiem z pierwszej połowy XVIII stulecia. Taki charakter mają projekty Moszyńskiego.

Ogólny schemat ukazany na nich kościoła nawiązuje do projektów Ascanio Vittozziego sanktuarium w Vicoforte koło Mondovì, ale sposób artykulacji ścian i detale są bliższe dziełom Ferdinanda Fugii, Luigiego Vanvitellogo i Rodriguesa Dos Santos – architektów spod znaku barokowego klasycyzmu. Próba szukania możliwych źródeł inspiracji dla Moszyńskiego jest obciążona dużym ryzykiem błędu, ponieważ o jego edukacji artystycznej wciąż wiemy niewiele. Moszyński był wychowany na dworze saskim w Dreźnie. Uczęszczał do szkoły wojskowej, a rozległe wykształcenie w dziedzinie architektury – jak się przypuszcza – uzyskał w kręgu saskich architektów (być może u boku rzymianina Gaetano Chiaverego). Edukację uzupełnił w trakcie podróży do Francji, Anglii i Włoch. Za Moszyńskim jako autorem projektu, według którego rozpoczęto budowę kościoła w Tarnopolu, mogą świadczyć szczegóły formalne. Artykulacja elewacji zewnętrznych naw bocznych jest niemal identyczna z podziałami pionowymi świątyni misjonarzy w Mikulińcach, której

projekt – choć w trakcie budowy znacznie zmodyfikowany – wykonał właśnie Moszyński. W obu kościołach elewacje zewnętrzne otrzymały obszerne okna zamknięte półkoliście i pilastry o identycznych kapitelach podtrzymujące profilowane subtelnie belkowanie. W przypadku fasady należy zauważyć, że jej dolna kondygnacja jest niemal identyczna z projektem Moszyńskiego. Wprowadzone pilastry otrzymały oryginalne antykizujące kapitele z kanelowanymi trzonami i kampanulami podwieszonymi pod wolutami, nawiązujące do wzorów rozpowszechnionych w kręgu architektów Accademia di San Luca m.in. przez Francesco Fontanę, a następnie architektów francuskich. Klasycyzujące motywy dolnej kondygnacji wyraźnie kontrastują z występującymi w drugiej kondygnacji formami późnobarokowymi (obramienia wokół okien i nisz, zwieńczenie, trójkątne i segmentowe przyczółki) oraz rokokowymi motywami zdobniczymi (podwieszone rocaille, wazony). Te ostatnie znajdują bezpośrednie analogie w fasadzie kościoła Pijarów w Złoczowie.

Odmienny wyraz stylistyczny otrzymała elewacja południowej kruchty przy prezbiterium kościoła, cofnięta w stosunku do skrzydła klasztoru i zakrystii. Nad kolumnami ujmującymi portal ustawione były figury świętych, a na szczycie atrybut świętego Jacka – pies. Obok niego dwa wazony, z których jeden leżał w ziemi, oraz postacie chłopców. Na froncie emblematy godności papieskiej, biskupiej i kardynalskiej.

Malowidła Stanisława Stroińskiego, które powstały w latach 1777–1779, były – obok polichromii w kościele w Podkamieniu – drugą tak monumentalną i jednocześnie znakomitą pracą tego artysty dla dominikanów prowincji ruskiej. Według Zbigniewa Hornunga dzieło w Tarnopolu było największym w karierze malarza. Stroiński pracował przy udziale warsztatu, w skład którego wchodził uczeń Józef Chojnicki. Z racji całkowitej destrukcji monumentalnego dzieła warto je szerzej omówić tak pod względem ikonografii, jak i formy artystycznej.

Tematyka malowideł w prezbiterium została skoncentrowana na osobie patrona – św. Wincentego Ferrariusza, którego wizerunek znajdował się w ołtarzu głównym. Na sklepieniu ukazano św. Wincentego wskazującego na cud uzdrowienia leżącej na łożu

niewiasty przez Doktora Kościoła (św. Hieronim?). Ferrariusz zwraca się ku górze, gdzie w skłębionych obłokach jest ukazana grupa aniołów unosząca krzyż oraz Trójca Święta. W tle przedstawionej sceny widoczna jest kolumna na tle dwuprzelotowej arkady otwierającej się na daleki krajobraz z fragmentem architektury pałacowej z jednej strony i wiejską chatą z drugiej. Scenie towarzyszą dwaj dominikanie, jeden z krzyżem, drugi z księgą, umieszczeni na tle malowanych konsol. Na ścianach bocznych ukazano cuda św. Wincentego. Od pn. został przedstawiony św. Wincenty (postać odmalowana przez Karola Polityńskiego) w zakonnym stroju na kilkustopniowych schodach w chwili uzdrowienia leżącej u dołu schodów kobiety podtrzymywanej przez młodzieńca. Scenie przyglądają się z niedowierzaniem dwaj umieszczeni za świętym mężczyźni, jeden stojący, drugi klęczący, oraz wychylający się zza kolumn ludzie, którym cud uzdrowienia wskazuje siedząca na schodach postać starszego mężczyzny w kapeluszu (być może św. Hieronim w kapeluszu kardynalskim). Po przeciwnej stronie prezbiterium malarz zilustrował opowieść o cudownym ocaleniu tonącego w morzu młodzieńca uchodzącego z obłożonego miasta. Postać młodego mężczyzny o jasnych włosach, ubranego w obcisły czerwony kubrak z żółtymi rękawami, jest zanurzona do pasa w spienionych falach morskich. W rękę trzyma on wizerunek świętego, którego postać widzimy na tle nieba, unoszącego się na chmurze, wraz z aniołem. Z fal morskich wylania się głowa delfina, któremu młodzieniec bezpośrednio zawdzięczał ocalenie. W tle są widoczne sylwety statków oraz fragment miasta z wysoką wieżą.

Tematyce scen w prezbiterium odpowiadają wydarzenia przedstawione na sklepieniu nawy głównej. W scenograficzne ramy iluzoryjnej architektury, z kopułą pośrodku i kolumnowymi portykami w polach skrajnych, artysta ujął misyjną działalność św. Wincentego, ukazanego z krzyżem w rękę i głoszącego Słowo Boże wśród pogan – wyobrażonych jako osoby ubrane w orientalne stroje. Kopuła wspiera się na konsolach i czterech pendentywach, w których znalazły się kobiece alegorie czterech części świata, ukazanych na tle palm. Wyjątkiem jest Europa siedząca na tle obelisku z emblematami



Posąg Matki Boskiej Niepokalanej, fot. ze zbiorów autora

papiestwa z białym orłem z rozpostartymi do lotu skrzydłami. Palmy i obelisk zwieńczono różowo-filetowymi koronami. Postać symbolizująca Europę ubrana została w obficie drapowane szaty koronacyjne z globusem i księgami przy boku oraz białym rumakiem w tle. Afryka to półnaga Murzynka z przepaską z piór na biodrach i podobnym nakryciem głowy, trzymająca w rękę parasol. W tle postaci ukazany został słoń, a na ziemi tarcza. Alegorię Azji wyobrażono pod postacią kobiety we wschodnim stroju z tureckim turbanem na głowie, prowadzącą wielbłąda za uźdę, a Amerykę jako Indiankę, z włócznią i tarczą w rękę, u której nóg pełza krokodyl. Na sąsiednich kolebkach, w ich pendentywach, umieszczono czterech Ewangelistów.

Program ikonograficzny dekoracji malowideł uzupełniają sceny w nawach bocznych powiązane ideowo z ołtarzami na zakończeniu tychże naw. W nawie pn. odmalowano wydarzenia związane z patronem zakonu dominikańskiego. Pierwsza z kompozycji ukazywała wizję papieża Innocentego III, który we śnie ujrzał św. Dominika i Franciszka podtrzymujących budynek świątyni – symbolizującej Kościół Powszech-

ny. Na sklepieniu malarz ukazał obu świętych przytrzymujących centralną świątynkę ujętą parami kolumn i nakrytą kopułą. Na sąsiednim polu sklepienia ukazano dysputę św. Dominika z waldensami i albigen-sami. Święty, umieszczony wśród postaci ubranych w stroje wschodnie, jest ukazany w chwili palenia, z których ocalała jedynie ewangelia, a spalone to księgi heretyckie. W tle postaci jest widoczna panorama miasta z wysoką wieżą. Na sklepieniu ostatniego z przęseł nawy bocznej znalazła się scena historyczna o nieustalonej treści, także ze względu na brak przekazu ikonograficznego. Była na niej grupa trzech postaci: biskupa w szatach pontyfikalnych, zakonnik dominikańskiego z krucyfiksem w ręku oraz mężczyzny w stroju generalskim. Za nimi scena batalistyczna, rozgrywająca się u podnóża warownego grodu. Polichromia w pd. nawie kościoła poświęcona została Matce Boskiej. Pola od strony ołtarza Matki Boskiej Różańcowej przedstawiały Zwiastowanie, Adorację Pasterzy, oraz Jezusa na krzyżu ze stojącymi pod nim Marią, Marią Magdaleną i św. Janem.

Zgodzić się należy z opinią Zbigniewa Hornunga, iż polichromia kościoła Dominikanów w Tarnopolu zarówno rozmachem kompozycyjnym, jak i poziomem wykonania przewyższa wszystkie wcześniejsze prace artysty. Stroiński z dużą swobodą posługuje się zarówno panoramycznym, wręcz wizyjnym typem kompozycji w prezbiterium, jak i wymyślną architekturą iluzjonistyczną w nawie. W wielu jednak miejscach artysta posługuje się raz wypracowanymi rozwiązaniami, nierzadko opartymi na wzorach graficznych i traktatach, oraz wprowadza je niezależnie od dyspozycji przestrzennej wnętrza i powierzchni sklepienia przeznaczonej pod malowidło. Przykładowo, widoczne na sklepieniu nawy głównej tarnopolskiego kościoła wolno stojące portyki, założone na planie owalnym i zwieńczone wazonami z kwiatami, Stroiński wprowadził również na gotyckim sklepieniu katedry łańciskiej we Lwowie. Z kolei iluzjonistyczne ołtarze, które w Tarnopolu znajdowały się na ścianach naw bocznych, wykazywały duże podobieństwo do ołtarzy w kościele Benedyktynów pw. św. Trójcy w Przemyślu (1773–1770). Już Hornung zauważył, iż w malowidłach tarnopolskiego kościoła artysta odchodzi od

wrażeniowego czy wręcz impresjonistycznego i światłocieniowego oddawania form na rzecz kształtów modelowanych bardziej plastycznie. W takim duchu utrzymane są również dekoracje naw bocznych, w których motywy mają charakter uproszczony i gdzie „znika bogata niegdyś dekoracja gurtów i malowniczy ornament muszlowy na powierzchni architektonicznych pól, a na ich miejscu pojawia się skromny motyw antycznych tryglifów i metop”. Trudno przy obecnym etapie badań stwierdzić, czy owo wysubtelnienie owych motywów i powrót do naturalności i prostoty świadczy o ewolucji twórczości Stroińskiego w kierunku coraz powszechniejszego klasycyzmu, czy też jest konsekwencją współpracy i twórczego udziału licznych współpracowników i uczniów (np. Józefa Chojnickiego).

Spośród barokowego wystroju kościoła na uwagę zasługuje rokokowa ambona z figurami czterech Doktorów Kościoła, zwieńczona figurą św. Wincentego Ferrariusza, oraz drewniane epitafium o bogatej dekoracji rzeźbiarskiej.

Tadeusz Mańkowski odnotował również bliżej nieokreśloną grupę rzeźb znajdującą się na dziedzińcu klasztoru Dominikanów w Tarnopolu. Prawdopodobnie pochodziły one ze zniszczonego klasztoru Dominikanów w Olesku. Według badacza rzeźby te były stylistycznie bliskie rzeźbom na fasadzie kościoła Dominikanów we Lwowie i najprawdopodobniej były dziełem Sebastiana Festingera. Problematykę artystyczną figury Matki Boskiej Łaskawej, która do kościoła trafiła z prospektu organowego kościoła Dominikanów w Podkamieniu (znakomite dzieło Franciszka Ołędzkiego, 1774) jest obecnie przechowywana w kościele Dominikanów w Warszawie. Spośród obrazów na uwagę zasługuje obraz Matki Boskiej Różańcowej, obecnie w kościele Dominikanów w Poznaniu, utrzymany w klasycyzującej konwencji bliskiej twórczości Szymona Czechowicza.

Z XIX-wiecznego wyposażenia świątyni na uwagę zasługuje zespół klasycystycznych ołtarzy kolumnowych, z których główny zaprojektował ks. Jakub Pierling SJ (1784–1870), prefekt gimnazjum w Tarnopolu. Jego prace nie były dotąd znane. Studiował w Półocku filozofię (1805–1807) i teologię (1811–1816), był profesorem architektury (1811–1816) i języka niemieckiego (1813–1819)

oraz regensem konwiktu (1813–1819) w Połocku, następnie regensem konwiktu i profesorem języka francuskiego w Witebsku (1819–1820). W Tarnopolu był profesorem i prefektem gimnazjum w latach 1820–1829, w dwóch kolejnych latach – rektorem. Pełnił także funkcje prowincjała galicyjskiego (1831–1837, 1843–1846), rektora w Grazu (1837–1838), superiora w Innsbrucku (1839–1843), prowincjała austriackiego (1838–1843, 1846–1850), od 1850 roku asystenta przy generale zakonu. Odnotowany przy budowie ołtarzy Fidelis Stadler (1788–1866) przed wstąpieniem do zakonu pracował przy dworze cesarskim w Petersburgu. Był stolarzem w klasztorze w Połocku (1815–1819) i Szczacitowie (1819–1820), a po wyrzuceniu jezuitów z Rosji pełnił funkcję stolarza i prefekta budowy w Wiedniu (1820–1822), Starej Wsi (1822–1828, 1835–1837, 1856–1866) i we Lwowie (1837–1839, 1840–1852). W Tarnopolu był czynny w latach 1828–1835, 1839–1840 oraz 1855–1856. Kierował budową seminarium duchownego w Tarnowie i konwiktu we Lwowie.

Ołtarz główny kościoła w Tarnopolu otrzymał formy późnoklasycystyczne. Jego schemat złożony z par kolumn podtrzymujących proste belkowanie, ze zwieńczeniem utworzonym przez krzyż okolony chmurami na tle glorii promienistej, posłużył jako wzór dla drewnianego ołtarza głównego w kościele parafialnym w Kołomyi (ukończony w 1851). Formy ołtarza w Kołomyi, którego pierwotny wygląd widoczny na archiwalnej fotografii jest znany fragmentarycznie, zostały uformowane na sposób późnobarokowy, wzbogacone o dodatkowe kolumny, półkoliście zamknięte przejścia w partii cokołowej, wylamane ponad kolumnami belkowanie. Widoczne na belkowaniu piedestały o falujących zamknięciach z puttami i postaciami adorujących aniołów mogły zostać dodane wtórnie. Należy także zauważyć, że kształt tabernakulum w formie Arki Przymierza z ołtarza w kościele Dominikanów w Tarnopolu jest niemal identyczny z tabernakulum w Kołomyi. Nawet stylistyka figur z kołomyjskiego ołtarza jest bliska figurom widocznym na fotografiach archiwalnych ołtarza tarnopolskiego.

Pozostałe ołtarze w tarnopolskiej świątyni były utrzymane również w stylistyce kla-

sycystycznej. Ołtarze w nawie głównej, przy filarach, a także ołtarz w nawie północnej mógł również zaprojektować Jakub Pierling. Ostatni z wymienionych ołtarzy, utworzony z kolumn ustawionych na planie otwartej półelipsy, znajduje szereg pierwowzorów, z których wymienić należy przede wszystkim włoskie dzieła Andrei Palladia (ołtarz główny w kościele Il Redentore w Wenecji) i polskie Tommasa Bellottiego (ołtarz główny w kościele parafialnym w Rokitnie koło Warszawy), a przede wszystkim Efraima Szregera (ołtarze w katedrze w Gnieźnie, kościołach w Skierniewicach i Tumie pod Łęczycą). Niewiele wiadomo o strukturze ołtarza Matki Boskiej Różańcowej, z wyjątkiem tego, iż jego projektantem był rektor (1843–1845) tarnopolskiego kolegium Mateusz (Maciej) Czyhir (1795–1868). Wykształcony w Połocku w zakresie filozofii i matematyki, studiował teologię w Starej Wsi i Tyńcu. Był profesorem retoryki, etyki i matematyki w Starej Wsi (1828–1832), sekretarzem prowincjała (1834–1840, 1845–1866), rektorem i magistrzem nowicjatu w Starej Wsi (1840–1843).

Restauracja świątyni dominikańskiej, prowadzona od 1906 roku, wpłynęła znacząco na wyraz stylowy bryły zewnętrznej, ale i wnętrza. Architekt Władysław Sadłowski zaprojektował nową drewnianą konstrukcję – kopułę pozorną, nakrywającą pograżone w tamburze sklepienie. Kształt nowej kopuły skrytykował Franciszek Klein. Nowa kopuła była bowiem smuklejsza od poprzedniej, zwieńczona ażurową, wyższą wieżyczką na sygnaturkę i powiększonymi owalnymi lukarnami, które – jak pisał – „w dziwnie krzyczący sposób wyrrywają się z jej profilu”. Klein wypowiedział się także krytycznie na temat planów przebudowy helmów wież oraz postulowanych przez Teodora Talowskiego usunięcia z wnętrza dziewiętnastowiecznych ołtarzy. Znamienne, że odwołał się do poglądów formułowanych przez uczonych w związku z restauracją katedry krakowskiej.

Warto również odnotować, że znajdujący się kilka lat w głównym ołtarzu kościoła obraz Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, namalowany na desce, przywieziony przez ss. józefitki z Francji w 1904 roku, obecnie przechowywany jest w kaplicy Matki Boskiej Nieustającej pomocy w Wałbrzychu. O dawnej świetności wystroju wnętrza świadczą już dzisiaj wyłącznie archiwalne fotografie.

„Nasza Pani Tarnopolska” w Poznaniu

W swej książce wydanej we Lwowie w 1935 roku *Królowa Różańca św. w Kościele i Polsce* w tomie drugim ojciec Konstanty Żukiewicz (1874–1948) pisał o obrazie Matki Boskiej Różańcowej z dominikańskiego kościoła w Tarnopolu:

„W obłokach otoczona aureolą anielskich główek, z Dzieciątkiem Jezus przy piersi, spoczywa nieba i ziemi Królowa. U dołu wyrasta krzew róży, aniołowie wiją z niego wieńce, to znowu układają różańce i podają je Najświętszej Pannie. Dziecię Jezus różaniec trzyma w lewej ręczce, a zarazem spogląda pełne majestatu i powagi na ziemię. (...) Pobożni czciciele, jak świadczy inwentarz kościoła, uwieńczyli skronie Chrystusa i Jego Matki cennymi koronami, a postać Pocieszycielki odziali w srebrną szatę. Wisiało dokoła obrazu wiele wotów i wszystkie te ozdoby istniały jeszcze w roku 1861”.

W poznańskim kościele Ojców Dominikanów znajduje się jedna z cenniejszych w tym mieście pamiątek związanych z Kresami Południowo-Wschodnimi, ważna nie tylko z racji historycznej i artystycznej wartości, ale z powodu kultu, jakim cieszy się wśród wiernych, nie tylko tych pochodzących z Kresów. Mowa o słynącym cudami obrazie Matki Bożej Różańcowej z kościoła Dominikanów w Tarnopolu.

W materiałach przeze mnie zebranych nie ma określonej dokładnej daty powstania tegoż obrazu. Został ufundowany prawdopodobnie przez rodzinę Potockich, a namalowany został we Włoszech. Przepuszczalnie powstał w tym samym czasie co kościół dominikański wraz z klasztorem – a był to rok 1779. Kościół Dominikanów w Tarnopolu, który szczęśliwie dotrwał do dziś, stanowi jeden z największych zabytków późnego baroku województwa tarnopolskiego. Niestety po upadku ZSRR nie został oddany prawowitym właścicielom. Najpierw trafił do wyznawców prawosławia, później siłą został zajęty przez grekokatolików. W klasztorze natomiast znajduje się archiwum obwodowe. Katolicy w Tarnopolu, mimo że przed wojną posiadali trzy kościoły, nie odzyskali

żadnego. Jeden z nich, kościół parafialny, został wysadzony w latach 50. XX w. Nabożeństwa od 1989 roku odbywały się w kaplicy cmentarnej, dopiero w 2009 roku zostały przeniesione do nowo wybudowanego kościoła znajdującego się przy prospekcie Bandery (sic!), w którym znajduje się kopia cudownego obrazu Matki Bożej Różańcowej.

Wróćmy jednak do czasów dawniejszych. Kościół i obraz w XVIII i XIX w. kilkakrotnie zmieniał opiekunów. Niedługo po konsekracji kościoła cesarz austriacki Józef II skasował na terenie Austrii zakon dominikanów¹ – musieli oni przenieść się do Żółkwi koło Lwowa. Na ich miejsce przybyli jezuiti, których zakon skasował car rosyjski². Władze austriackie przekazały jezuitom na siedzibę kościół Dominikanów w Tarnopolu. Okres tych zawirowań trwał do roku 1903,

¹ Dekret z 1792 roku o kasacji wszystkich zgromadzeń męskich i żeńskich niezajmujących się szkolnictwem. Zlikwidowano wtedy ok. 700 domów zakonnych gromadzących blisko 38 tysięcy zakonników i zakonnice. Pomimo tego cesarz Józef II uważany jest jako reformator oraz odnowiciel Kościoła Austrii, chciał bowiem pokryć kraj możliwie jak najgęstszą siecią parafialną, tak aby z każdej miejscowości można było w ciągu godziny dojść do kościoła. W latach 1782–1783 utworzono 800 nowych parafii. Towarzystwo uregulowało organizację kościołów, które nie pasowały do cesarskiego schematu. Proboszczowie mieli być w zamysłach Józefa II urzędnikami państwowymi. Z ambon mieli odczytywać i objaśniać rozporządzenia cesarskie, szerzyć wiedzę rolniczą i medyczną, zwalczać przesady, nawoływać do pracowitości i moralności oraz uczyć młodzież. Cesarz drobiazgowo uregulował organizację parafii i diecezji, ingerując nawet w porządek nabożeństw. Rozwiązywał bractwa religijne, zakazywał procesji i pielgrzymek. Ze względów oszczędnościowych określał nawet, ile świec może się palić na ołtarzu.

² Jezuitów skasował papież Klemens IV w 1773 roku na całym świecie prócz Prus i Rosji, które sprzeciwiły się temu. Zakon odnowiony został w 1814 roku, co spowodowało sprzeciw cara Aleksandra I, który w 1820 roku wygnał ich z Rosji. Decyzja cara podyktowana była tym, że chciał w Rosji utworzyć w Połocku „centra” jezuitów.

kiedy do Tarnopola wrócili dominikanie. Jezuita w 1908 roku wybudowali dla siebie nowy kościół, po 1945 roku przekształcony na fabrykę. Obydwa zgromadzenia dbały o kościół i klasztor, prowadziły remonty i wyposażały wnętrze.

To dzięki jezuitom w Polsce utrwaliła się tradycja nabożeństw majowych. Ich celem było pokazanie parafianom piękna cudownych wizerunków Matki Boskiej, które stawiano w ołtarzu głównym. Pierwsze nabożeństwa majowe na ziemiach polskich odbywały się od roku 1827 w Tarnopolu i adresowane były do uczniów szkół gimnazjalnych. Majowe msze wprowadził ojciec Franciszek Ksawery Asum. W 1836 roku zaczęto je praktykować w Starej Wsi pod Brzozowem, a od roku 1832 (lub 1837) we Lwowie. Z bardzo dużą dozą prawdopodobieństwa, graniczącą z pewnością, przyjąć należy, że pierwsze nabożeństwo majowe odbyło się przy omawianym przeze mnie obrazie. Ojciec Święty Pius XI 29 września 1930 roku udzielił odpustu 300-dniowego za każde wezwanie: „Pani Nasza Tarnopolska, módl się za nami!”.

Cudowny obraz znajdował się w prawej bocznej nawie kościoła, gdyż w ołtarzu głównym umieszczony był obraz patrona kościoła – św. Wincentego Ferreriusza. Obraz Matki Bożej Różańcowej zdobiony był koronami, choć nigdy nie był oficjalnie koronowany, oraz wieloma wotami pochodzącymi od wiernych jeszcze z XIX wieku.

I wojna światowa i walki polsko-ukraińskie spowodowały ostrzał świątyni, ale w przeciwieństwie do innych budynków kościół szczęśliwie ocalał. Jednak nie obyło się bez dramatycznych chwil. Zachowała się relacja o głębokiej wierze w MB Różańcową w 1919 roku, przechowana przez Ojca Żukiewicza:

„Było to dnia czwartego, w pierwszą niedzielę maja 1919 roku, gdy kościół polski święcił uroczystość swojej Królowej, a zakon dominikański obchodził pamiątkę 500-letnią zgonu świętego Wincentego Ferreriusza, szczególnie uroczyście w Tarnopolu, jako patrona swojej świątyni. O godzinie dziesiątej wieczór przyszedł żołnierz ukraiński, z najeżonymi bagnietami, wzywając mnie, abym natychmiast stawił się do sądu wojskowego. Sytuacja nie bardzo miła dla nikogo, kto zetknął się, chociażby raz i to



Wizerunek Tarnopolskiej MB Różańcowej

z daleka, z hajdamakami, a cóż dopiero w połowym sądzie.

Poleciłem się gorąco Matce Boskiej Różańcowej, słynącej łaskami w naszym kościele, i świętemu Wincentemu, i spłynęła do duszy mojej dziwna ufność, że w dniu tak wielkim, Oni mię nie opuszczą, ale owszem, spełnią jakąś niezwykłą łaskę swoją. Noc była deszczowa i choć majowa, ciemna bardzo, szedłem w otoczeniu patroli i odmawiałem różaniec. Wstępując na salę sądową, dorozumiałem się, że chodzi tu o spowiedź przedśmiertną skazańca. Ale po co mię wolał? Wszak jest już administrator parafii ksiądz Eugeniusz Baziak. Przyszedł wezwany pod nieobecność komendanta Wołka, który zastawszy go już słuchającego spowiedzi, z niewiadomej przyczyny przerwał mu takową i zagroził wyrzuceniem. Wołek posłał patrol po mnie, ale ksiądz Baziak czekał, aby mi oddać Najświętszy Sakrament.

O, jak źle było Panu Jezusowi wśród tych hajdamaków, a rzekomo katolików. Żadnego stolika, gdzie by można złożyć „Sanctissimum”, żadnego światła, a dokoła kręcą się dzikie postacie Ukraińców, bez

najmniejszego znaku uszanowania – jak gdyby ten Chrystus nie był ich Bogiem, dlatego, że przyniósł Go ksiądz polski. – Potrzeba więc było wziąć Pana Jezusa na piersi i tulić Go do siebie. Gdzie mam spowiadać? – zapytałem. – Ot, tutaj na sali – odrzekł komendant i wskazał mi na stojący pod drzwiami tapczan i na klęczącego przed nim młodego chłopca, Rudolfa Popiela. Jak to tutaj? – mówiłem. – Wśród tylu świadków? Zaprowadźcie mnie do więziennej kaplicy lub osobnej celi. – Innego miejsca nie ma – odpowiedział oficer. – Jak ksiądz chcesz spowiadać, to spowiadaj, a jak nie, to się obejdzcie! – Więc nie było rady i zacząłem spowiedź...

Skończyłem spowiedź i już miałem mu podać Komunię świętą, wtem myśl przeleciała mi przez głowę: czy prócz ciebie nikt więcej nie jest skazany na śmierć? Och! Jest jeszcze drugi, była odpowiedź i to jest ogromną męką moją. Ja wiem, że będzie tak, jak mówiłeś, ojczy, Matka Boska weźmie mię do siebie, ale on w nic nie wierzy, a jest bardzo szlachetnym chłopcem, on może zginąć jak zwierzę... I to jest, co mi zatruwa tę chwilę ostatnią! Chłopiec był jak lilia czysty, tę mający winę, że kochał Polskę i dlatego był skazanym na śmierć! Żadnej broni nie znaleziono u niego, jednak go o to skazano i nahajkami wyznanie wymuszono... Jaką siłą zachowałeś tak czystą duszę wśród tylu ponęt do złego, wśród znieprawienia tej okrutnej wojny? – pytałem chłopca. – Ojczy – odrzekł – w naszym kościele jest taki śliczny obraz Matki Boskiej Różańcowej, tam modliłem się często bardzo... – Módl się – odrzekłem – módl się gorąco do Matki Boskiej Różańcowej. Komunii świętej w tej chwili ci nie dam, bo mam tylko jedną Hostię, więc muszę ją między was obu podzielić. Ofiaruj te ciężkie chwile twoje za jego nawrócenie, a zobaczysz, pójdziecie razem do Matki Boskiej!...

Czy już nie ma więcej nikogo do spowiedzi? – zapytałem oficera. – Ot, jest jeszcze jeden skazaniec – brzmiała odpowiedź i wskazał na młodego człowieka stojącego wśród żołnierzy. Był to ukończony student filozofii Jerzy Dmytrów. Zbliżyłem się do niego z zapytaniem, czyby się nie chciał pojednać z Bogiem? Odpowiedział mi pełen spokoju: – Proszę księdza nie odbierać mi odwagi. Ukochałem Polskę i ona była jedyną ideą mojego życia, śmierć moja niech będzie dowodem, jak ją kochałem i jak jej służyłem.

A że śmiercią skończy się wszystko, bo poza nią nic nie ma i ja w nic nie wierzę! Właśnie – odrzekłem – przychodzę, mój bracie drogi, aby ci więcej jeszcze dodać odwagi, bo wiara nie odbiera jej, ale dodaje. Zresztą jesteś pewnym, że poza grobem nic nie ma, że ze śmiercią kończy się wszystko? – Czy jestem pewnym... pewnym??? – powtarzał, jakby chciał sobie coś przypomnieć. – Pewnym nikt być nie może, ale wątpię! – Więc czy nie lepiej rozwiązać te wątpliwości, a jeśli tam coś jest, czy nie lepiej iść przygotowanym? Życie twoje tutaj było ciężkim, śmierć okrutną, tam przynajmniej lepiej ci będzie. – Skupił się w sobie na moment, a po chwili wyrzekł: Nie myślałem o tym, księżo, nikt tak do mnie nie mówił...

– Pan pozwoli – zwróciłem się do komendanta – że z tym człowiekiem porozmawiam nieco. Ale groźny Wołk odrzekł krótko: – Jeśli delikwent chce się spowiadać, to dobrze, na żadne się rozmowy nie zgadzam. – Przecież pan także katolik – mówiłem dalej – pan słyszy, że tu nie ma mowy o sprawach politycznych, ale o rzeczach sumienia, proszę więc nie bronić... – Wołk skinął głową i poszliśmy ze skazańcem do stojącego w kącie tapczanu...

Po chwili rozmowy zaszedł znowu jeden epizod. Dmytrów był strasznie zbitym, tak że nie mógł klęczeć, więc prosiłem go, by usiadł przy mnie. Rozmowa nasza była krótką, bo jak się okazało i niewiara nie była głęboką, ot, zwykła niewiara młodzieńcza, jedno moje zdanie wystarczyło, aby go przekonać zupełnie i usłyszeć wyznanie: – Ojczy, wierzę we wszystko, tak jak uczyłem się w katechizmie!

Rozpoczęliśmy spowiedź. Wtem na środek sali wchodzi Wołk i głosem donośnym pyta: – Dlaczego delikwent nie klęczy? Spowiadać księdzu pozwałam, ale rozmawiać zabraniam! – Dmytrów odpowiada spokojnie: – Nie klęczę, boście mię tak zbili, że klęczeć nie mogę. – Wołk sroży się więcej jeszcze, podnosi rękę i wrzeszczy: – Protestuję przeciw temu, bo u nas nikogo się nie bije! – Tymczasem bili. Och! I jak bili, że ludzie konali pod nahajkami! Proszę komendanta, by mi nie przeszkadzał i pozwolił kończyć spowiedź. Słyszę na to rozkaz: – Spieszyć się, bo nie ma czasu!

Po spowiedzi prosił mężny skazaniec, aby się z nim pomodlić. Jakaż modlitwa sto-

sowniejszą była jeśli nie „Zdrowaś Maryjo”? Odmawiał każde słowo ze skupieniem tak głębokim, jakby od razu chciał wchłonąć w siebie wszystkie prawdy i wszystkie moce w modlitewnych wyrazach zamknięte. A gdy doszedł do słów: „I w godzinę śmierci”, czułem, że śmierć dla niego straciła już zupełnie swoją grozę, bo ujrzał duszą Królowę tej Polski, za którą umierał... – Ojczy, dziękuję ci – mówił – bo nikt mi tyle szczęścia nie dał w życiu. Ty mi dałaś, ostatnimi słowami moimi będzie ta modlitwa, którą mi przypomniała.

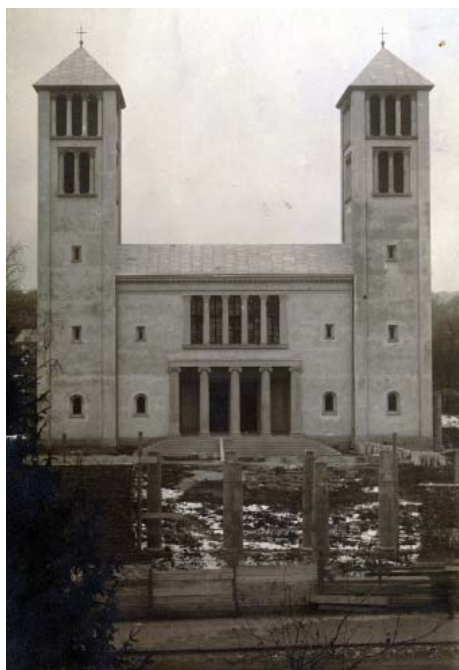
Nastąpiła chwila Komunii świętej. Na tapczanie złożyłem Najświętszy Sakrament i klęcząc w pośrodku nich dzieliłem Hostię: na szczęście przyjmowali Ją z wiarą i męstwem pierwszych męczenników [...]

Groźny pan Wołk stał przede mną. – Tych ludzi – mówiłem – skazaliście niewinnie, sumienie każe mi to panu powiedzieć! – Czułem, że przeszedł po nim dreszcz. Jąkając się, zaczął mówić, że to przecież nie należy do przyjemności ludzi na śmierć skazywać, że grzebią się przepaście między dwoma narodami itd., itd. – Nie przyszedłem dysputować! – dorzuciłem, ale tylko przypomnieć panu, że masz uczynić wszystko co w pańskiej jest mocy, aby wykonaniu wyroku przeszkodzić, jeszcze czas! – A, jak ksiądz tak mówi – odrzekł po namyśle – proszę mi zaufać, poczynię wszelkie kroki, by do śmierci nie przyszło – i podał mi rękę. Z przymusem dotknąłem jej, jak ręki kata. Ale na moment sądziłem, że może w człowieku tym jest choćby iskra szlachetności.

Wyszedłem na ulicę. Lecz zaledwie postąpiłem kilkadziesiąt kroków, rozległo się sześć karabinowych strzałów!... Pociemniało mi w oczach, oparłem się o jakiś kawał muru – komendant ukraiński spełnił oficerskie słowo!”.

Gorsze dla budynku kościoła, były następstwa drugiej wojny światowej. 19 września 1939 roku sowieci zaczęli ostrzeliwać kościół z armatek, tłumacząc, że z wież prowadzono do nich ostrzał, co nie było prawdą. W trakcie ostrzału spłonął dach świątyni, organy oraz boczne ołtarze. Cudowny obraz został szczęśliwie wyniesiony w trakcie pożaru i ocalał. Zachowała się relacja brata Jacka Matrogi o jego ocaleniu:

„19 września zaczęli ostrzeliwać sowieci z armatek kościół dominikański, który zaczął



Kościół Dominikanów w Trembowli przed 1939 r. – wzór dla kościoła Dominikanów w Poznaniu

plonąć. Przerażony tym... chcąc ratować obraz Matki Boskiej Różańcowej, wszedłem na boczny ołtarz (w prawej nawie), na którym wisiał bardzo duży i bardzo ciężki obraz. Zdjąłem go i ustawiłem na posadzce pod ścianą i zastanawiałem się, gdzie go ukryć. W tej chwili weszli do kościoła sowieci. Zobaczyli mnie w pobliżu ołtarza, kazali podnieść ręce do góry i aresztowali. Po mszy św. została w kościele garstka ludzi, których opanowało przerażenie. Wśród nich była moja znajoma, dyrektorka Prywatnego Gimnazjum Żeńskiego Towarzystwa Szkoły Ludowej w Tarnopolu, dr Zofia Turecka. Wzrokiem poprosiłem ją, wskazując na obraz, aby się nim zajęła. Zabrano mnie do zakrystii... następnie do więzienia... Pani Turecka, mądra kobieta, z kilku innymi paniami zabrała ten obraz i wyniosła go przez ogród i bramę wjazdową wychodzącą na ulicę Konarskiego, o której istnieniu sowieci jeszcze nie wiedzieli i nie obstawili jej. Obraz zaniósł do swojego domu przy ul. Słowackiego 6. Wyjęła go z pięknie złożonych srebrnych ram i zawiesiła go (ukryła) pod dywanikiem nad łóżkiem. W ten sposób obraz ten przechował się do czasu powrotu dominikanów do Tarnopola w czasie okupacji niemieckiej 1941–1944”.

Za „pierwszych sowietów” kościół był nieczynny. Dopiero w czasie okupacji niemieckiej, w marcu 1943 roku, władze zgodziły się na zbudowanie prowizorycznego dachu. Z powodu zniszczenia ołtarza bocznego wizerunek MB zawieszono w kaplicy MB Bolesnej. Oblężenie Tarnopola w 1944 roku zniszczyło miasto doszczętnie. W jego trakcie zginęła Zofia Turecka, która spłonęła w piwnicy swojego domu wraz z nianią, której nie chciała zostawić. Kiedy w 1945 roku sowieci nakazali dominikanom opuścić Tarnopol, opuszczali go „na raty”, każdy osobno, by można było wywieźć i uratować jak najwięcej przedmiotów sakralnych. Transport obrazu i dostarczenie go do Krakowa przypadło w udziale Antoninie Mrazkównie³.

Obraz poprzez Lwów dotarł w 1946 roku do Krakowa, gdzie nastąpiło zdarzenie, które nazwać by można „zjazdem cudownych obrazów Matki Boskiej”. Albowiem znajdowały się wtedy u krakowskich dominikanów prócz opisywanego obrazu m.in. także obraz Matki Bożej z Podkamienia (obecnie znajduje się we Wrocławiu) oraz Matki Bożej z Czortkowa (obecnie w Warszawie). Ostatni przeor tarnopolskich dominikanów o. Wojciech Kobzdej przekazał cudowny obraz do nowo budowanego kościoła Dominikanów w Poznaniu.

Dominikanie pojawili się w Poznaniu w 1231 roku, jednak w XIX wieku król pruski skasował zakon, odbierając im kościół przy ul. Szewskiej. Powrócili do Poznania dopiero w 1937 roku. Projekt nowego kościoła Dominikanów w Poznaniu powstał w latach 1937/38. Do wybuchu wojny w 1939 roku wybudowano tylko część klasztoru od ul. Libelta. Budowę kościoła wznowiono w 1947 roku według projektu prof. Adolfa Szyszko-Bohusza, przekazanego przez krakowskich dominikanów. W projekcie autor wiernie powtarzał zaprojektowany przez siebie w latach 1927–1928 kościół św. Piotra i Pawła w Trembowli⁴. Obiekt nie przystawał do warunków poznańskich – w Trembowli stanowił ośrodek duszpasterstwa parafialne-

go, a w Poznaniu miał być dużą świątynią zakonną, nastawioną na duszpasterstwo akademickie (funkcję tę pełni do dziś). Nie wiadomo, czy Szyszko-Bohusz w ogóle odwiedził wtedy Poznań – zmarł w 1948 roku w Krakowie. Było to jedno z jego ostatnich dzieł. Kościół został zbudowany w latach 1948–1960. Patronką kościoła została, tak jak w Tarnopolu, Matka Boża Różańcowa.

W 1949 roku nastąpiło wmurowanie kamienia węgielnego. Dzięki zapiskom na temat tej uroczystości wiemy, że 2 października tegoż roku Matka Boża Tarnopolska została umieszczona w nowym kościele najpierw w prowizorycznym ołtarzu głównym. Obecnie znajduje się w kaplicy Adoracji, w prawej nawie kościoła.

W latach 90. obraz przeszedł renowację. Obecnie, tak jak przed wojną, odbywają się przed nim nabożeństwa różańcowe, choć jest w mojej opinii obrazem „zapomnianym” – dominikanie publikują o nim bardzo mało informacji. Być może po zakończeniu trwającego remontu (stan na kwiecień 2024 r.) zostanie on lepiej wyeksponowany.

Obraz Matki Bożej Różańcowej jest jednym z dwóch „świętych obrazów”, które z Kresów po II wojnie światowej trafiły do Metropolii Poznańskiej. Drugim jest znajdujący się w Kaliszu obraz MB Nieustającej Pomocy z kościoła Karmelitanek Bosych we Lwowie.

Warto wspomnieć o istniejących dwóch kopiach obrazu Matki Bożej Różańcowej. Pierwszy umieszczony został w 2005 roku w nowo zbudowanym kościele w Tarnopolu. Twarz jednego z aniołów ma twarz papieża – św. Jana Pawła II. Później wykonana kopia obrazu, autorstwa innego autora, znajduje się w kościele parafialnym w Reńskiej Wsi koło Kędzierzyna-Koźla. W Poznaniu znajduje się także kopia Matki Bożej Łaskawej z lwowskiej katedry, ale to już temat na inny artykuł.

Bibliografia:

- Historia dominikanów w Poznaniu*, www.poznan.dominikanie.pl
Kukiz Tadeusz, *Madonny Kresowe*, część II, Warszawa 2001.
Wiater Elżbieta, *Obraz, przed którym po raz pierwszy na ziemiach polskich odprawiono nabożeństwo majowe*, www.aletae.pl
Żukiewicz Konstanty M., *Królowa Różańca św. w Kościele i Polsce*, tom II, Lwów 1935.

³ Kronika klasztoru w Tarnopolu przypisuje jej także ukrycie w czasie okupacji, co nie jest do końca prawdą.

⁴ Obecnie kościół w Trembowli ma znacznie obniżoną wieżę, zachowała się natomiast niewidoczna na fotografii przedwojennej kolumnada.

Antoni Wilgusiewicz

Major Czesław Blicharski – z Tarnopola do Zabrze

Jednym ze skutków II wojny światowej dla Zabrze była zmiana przynależności państwowej. Z niemieckiego Hindenburga OS stało się ponownie Zabrzem, przyznanym wraz z innymi miastami Górnego Śląska państwu polskiemu. W ślad za tym szły poważne zmiany ludnościowe, polegające na dobrowolnym lub przymusowym przemieszczeniu do okupowanych wówczas przez cztery zwycięskie mocarstwa Niemiec ludności uznającej się za Niemców lub za takich uznanej na podstawie decyzji nowych władz. Na jej miejsce napłynęli Polacy – zarówno z pobliskich terenów Zagłębia Dąbrowskiego czy Kielecczyny, z Polski Centralnej, tzw. reemigranci z Francji i Belgii, jak też nazywani wbrew swej woli repatriantami „zabuzanie”, czyli ludność z Kresów Wschodnich, na mocy decyzji jałtańskich włączonych do ZSRR. Proces ten, rozpoczęty wiosną 1945 roku, zakończył się w 1949 roku liczbą około 14,5 tys. osiedlonych w Zabrzu Kresowian. Była wśród nich Tarnopolanka Kazimiera Marta Michalik, urodzona w tym mieście 21 września 1921 roku. Podczas okupacji działała w kolumnie sanitarnej miejscowej Armii Krajowej; aresztowana przez NKWD 4 kwietnia 1944 roku, po uwolnieniu przybyła do Polski w powojennych granicach w Wigilię 1944 roku. Minęły wówczas cztery lata od jej ostatniego spotkania z narzeczoną, również Tarnopolaninem, Czesławem Blicharskim. Nowe miejsce do życia znalazła w Zabrzu, a konkretnie w dzielnicy Zabrze – Biskupicach.

Czesław Blicharski w Tarnopolu, mieście położonym nad rzeką Seret około 100 km na wschód od Lwowa, urodził się w dniu 5 lipca 1918 roku. Wkrótce potem, po walkach z Ukraińcami i Rosją bolszewicką, Tarnopol został miastem wojewódzkim II RP; liczył niespełna 40 tysięcy mieszkańców, z czego niemal połowę stanowili Żydzi, Polacy byli drugą co do liczebności grupą ludności. Czesław pochodził z rodziny kolejarskiej, jego



Czesław Blicharski po śmierci żony prezentuje wspólnie z nią zdjęcie

ojciec był działaczem związkowym i sympatykiem PPS oraz Józefa Piłsudskiego. On sam jednak, wzorem starszego rodzeństwa, związał się z ruchem narodowym. W 1936 roku zdał maturę w II Państwowym Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego i podjął studia prawnicze na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Były to niespokojne czasy; wśród młodzieży studenckiej dochodziło do różnego typu burd i ekscesów, przede wszystkim antysemitycznych. Czesław jednak dystansował się od nich; jak wspominał, przed fanatyzmem uratował go spowiednik dominikanin (Czesław był człowiekiem głęboko wierzącym). Jako ciekawostkę z jego życiorysu można podać fakt, że kiedy wraz z kolegami udał się do Warszawy w styczniu 1939 roku na pogrzeb Romana Dmowskiego, powierzono mu niesienie trumny zmarłego polityka.

Drugi okres w życiu Czesława rozpoczął się wraz z agresją niemiecką, a 17 września 1939 roku sowiecką na jego rodzinne Kresy. Widząc brak możliwości funkcjonowania w sowieckiej rzeczywistości Tarnopola czy Lwowa, wraz z trzema braćmi i przyjacielem podjął próbę przedostania się do Rumunii.



Niestety, został złapany i skazany na 5 lat łagru; ciężko pracował w niehumanitarnych warunkach dalekiej Północy, a jego jedyną pociechą była możliwość pisania listów do swojej dziewczyny, Kazi. Jak wielu innych łagerników przed niechybną śmiercią ratuje go układ Sikorski–Majski i możliwość przedostania się do tworzonej polskiej armii generała Andersa. Jako uczeń szkoły podchorążych opuszcza ZSRR, by znaleźć się w Persji (25 marca 1942 roku).

Trzeci okres życia Czesława to szkolenie lotnicze w Szkocji, a także w Kanadzie. Jako bombardier został skierowany do 300. Dywizjonu Ziemi Mazowieckiej; w stopniu plutonowego został członkiem załogi Lancastera prowadzonej przez porucznika pilota Tadeusza Wierzbowskiego i stacjonującej na lotnisku Faldingworth. Uczestniczył w lotach bojowych na Niemcy w końcowej fazie wojny; ostatni był skierowany

25 kwietnia 1945 roku na jedną z siedzib Hitlera w Berchtesgaden. Radość z zakończenia wojny zmąciła mu – podobnie jak innym żołnierzom i oficerom pochodzącym z Kresów – wieść o postanowieniach jałtańskich, na mocy których jego ukochane rodzinne miasto miało zostać miastem sowieckim. Udało mu się ukończyć studia prawnicze na Uniwersytecie Oksfordzkim; do komunistycznej Polski nie chciał jednak wracać, a w Anglii, podobnie jak jego koledzy, przestał już być potrzebny. W tej sytuacji, tak jak jego bracia, zdemobilizowani żołnierze II Korpusu, wybrał emigrację do Argentyny, gdzie znalazł się 27 lutego 1948 roku. Tu podjął pracę w przemyśle; dzięki swoim zdolnościom szybko awansował na stanowiska kierownicze. Nad perspektywą kariery na obczyźnie zwyciężyła jednak miłość do dawnej dziewczyny, Kazi, z którą prowadził przez cały czas korespondencję. 10 lutego 1956 roku spotkali się w porcie w Gdyni i udali do Zabrze-Biskupic. Tu zaczyna się ostatni etap życia Czesława, trwający aż do jego śmierci 21 marca 2015 roku.

Polska, do której przybył Czesław Blicharski, przedstawiała być już Polską stalinowską, w której tacy jak on mogli być narażeni na najsurowsze represje. Legendarny lotnik Stanisław Skalski, który w 1947 roku powrócił do Polski, został przez władze stalinowskie oskarżony o zdradę i skazany na karę śmierci, po czym wyrok zamieniono na dożywocie. Został zrehabilitowany



Plakat pokazujący symbolicznie drogę bojową Dywizjonu 300

w 1956 r. Niemniej z racji swojej służby w Siłach Zbrojnych na Zachodzie Blicharski był obywatelem drugiej kategorii, dla którego drogi awansu społecznego były zamknięte, a z pewnością znacznie utrudnione. Po okresie podrzędnej pracy biurowej w kopalni Makoszowy za żenująco małe pieniądze przeniósł się do Przedsiębiorstwa Remontowego Handlu Wewnętrznego, a potem do Instytutu Budownictwa w Katowicach. Dopiero w latach 70., kiedy polska gospodarka otworzyła się na świat, doceniono jego kwalifikacje

(w zespole ds. komputeryzacji Huty Metali Nieżelaznych Szopienice). Była to praca dobrze płatna, związana także z wyjazdami służbowymi na Zachód. Kiedy jednak skończył 60 rok życia, zdecydował się przejść na wcześniejszą emeryturę i poświęcić bez reszty działalności, z której dziś jest najbardziej znany – utrwalaniu pamięci o rodzinnym Tarnopolu. O jego determinacji świadczy między innymi fakt przytoczony przez Piotra Strzałkowskiego w jego książce *Tarnopolanie*: Czesław, aby zdobyć środki na kosztowne podróże związane z gromadzeniem relacji od Tarnopolan, na co nie wystarczała skromna emerytura, zbierał i oddawał do skupu porzucone butelki po alkoholu...

Czym był Tarnopol dla Czesława? W inwokacji do jednej z jego książek, historii miasta zatytułowanej *Tarnopol w latach 1809–1945 (od epizodu epopei napoleońskiej do wypędzenia)*, notabene z charakterystycznym miejscem wydania – Biskupice 1993, autor pisze:

Dla upamiętnienia dnia 15 kwietnia 1540 roku, w którym powstał Tarnopol, miasto urokliwe naszej młodości, z wyrazami dozgonnej miłości i wiary w Jego przyszłość, w 444-lecie Jego istnienia

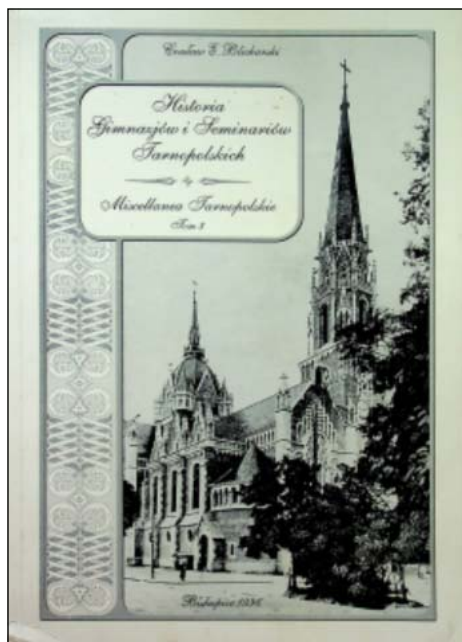
od Wygnańca z jego raj

Komentarzem może być jedynie przypomnienie, że podobnie traktowali miasto swojej młodości – Lwów, jak też i inne kresowe miejscowości największe – ze Zbigniewem Herbertem czy Stanisławem Lemem na czele, ale też inni, jak architekt Witold Szolginia, miłośnik Lwowa, a zwłaszcza rodzinnej dzielnicy – Łyczakowa, którym poświęcił całą swoją pozazawodową aktywność – jej efektem jest imponująca liczba książek i artykułów, a także wierszy, które publikował jeszcze w latach PRL pod pseudonimem Tolu z Łyczakowa. Wśród tego rodzaju pasjonatów Czesław Blicharski jest jednym z najbardziej znanych, a z pew-



Zaloga bombowca Lancaster. Stoi pierwszy z lewej bombardier Blicharski

nością nikt nie dorównał mu w tytanicznej pracy nad utrwaleniem dziejów Tarnopola i jego mieszkańców. Efektem jej było między innymi zebranie około 12 tysięcy nazwisk osób związanych z miastem, które zamieścił w niewydanym dotąd drukiem słowniku biograficznym *Tarnopolan*. Nakładem własnym (także przy pomocy znanych mu Tarnopolan) wydał między innymi *Miscellanea tarnopolskie* (5 zeszytów w latach 1994–1998), poświęcone m.in. tarnopolskim gimnazjom, a także swoje wspomnienia – *Tarnopolanina żywot niepokorny* (1996) – wszystkie one oznaczone są jako wydane w Biskupicach! Z datą Zabrze 1992 wydał wcześniej pracę *Tarnopol zatrzymany w kadrze pamięci*. Poza granicami Polski ukazała się jedynie praca *Harcerstwo tarnopolskie 1911–1944* (Londyn 1991). Dopiero u schyłku życia jego dorobek dostrzeżono i doceniono poza Zabrzem i środowiskiem Tarnopolan. W Krakowie w 2013 roku wydano *W służbie mojej Matej Ojczyźnie Tarnopolem zwanej*, a w Warszawie wznowiono w tymże roku *Tarnopolanina żywot niepokorny* (wydanie poprawione). Oprócz odznaczeń związanych ze służbą wojskową, jak Krzyż Walecznych i Medal Lotniczy, otrzymał także Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski (2008) oraz medal Zasłużony Kulturze Gloria Artis (2011). Ukoronowaniem jego pracy



stało się przyznanie mu w 2014 roku przez Instytut Pamięci Narodowej tytułu Kustosza Pamięci Narodowej. Wypowiedział wówczas słowa, które można uznać za jego testament:

Nagrody to nie moja zasługa, to zasługa idei, której służę. Widzę dziś, że moje życie ułożyło się w podwójny wzór, jedna jego linia to Kresy Wschodnie, druga to służba Ojczyźnie.

Miał wówczas lat 96; zmarł niedługo potem, w marcu 2015 roku, i został pochowany na cmentarzu parafialnym w Biskupicach w przysługującej mu asyście wojskowej jako prawdopodobnie ostatni lotnik Polskich Sił Powietrznych na Zachodzie walczący podczas II wojny światowej. Miałem ten wielki zaszczyt, że powierzono mi wygłoszenie słów jego pożegnania w imieniu śląskich kresowian.

Co dziś pozostało po Czesławie Blicharskim? W Zabrze-Biskupicach mieszka jego córka Bożena. Grób na parafialnym cmentarzu został odznaczony przez Instytut Pamięci Narodowej zaszczytną tabliczką Weteran walk o wolność i niepodległość Polski (jako pierwszy i jeden z trzech tylko na terenie miasta Zabrze – pozostali to Wincenty Gawlik z Mikulczyc i Paweł Kruża z Pawłowa, powstańcy śląscy). Może w związku z tym liczyć na konieczne w przyszłości remonty

finansowane przez IPN; opiekę nad grobem zadeklarowało także pobliskie Przedszkole nr 27. Olbrzymi dorobek historyczny Czesława Blicharskiego został zabezpieczony jeszcze przez niego samego przez przekazanie go w formie Archiwum Tarnopolskiego do Fundacji Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego, a poprzez nią Bibliotecę Jagiellońskiej w Krakowie. Zbiór ten liczy ponad 30 mb archiwaliów, w tym ponad 4 tys. unikalnych fotografii z XIX i XX wieku – jest on dostępny na stronie internetowej www.tarnopol.pl. IPN zorganizował także wystawę „Archiwum Tarnopolskie rodziny Blicharskich”, którą przygotował opiekun dobroku Czesława Blicharskiego pan Maciej Wojciechowski z Krakowa. Była ona prezentowana w 2016 roku w Centrach Edukacyjnych IPN w Warszawie i Katowicach. Czesław cenił i opisywał przede wszystkim polskie wątki dziejów Tarnopola, mniejszą wagę przywiązując do śladów żydowskich i ukraińskich. Niemniej jednak jego dorobek został doceniony także przez autorów współczesnego ukraińskiego *Tarnopolskiego słownika encyklopedycznego*, gdzie zamieszczono jego notę biograficzną jako polskiego historyka i publicysty.

Mimo że zainteresowania Czesława Blicharskiego koncentrowały się głównie wokół Tarnopola i jego historii, był on żywo zainteresowany także współczesnością. Ostro krytykował peerelowską rzeczywistość, a także tych kresowian, którzy ją wspierali, jak np. generała Kazimierza Steca, aktywnego w czasie stanu wojennego na terenie Wrocławia. Angażował się w ruchu Solidarności, między innymi kolportując wydawane przez nią broszury i ulotki. Z entuzjazmem powitał przemiany roku 1989; uczestniczył wówczas w uroczystości (pod patronatem nowo wybranego Senatu) przekazania bazylice jasnogórskiej ocalonych z Tarnopola sztandarów sokolich oraz wmurowania związanej z tym tablicy pamiątkowej. Wzruszenie wywołane tym aktem spowodowało omdlenie Czesława, który został przewieziony do szpitala. Pod koniec roku doszło też do aktu, który stanowi – przynajmniej moim zdaniem – najtrwalszą pamiątkę po Czesławie Blicharskim na terenie Zabrze, a mianowicie przemianowania głównej ulicy dzielnicy Mikulczyce, noszącej wówczas imię Bolesława Bieruta, na ulicę Tarnopolską. Dokonało się



Przy grobie śp. Czesława na cmentarzu parafialnym w Zabrze-Biskupicach. Od lewej przedstawiciel TMLiKP-W Andrzej Azyan, IPN o. Katowice, Jan Kwaśniewicz oraz autor artykułu Antoni Wilgusiewicz

to 8 grudnia 1989 roku uchwałą ówczesnej Miejskiej Rady Narodowej w Zabrzu – zmieniono wówczas dwie pierwsze komunistyczne nazwy ulic Zabrze (drugą była ulica Stalingradzka – na Armii Krajowej). W uzasadnieniu uchwały nie jest co prawda wymienione jego nazwisko, ale dla ówczesnych mieszkańców Zabrze było oczywiste, że to on jest autorem takiego właśnie nazwania ulicy (za czasów niemieckich – Tarnowitzerstrasse, czyli Tarnogórskiej). W innym przypadku bardziej narzucającą się nazwą związaną z Kresami Wschodnimi byłaby Lwowska (warto dodać, że w Polsce ulica Tarnopolska wg stanu na 2021 rok istnieje w 18 miastach, podczas gdy Lwowska – w 89).

Czy Czesław Blicharski był zabrzaniem? To pytanie nieco prowokacyjne, zważywszy na jego dozągoną miłość do Tarnopola, miasta jego młodości. Zauważmy jednak, że przybył do Zabrze z dalekiej Argentyny, gdzie mógł zrobić karierę i duże pieniądze; zamieszkał w robotniczej dzielnicy Zabrze – Biskupicach i tu przeżył 57 lat



swego życia, choć zapewne mógł przenieść się z czasem do innych miast, jak Katowice czy Kraków. Angażował się także w życie społeczne Zabrze, czego trwałą pamiątką jest wspomniana ulica Tarnopolska. Niestety, wciąż nie ma w Zabrzu ulicy, placu czy choćby skweru jego imienia. Mój wniosek w tej sprawie, choć wstępnie zaakceptowany przez PT radnych, wciąż nie znalazł swojej finalizacji. Miejmy nadzieję, że przypomnienie postaci majora Czesława Blicharskiego, chyba najbardziej w Polsce znanego zabrzańskiego kresowianina, będzie służyć tej sprawie.

Karol Chlipalski

Rządy moskiewskie w Tarnopolu 1809–1815

Zanim w 1944 roku szczęki Związku Sowieckiego zacisnęły się na stałe i pochłonął on w swoich trzewiach całe zachodnie Podole, Moskwićini trzykrotnie „nawiedzali” Tarnopol i trzykrotnie ustanawiali tam swoje rządy. Po raz pierwszy znaleźli się w mieście nad Seretem w czasach napoleońskich. Po raz drugi wkroczyły tu wojska rosyjskie niemal dokładnie wiek później, na samym początku I wojny światowej, i pozostały – z przerwami – przez następne cztery. Trzeci raz był najkrótszy, ale też najbardziej tragiczny – od września 1939 do czerwca 1941 roku Tarnopol pozostawał pod sowieckim butem. O ile zazwyczaj coś wiemy o tej drugiej i trzeciej okupacji, o tej pierwszej nikt nie pamięta albo zdaje się ona być nic nieznającym szczegółem z epoki, gdy w przerwach pomiędzy balami cesarze rozstawiali swoje kolorowe armie na plany zwanej Europą... Dlatego warto przypomnieć, w jakich okolicznościach Tarnopol wpadł w ręce rosyjskie w 1809 r. i jak wyglądały rządy moskiewskie sprawowane przez senatora i tajnego radcę Ignacego Antonowicza Theylsa.

NAJMNIEJ DOCHODOWA I NAJDALSZA CZĘŚĆ KRAJU

15 grudnia 1809 roku książe Siergiej Golicyn, głównodowodzący rosyjskiego korpusu w Galicji, wkroczył do Tarnopola i osadził swoimi wojskami tereny, które miały odtąd stać się „Krajem Tarnopolskim”. Carski generał szedł od Lwowa, który opuścił dzień wcześniej. W stolicy „Królestwa Galicji i Lodomerii” Rosjanie stacjonowali od końca czerwca, formalnie jako sojusznicy Napoleona, a faktycznie jako siła mająca nie dopuścić do przejęcia Galicji przez Polaków.

Opuszczenie przez Rosjan Lwowa i wejście do Tarnopola było elementem szerszej rozgrywki dyplomatycznej, jaka nieoczekiwanie dla Tarnopolan uwzględniała ich miasto leżące dotąd na uboczu wielkiej polityki europejskiej. W rozgrywce uczestniczyły cztery strony: Austria, która doznała licznych porażek w starciach z Napoleonem, a po bitwie pod Wagram w zasadzie utraciła jakąkolwiek moc sprawczą; Rosja, która formalnie sprzymierzona była z Francją, faktycznie jednak przygotowywała się już do konfrontacji z Napoleonem; Polacy, którzy po utworzeniu Księstwa Warszawskiego marzyli o restytucji swojego państwa i teraz, w obliczu spektakularnej klęski jednego z zaborców, mieli nadzieję na odzyskanie Galicji (co zresztą usiłowali zrobić metodą faktów dokonanych); i wreszcie – Francja, która rozdawała karty w tej rozgrywce. Celem Napoleona było znalezienie jakiegoś tymczasowego rozwiązania, z którym pogodziłyby się pozostałe trzy strony, mające zdecydowanie sprzeczne interesy i oczekiwania. A oto, co wymyślił „bóg wojny”: Austria nie utraci całej Galicji na rzecz Księstwa Warszawskiego, tylko ziemie uzyskane w wyniku III rozbioru, tzw. Nową Galicję. Będzie też musiała oddać Rosji nie do końca sprecyzowane terytorium, które „będzie określone polubownie pomiędzy komisarzami obu państw”, jak to zostało zapisane w traktacie pokojowym w Schönbrunn zawartym pomiędzy Francją a Austrią. Polacy otrzymają ułamek tego, co chcieli, to znaczy „Nową Galicję” – więcej niż nic, ale mocno poniżej oczekiwań.

Książe Siergiej Golicyn, mal. Giovanni Battista Ortolani Damon



Rosja w zamian za przeknięcie powiększenia Księstwa Warszawskiego zyska to, co sama wytarguje od Austrii.

Zapowiedziane układy pomiędzy Austrią a Rosją nt. owego „niesprecyzowanego terytorium” odbyły się w Bielsku i Białej – dwóch miasteczkach leżących na pograniczu Śląska i Galicji. Delegacja austriacka przed wyjazdem z Wiednia otrzymała instrukcję, aby oddać Rosji „najmniej dochodową i najdalszą część kraju”, której utrata będzie dla Habsburgów najmniej dotkliwa, na wypadek gdyby terytorium to miało na zawsze przypaść Rosji. Wiadomo było, że chodzi o Tarnopol z przyległościami, ale jak duży miał być to obszar – miał o tym zadecydować spis ludności. Traktat schönbrunski stanowił, że liczba jego mieszkańców miała wynieść nie więcej niż 400 tys. dusz.

AKT CESJI I DEMARKACJI

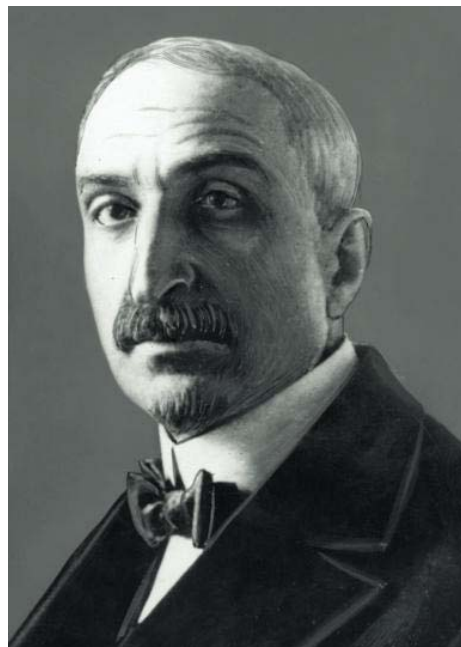
Być może Tarnopolszczyzna nie przedstawiała zbyt wielkiej wartości dla Austrii, ale to nie znaczy, że Rosja tej zdobyczy nie doceniała. Wprost przeciwnie. Tarnopol był dogodnym miejscem, aby wstawić stopę pomiędzy drzwiami prowadzące do reszty Galicji i pozostawić je półuchylone. Polityka Rosjan wobec ludności nowo nabytej prowincji wynikała z założenia, że imperium carów w odpowiednim momencie przez te niedomknięte drzwi pójdzie dalej na zachód.

Zanim jednak ustalono ostateczne granice „Kraju Tarnopolskiego”, musiał się odbyć spis ludności. 30 stycznia przyjechała w tym celu z Wiednia do Tarnopola specjalna delegacja. Następnego dnia książę Golicyn wydał huczne przyjęcie na cześć austriackich gości. Alkohol lał się strumieniami. Kolejnego dnia, prawdopodobnie wskutek wieczornej pijatyki, Golicyna trafiła – jak to się wówczas mówiło – apopleksja i generał wyzionął ducha (jego miejsce zajął na krótko Aleksander Suworow, znany z dokonanej 16 lat wcześniej rzezi Pragi). Śmierć Golicyna nie miała jednak większego wpływu na dalszy tok wydarzeń, komisja austriacka zabrała się energicznie za spisywanie ludności Tarnopolszczyzny, a szło jej to tak dobrze, że doliczyła się wzrostu ludności o niemal 15 procent w stosunku do spisu dokonanego niespełna dwa lata wcześniej. A na tej podstawie oparto zachodnią granicę Kraju Tar-

nopolskiego o linię Załóżce – Zborów – rzeka Strypa do ujścia do Dniestru, a następnie Dniestrem do dawnej granicy rosyjskiej. „Akt cesji i demarkacji” pomiędzy administracją rosyjską a austriacką został podpisany 19 marca, a ratyfikowany 11 kwietnia. Na kuriozum zakrawa fakt, że wszystkie te wydarzenia odbywały się poza świadomością Tarnopolan. Cesarz Franciszek nie był chętny, aby upubliczniać – zanim będzie to konieczne – mało chwalebny fakt utraty terytorium zajętego dla Austrii przez jego babkę Marię Teresę. Dopiero w miesiąc po podpisaniu aktu Tarnopolanie dowiedzieli się, że stali się właśnie poddanymi cara Aleksandra I, a wiedzę tę uzyskali z proklamacji rozlepionej na murach Tarnopola i ogłoszonej z ambon kościelnych. Warto zaznaczyć, że proklamacja ta została napisana po polsku, co już stanowiło pewną odmianę w stosunku do czasów austriackich.

GORZEJ BYĆ NIE MOŻE

Byli poddani habsburscy nie uznali tego za złą wiadomość, co może zaskakiwać z dzisiejszego punktu widzenia. Nic dziwnego, bowiem przez poprzednie 37 lat byli oni poddani bezprecedensowemu łupieniu, słynnemu józefińsko-leopoldyńsko-franciszkańskiemu



Szymon Askenazy

fiskalizmowi, który nasilił się szczególnie w czasach wojen z Napoleonem. Rosja mogła przynieść pewien rodzaj stabilizacji. Odajmy głos Szymonowi Askenazemu, słynnemu lwowskiemu historykowi, który swój szkic nt. historii Kraju Tarnopolskiego ogłosił w „Tygodniku Ilustrowanym” (nr 18/1903):

Kraj był wyniszczony doszczętnie. W ciągu ubiegłej krótkiej kampanii wyciągnięto stąd za formalnymi kwitami wartość dwóch milionów zł[oty]ch r[ę]ńskich] w rozlicznych produktach, zbożu, furaju na rzecz trzech armii operujących, a do tego dopiero dochodziły ogromne dostawy, ściągnięte bez żadnego pokwitowania, sposobem rekwizycji przymusowej. Niezależnie od tych świeżych ciężarów wojennych, później jeszcze, w czasie pokojowym, komisarz oddawczy austriacki, Dyke [...] wynosił na gwałt z Tarnopola gotówkę, depozyty duchowe, obligacje skarbowe, sumy włościańskie, co tylko się dało, ogolając bez miłosierdzia ludność, przechodzącą pod obce berto.

Tarnopolanie przyjęli więc rządy rosyjskie za dobrą monetę, wychodząc z założenia, że gorzej niż za Austriaków być nie może. I był to początek kapitału politycznego, który Rosjanie postanowili pomnożyć. Znaleźli odpowiedniego wykonawcę tej polityki. Administrowanie Krajem Tarnopolskim powierzono senatorowi Ignacemu Theylsowi, który podobną funkcję pełnił już wcześniej w Białymstoku. Podlasie po pokoju w Tylży – na analogicznej zasadzie co teraz Tarnopolszczyzna – przeszło spod władzy pruskiej pod rosyjską. Theyls w Białymstoku okazał się sprawnym namiestnikiem, więc nie było wątpliwości, że sprawdzi się i w Tarnopolu. Askenazy charakteryzuje Theylsa w następujący sposób:

Osobliwy mieszaniec, miał on zarazem dużo rutyny służbowej sztywnego biurokraty i dużo dyktatorskiej bezwzględności zamasytowanego „pompadura”, tego nieśmiertelnego typu wielkorządcy, [...]. A posiadał bardzo wiele sprytu i zmysłu politycznego w stosunkach z podwładną sobie ludnością polską.

Spryt ten nakazał mu ściągnąć z Białego-stoku swojego tamtejszego pomocnika, Michała Starzeńskiego, starostę brańskiego, i powierzyć podobną funkcję w Tarnopolu. Był to stary oportunistą, który wprawdzie posiadał ładną kartę w życiorysie z czasów



Michał Hieronim Starzeński

Sejmu Czteroletniego i powstania kościuszkowskiego, ale po upadku I Rzeczypospolitej przeszedł polityczną ewolucję – od patrioty do zaprzańca. Sprzyjał tej ewolucji fakt, że Starzeński posiadał dobra we wszystkich zaborach, więc musiał popisać się wyjątkową giętkością, aby nie uszczuplić swojego majątku.

Działania obu, tzn. Theylsa i Starzeńskiego, miały odtańcować na celu wzbudzenie sympatii do władz rosyjskich u obywateli ziemskich w nadziei, że owa sympatia przekroczy granicę z resztą Galicji, gdzie uczucia wobec Austriaków były równie chłodne co wcześniej w Tarnopolu. I tak zmniejszono realnie podatki, złagodzone zasady rekrutacji do wojska, nie przeprowadzając poborów dodatkowych, które za czasów Austrii dawały się we znaki Tarnopolanom. Polacy uzyskali możliwość sprawowania urzędów; utworzono naczelny Komitet Tarnopolski – ciało z licznymi kompetencjami w zakresie administracyjno-sądowym, złożone z prezesa (którym był Starzeński) i trzech członków mianowanych spośród przedstawicieli miejscowej szlachty. Istnienie takiego organu dawało Krajowi Tarnopolskiemu pozór pewnej autonomii, jednak był to tylko pozór, bo i tak wszystkie ważniejsze decyzje podejmował osobiście Theyls, co zresztą w zręczny sposób maskował. Jeśli chodzi

o pozory, to duet Theyls-Starzeński popisał się wielkimi osiągnięciami w tym zakresie: odnowiono stary zamek tarnopolski i urządzono w nim „kasyno tańczące”, salę gry itp.; urządzano wspaniałe bale, do czego mieszkańcy tej prowincjonalnej i zbiedniałej ziemi nie byli przyzwyczajeni, więc stanowiły one dla nich nie lada atrakcję; utworzono nowe godności honorowe, m.in. marszałków okręgowych i krajowego; Theyls spraszał do siebie okolicznych obywateli i pozwalał się zabawiać długimi rozmowami. Askenazy:

[Theyls] na wszelki sposób starał się niezwykajnie takich uciech towarzystwo parafiańskie puścić w „wir zabaw i rozrywek hucznych i szalonych”. Ta patryarchalna troskliwość senatora czuwającego nie tylko nad dobrobytem, lecz nawet nad dobrym humorem swojej prowincji przyniosła, jak się zdaje, oczekiwane owoce, w pewnej przynajmniej mierze. W pewnej części obywatelstwa tarnopolskiego zdobył sobie Theyls rzeczywiście dużo miaru i zaufania [...] – wprost zyskał sobie imię dobrodzieja Kraju Tarnopolskiego.

NIEROZWIKŁANE POMIESZANIE ZASAD PRAWNYCH

Rządy Theylsa miały i drugą, mniej efektywną stronę medalu. Tam, gdzie wchodziła w grę żmudna codzienność administrowania, senator radził sobie gorzej, a raczej nie radził sobie wcale, bo nie miał zamiaru dostosowywać się do zasad, jakie powinny panować w państwie prawa. Zacytujmy fragment raportu, jaki na temat rządów rosyjskich w Tarnopolu sporządził radca apelacyjny Franciszek Wypiór dla władz austriackich w 1815 roku:

Można powiedzieć, że tutaj właściwie nic nie istniało prócz jednej jedynej osoby, wszystko w sobie koncentrującej, której nieograniczona wola była całym kodeksem cywilnym i kryminalnym.

Wtórzuje mu Askenazy, zastrzegając jednak, że jakość rządzenia w wykonaniu Theylsa niezbyt odbiegała od standardów panujących w całym Kraju Południowo-Zachodnim, czyli w guberniach rosyjskich przylegających do Tarnopolszczyzny:

Brak prawa, brak prawności na każdym niemal kroku dotkliwie dawał się we znaki. Dla dowolności i nadużyć szerokie otwarło się

pole w dziedzinie administracji i, co gorsza, sądownictwa [...] Sprawy cywilne, zwłaszcza hipoteczne, depozytowe, opiekuńcze mocno ucierpiały na nierozwikłanym pomieszaniu zasad prawnych, przepisów proceduralnych, kompetencji sądowniczych, dróg instalacyjnych. Sprawy kryminalne podobnemu uległy losowi [...].

„Nierozwikłane pomieszanie zasad prawnych” brało się m.in. stąd, że formalnie w Kraju Tarnopolskim pozostawiono w mocy kodeksy austriackie, ale zmieniły się warunki, a także ludzie prawo to stosujący; faktycznie nie zrezygnowano jednak z działań mających na celu stopniową unifikację ziemi Tarnopolszczyzny z resztą imperium carów. Stosowano więc obok praw austriackich równocześnie ustawy rosyjskie, na podstawie których orzekano np. kary zesłania na Syberię, bicia knutem czy „piętnowania ogniem na twarzy”. Stosowano też ... III Statut litewski, który znany był rosyjskim urzędnikom działającym wcześniej na terenach byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego i ściągniętym przez Theylsa do Tarnopola. Teoretycznie o to, by stosowane prawo było jednolite, miał dbać Komitet tarnopolski, ale praktyka była inna – jego orzeczenia były zmieniane na podstawie widzimisię Theylsa. Niechlubną rolę Komitet odegrał na chwilę przed ponownym wchłonięciem Tarnopolszczyzny przez Austrię, gdy wiadomym stało się, że już wkrótce bezprawie zostanie zastąpione przez bezduszny, ale jednak ład prawny. Komitet zatwierdził bowiem regulacje gruntowe i służebności samowolnie narzucone chłopom przez dominia.

KONIEC KRAJU TARNOPOLSKIEGO

Tymczasem, wielka historia zmierzała ku kolejnemu przesileniu. W styczniu 1813 roku w Tarnopolu zjawili się pierwsi uciekinierzy spod Moskwy. *La Grande Armée* wracała z wyprawy rosyjskiej w rozsypce, a to stwarzało pole dla kolejnej wielkiej rozgrywki dyplomatycznej. Miała ona miejsce dwa lata później w Wiedniu. Tym razem stroną rozdającą karty była Rosja. Austriacy wrócili do gry, zdradziwszy w odpowiednim momencie Napoleona i przyłączywszy się do zwycięzców. Natomiast Polacy, którzy pozostali do końca wierni „bogowi wojny”, zostali na

powrót zdegradowani do roli przedmiotu rozgrywek politycznych. Nie wnikając głęboko w kalkulacje cara Aleksandra i jego dworu, wypada powiedzieć, że w obliczu różnych korzyści, jakie odniosła Rosja z pokonania Napoleona, znaczenie Kraju Tarnopolskiego dla Petersburga okazało się niewielkie. Rosjanie, zapewne w przekonaniu, że nie powinni osłabiać Austrii, która miała stać się jednym z filarów nowego porządku europejskiego, powściągnęli swoje zakusy na zajęcie Galicji, w obliczu czego Tarnopol przestał być im już potrzebny. Miasto nad Seretem wróciło do Austrii w sierpniu 1815 roku.

Przegranym wiedeńskich pertraktacji, oprócz Polaków, okazał się... Theyls, który włożył wiele serca w realizowanie polityki, która stała się nieaktualna, i nie mógł się pogodzić z decyzjami, jakie zapadły w stolicy Austrii. Opuścił Tarnopol 22 sierpnia 1815 roku i rozżalony wrócił do Białegostoku, który dla Petersburga okazał się ważniejszym niż Tarnopol nabytkiem, jaki przyniosła Imperium carów epoka napoleońska. Zmarł nagle w stolicy Podlasia w nieco ponad miesiąc po opuszczeniu miasta nad Seretem i został pochowany na cmentarzu bazylijskim w Supraślu.

Tarnopol pozostał przy Austrii przez kolejny wiek bez jednego roku. Jak na ironię równo 99 lat od wyjazdu Theylsa z miasta nad Seretem, 22 sierpnia 1914 roku, posypały się na Tarnopol pierwsze odłamki szrapnelów wystrzelonych przez Rosjan, którzy weszli do Tarnopola dzień później. Ta okupacja, a szczególnie te kolejne w XX wieku, swoim tragizmem przykryły pamięć o nieudolnych, ale jednak łagodnych rządach senatora Theylsa.

Pisząc korzystałem z:

Szymon Askenazy, *Rządy Rosji w Galicji Wschodniej 1809–1815*, „Tygodnik Ilustrowany”, 18/1903

Czesław E. Blicharski, *Tarnopol w latach 1809–1945*, Biskupice, 1993

Sławomir Godek, *Kilka uwag o znaczeniu III Statutu Litewskiego w Galicji*, „Zeszyty Prawnicze”, 16.4/2016

Marian Kukiel, *Dzieje Polski porozbiorowej (1795–1921)*, Puls, 1993

Karolina Grodziska

Janina Reichert i jej anioły-rycerze w kościele Matki Boskiej Nieustającej Pomocy w Tarnopolu

Rzeźba sakralna stanowiła ważną część dorobku artystycznego Janiny Reichert-Toth (1895–1986), rzeźbiarki, której pierwsza połowa życia upłynęła we Lwowie, a od połowy 1946 r. mieszkającej w Krakowie. Po ołtarzach w Krośnie-Polance, kościele św. Marii Magdaleny i rzeźbach do kościoła św. Elżbiety we Lwowie jej kolejną wielką realizacją sakralną były figury do kościoła Matki Boskiej Nieustającej Pomocy w Tarnopolu.

Ta wspaniała neogotycka świątynia wzniesiona została według projektu Teodora Talowskiego. Inicjatorem budowy był ówczesny (1902–1918) proboszcz i dziekan w Tarnopolu, późniejszy arcybiskup metropolita lwowski, ks. Bolesław Twardowski. Przyjęty do realizacji projekt był jednym z czterech zaproponowanych przez Talowskiego projektów na lwowski kościół św. Elżbiety. Niezrealizowany we Lwowie, znalazł swoje miejsce właśnie w Tarnopolu. Imponująca rozmiarami świątynia miała też wysoką wieżę o sześciu kondygnacjach różnej wysokości; straż przeciwpożarową pełniło na niej trzech strażników miejskich, a zamierzeniem fundatorów było, by odgrywano z niej – na wzór Krakowa – hejnał.

Pod budowę tarnopolskiej świątyni przeznaczono plac u zbiegu głównych ulic: Mickiewicza, Tarnowskiego i Ruskiej. W październiku 1903 r. ruszyła budowa. 11 października 1908 r. z kościoła Dominikanów procesjonalnie przeniesiono cudowny obraz Matki Boskiej Nieustającej Pomocy do prowidorycznego jeszcze ołtarza, a arcybiskup Józef Bilczewski wraz z biskupem sufraganiem Józefem Weberem dokonał poświęcenia. W kolejnych latach systematycznie uzu-

pełniano wystrój wnętrza i kończono budowę¹.

Podczas pierwszej wojny światowej w wyniku ostrzału przez artylerię rosyjską w sierpniu 1914, a następnie podczas kontrofensywy austriackiej, kościół doznał poważnych uszkodzeń, łącznie z rozbiciem dachu i gzymsów, podziurawieniem sklepienia, zarekwirowaniem miedzianej blachy dachowej i dzwonów, rewizjami w poszukiwaniu broni i zwykłymi kradzieżami. Dopiero po wojnie przyszło do dalszych prac (w tym nad witrażami, m.in. wg projektu Kazimierza Sichulskiego) i restauracji kościoła².

Brak zachowanych źródeł nie pozwala na dokładny opis wyposażenia świątyni. Wiadomo jednak, że były dwa projekty ołtarza głównego, pierwszy Jana Wojtowicza, drugi Adolfa Szyszko-Bohusza; zachowały się ich szkice. Ostatecznie jednak zlecenie na wykonanie ołtarza głównego otrzymał inny ceniony architekt Wawrzyniec Dayczak (1882–1968). Prace toczyły się w latach 1932–1933. W swoich wspomnieniach, publikowanych dotychczas w niewielkich fragmentach przez córkę Autora, panią Marię Dayczak-Domanasiewicz, tak opisywał przyjętą przez siebie koncepcję:

„Arcybiskup Twardowski zlecił mi wykonanie projektu i budowy wielkiego ołtarza w kościele parafialnym w Tarnopolu, zbu-



Anioł-rycerz z kościoła w Tarnopolu, model gipsowy w pracowni artystki

dowanym w czasie, gdy arcybiskup był tam proboszczem. Był to wielki kościół gotycki według projektu prof. Teodora Talowskiego. Prezbiterium zakończone było wielobocznie, a w ścianach wieloboku było sześć długich okien witrażowych, siódme okrągłe na Osi świętej umieszczone zaś było w ścianie wysoko pod sklepieniem. Postanowiłem tak wykonać projekt, aby te okna weszły w obręb architektury ołtarza. W tym celu przed każdym filarem międzyokiennym ustawiłem wielką statuetkę anioła z podniesionymi w górę skrzydłami, aby zaś wykonać odpowiednie piedestały dla tych aniołów obłożyłem dolną część ścian poniżej okien wielkimi płytami szlifowanego różowego kamienia trembowelskiego, a na każdym załomie, to jest poniżej aniołów, ustawiłem białą alabastrową romańską kolumnę z odpowiednią bazą i cokółem, zwieńczoną ponad głowicą rozszerzonym architravem i średniowiecz-

nym gzymsem na rzucie trójkąta. Gzyms ten ostrym narożem kierował się do frontu, a po bokach załamywał się i biegł ponad obłożoną różowym kamieniem dolną częścią ścian pod oknami. Na tych różowych ścianach położyłem typowe laskowanie gotyckie z białego alabastru, co bardzo ożywiło te różowe płaszczyzny.

Sam ołtarz z wysoką nadbudową wykonałem w konstrukcji żelbetowej, z możliwością dostępu do najwyższej kondygnacji poza ołtarzem, ale najważniejszą częścią był rodzaj tronu z bogatym baldachimem na czterech kolumnach z alabastru i tylną wnęką z bizantyńskim obrazem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, przy czym

¹ Marcin Biernat, *Kościół parafialny w Tarnopolu*, [w:] *Kościół i klasztor rzymskokatolickie dawnego województwa ruskiego*, tom 16, Międzynarodowe Centrum Kultury w Krakowie, Kraków 2008, s. 228.

² M. Biernat, tamże, s. 234–235.

przewidziano miejsce na liczne wota i możliwość reflektorowego oświetlenia obrazu. Ponad baldachimem rzeźba Trójcy Świętej w ujęciu średniowiecznym, tj. Bóg Ojciec siedzący trzyma przed sobą rozpiętego na krzyżu Syna, a nad nim Duch Święty w postaci gołębiczy przedstawiony już nie w rzeźbie, tylko w witrażu tego okrągłego okna, o którym wyżej wspominałem. Ołtarz łączył się w jedno z udekorowanym prezbiterium, bo po bokach stały dwa takie same wielkie anioły, jak w filarach międzyokiennech, było więc razem osiem figur wielkich



Tron Łaski

i dwie figury mniejszych aniołów adorujących tabernakulum. Wszystkie rzeźby wykonała panna Reichertówna, która już wcześniej wykonywała mi figurę św. Elżbiety we Lwowie. Wszystkie figuralne rzeźby wykonane były ze sztucznego kamienia w kolorze kremowym, a złoceń w ołtarzu prawie nie było³.

Jak pisze współczesny historyk sztuki, autor wnikliwego opracowania dziejów tarnopolskiego kościoła Marcin Biernat, „ołtarz został potraktowany jako całościowa aranżacja prezbiterium. Jego strona stylistyczna wyrastała z doświadczeń udanego połączenia nurtu modernistycznego z neogotyckim otoczeniem architektonicznym, zastosowanego uprzednio w kościele św. Elżbiety we Lwowie. Istotne znaczenie miało tu niewątpliwie doświadczenie artystów pracujących wcześniej przy ołtarzu lwowskim: architektka Wawrzyńca Dayczaka i rzeźbiarki Janiny Reichertówny⁴.

Zespół rzeźb wykonanych przez 37-letnią wówczas artystkę składał się przede wszystkim z kompozycji otaczającej tabernakulum utworzonej przez dwa klęczące

anioły w pięknie pofałdowanych strojach, podtrzymujące nad tabernakulum koronę. Dalej – z ośmiu figur aniołów ustawionych na postumentach między oknami apsydy, ze skrzydłami kojarzącymi mi się nieodparcie z husarią; podobne skojarzenie miał Adam Przyboś, oglądający je przed wojną w Tarnopolu, który określił je jako anioły-rycerze w pobożnej adoracji⁵. Anioły pierwotnie miały mieć dłonie złożone do modlitwy, ostatecznie jednak trzymały kielichy, monstrancje i księgi. Wszystkie miały takie same, rozmodlone twarze o nieco migdałowatych oczach. Trze-

cią rzeźbą Janiny Reichert był Tron Łaski, czyli wizerunek siedzącego Boga Ojca, trzymającego w rękach rozpiętego na krzyżu Chrystusa. Dopelnieniem wizerunku był ów witraż w tondzie z Duchem Świętym jako gołębicą.

W swoich wspomnieniach Wawrzyniec Dayczak podkreślał zaangażowanie i pomoc ówczesnego prezydenta miasta Tarnopola, Włodzimierza Lenkiewicza. Jak świadczą zachowane w papierach artystki dokumenty, figury wykonane były ze sztucznego kamienia, odlewy wykonywała firma L. Repichowskiego⁶. Godne uznania i podkreślenia jest to, że do wystroju tej imponującej świątyni przyczyniali się też przedstawiciele innych wyznań: rzeźbiarz-samouk z Toustoługa, Rusin M. Nazarko i ofiarodawca alabastru i kamienia trembowelskiego na okładzinę ścian, żydowski kupiec Chune Bazar⁷.

³ Wawrzyniec Dayczak, *Z dni wielkich przemian. Wspomnienia architekta*, Biblioteka Naukowa PAU i PAN w Krakowie, rkps sygn. Akc. 139/21, część II, s. 225–226, maszynopis подарowany do Biblioteki przez córkę Autora, panią Marię Dayczak-Domanasiewicz.

⁴ M. Biernat, op. cit., s. 259.

⁵ Adam Przyboś, *Tarnopol*, Biblioteka Naukowa PAU i PAN w Krakowie, rękopis sygn. 12 059, k. 297, dar pani Aleksandry Przybosiowej dla Biblioteki z 2008 r.

⁶ Biblioteka Naukowa, rękopis sygn. 11 629, papiery Janiny Reichert-Toth, karta 16–26.

⁷ M. Biernat, op. cit., s. 241, oraz Czesław Blicharski, *Tarnopol zatrzymany w kadrze pamięci*, Zabrze 1992, plansze 54 i 55, i tenże, *Tarnopol w latach 1809–1945, od epizodu epoki napoleońskiej do wypędzenia*, Biskupice 1993, s. 196 i 265.

Wróćmy jeszcze do wspomnień Wawrzyńca Dayczaka:

„Pamiętam, że gdy przyjechał arcybiskup Twardowski i przyszedł do kościoła, aby zobaczyć ołtarz, był wieczer. Kościół i ołtarz był oświetlony, a ja i pan Lenkiewicz [prezydent Tarnopola] zawieszaliśmy wota na ołtarzu. Ksiądz arcybiskup stanął w bramie kościoła, spojrzął na oświetlony ołtarz i przez długą chwilę patrzył, a my widzieliśmy wzrastające zadowolenie na rozpromienionej jego twarzy. Wyraził swoje uznanie,

gdyśmy zeszli z ołtarza, aby się przywitać. Było to w przeddzień uroczystej konsekracji ołtarza i kościoła. Późnym wieczorem, gdy całkiem już było ciemno, ksiądz arcybiskup wyszedł ze mną na plac miejski przed frontem kościoła, aby oglądnąć jak wygląda ten front świetlony na tę noc dwoma silnymi reflektorami, ustawionymi na placu przed kościołem. Ostro oświetlona gotycka architektura kościoła i wieży na tle ciemnego nieba wyglądała fantastycznie. [...]

W uroczystości konsekracji brała też udział moja żona, a potem już razem byliśmy na zebraniu w parafii, gdzie ja spowodowany licznymi gratulacjami wygłosiłem krótkie przemówienie, że do budowy ołtarza użyłem tylko tych materiałów, których dostarcza podolska ziemia. Ma to być symbolem naszych uczuć dla tej kochanej ziemi, za to, że rozsiane po niej kurhany i liczne ruiny dawnych zamków obronnych są ciągle żywym świadectwem naszej dawnej chwały historycznej i misji przedmurza chrześcijańskiej kultury Europy⁸.

Uroczysta konsekracja ołtarza została dokonana w dniach 22–23 kwietnia 1933, w 25. rocznicę wmurowania kamienia węgielnego. Celebrował ją, jak już powiedzia-



Jeden z pary aniołów podtrzymujących koronę nad tabernakulum

no wyżej, arcybiskup metropolita lwowski ks. Bolesław Twardowski⁹.

W papierach osobistych Janiny Reichert-Toth (dwa lata później, po zamążpójściu, zaczęła używać podwójnego nazwiska), brak wiadomości, by uczestniczyła w tej uroczystości. Zachowały się natomiast zdjęcia rzeźb do kościoła w Tarnopolu, własnoręcznie przez nią opisane, obecnie w moim posiadaniu. Co ciekawe, te figury aniołów-rycerzy musiały się bardzo podobać, skoro pamiętam je oprowione i wiszące w dwóch domach w To-

maszowie Lubelskim: Felicji i Janusza Peterów oraz Marii i Klemensa Wilamowskich.

Wspaniały pod względem architektonicznym i ciekawy, jeśli idzie o wystrój wnętrza, kościół niedługo miał służyć katolickiej społeczności Tarnopola. W 1944 r. był celem zacieklego ostrzału artylerii Armii Czerwonej. W maju 1946 wyjechali proboszcz i wikariusze, wyposażenie świątyni trafiło do wielu miejsc w Polsce, a cudowny obraz Matki Boskiej Nieustającej Pomocy znajduje się obecnie w Wałbrzychu. Po paru latach niszczenia, w 1949 stan budynku uznano za „awaryjny”. Ostatecznie wysadzony został w powietrze przez władze sowieckie w 1954 r. Na pozyskanym terenie zbudowano dom towarowy, otwarty w 1959 r.

Obecnie o pięknej realizacji Teodora Talowskiego przypomina w Tarnopolu niewielka pamiątkowa makieta z brązu. Rzeźby Janiny Reichert z uwagi na ich rozmiary nie mogły być wywiezione wraz z wyposażeniem kościoła. Przedstawiane tu obecnie fotografie, pochodzące ze spuścizny artystki i przez nią opisane, to nieliczne świadectwa piękna owej świątyni, której czas był tak krótki.

Fotografie ze zbiorów autorki

⁹ Uroczysta konsekracja kościoła parafialnego w Tarnopolu, „Kurier Lwowski” z 1 maja 1933, s. 7.

⁸ W. Dayczak, op. cit., s. 226–227.

ARMIA KRAJOWA NA TARNOPOLSZCZYŹNIE

Początki struktur konspiracyjnych na obszarze przedwojennego województwa tarnopolskiego sięgają jeszcze września 1939 roku. Wtedy to zaczęły na tym terenie powstawać pierwsze grupy konspiracyjne. Jedną z nich była organizacja działająca w stolicy województwa – Tarnopolu. Złożona ona była w przeważającej większości z młodzieży gimnazjalnej. Na jej czele stali Jan Runiewicz i Kazimierz Horodyński. Współpracowali z nimi dr Złakiewicz oraz adwokat Kazimierz Świrski. Grupa ta wydawała pismo „Jestem Polakiem” w nakładzie ok. 50 egzemplarzy. Pierwsze organizacje o charakterze wojskowym powstały dopiero w grudniu 1939 roku. Były to Tajna Organizacja Harcerska oraz organizacja kierowana przez mjr. Karola Durkę, który podczas kampanii wrześniowej dowodził I/54 pp. stacjonującym do 1939 roku w Tarnopolu. Według niektórych relacji Karol Durko działał na tym terenie z ramienia tzw. ZWZ-2, czyli odłamu ZWZ kierowanego przez przedwojennych oficerów o poglądach piłsudczykowskich. Według niepotwierdzonych informacji udało się utworzyć wówczas struktury konspiracyjne m.in. w Chodaczkowie Wielkim, Michałowce (pow. Podhajce) oraz we wsiach Kaczanówka, Mołczanówka, Chmieleśka w powiecie skałackim. Organizacja prawdopodobnie liczyła kilkuset członków. Jej żołnierze prowadzili działalność wywiadowczą i dywersyjną. Działalność organizacji została sparaliżowana w lipcu 1940 r., kiedy to aresztowano Jana Bieniowskiego, zastępcę mjr. Karola Durki, oraz wielu innych żołnierzy. Obok ZWZ-2 aż do marca 1941 r. działała na tym terenie Tajna Organizacja Harcerska, kierowana przez podharcmistra Rudolfa Weidla. Została ona rozbita przez NKWD w marcu 1940 r.

Nieco później, bo dopiero z początkiem 1940 roku, powstały na tym terenie struktury tzw. ZWZ-1, zrzeszającego osoby o poglądach antysanacyjnych. Komen-

dantem okręgu miał być Zbigniew Ryszard Wunderlich, do 1939 roku pełniący funkcję starosty w Zborowie. W skład Komendy Okręgu weszli również Rudolf Weidel jako zastępca komendanta oraz Kazimierz Maziej, kwatermistrz. Do ścisłego kierownictwa należeli także Władysław Warchałowski, którego zadaniem było utrzymywanie kontaktów z powstałą w październiku 1939 r. w Tarnopolu Tajną Organizacją Harcerską „Młody Las”, oraz Tadeusz Sambor, który zajmował się podtrzymywaniem kontaktów z komendą obszaru we Lwowie. W organizacji kierowanej przez Wunderlicha działało ok. 120 osób. Oprócz struktur w Tarnopolu komendzie podporządkowane były także te w Buczaczu. W skład organizacji weszli również członkowie grupy konspiracyjnej plutonowego Eugeniusza Jakubika złożonej z 36 żołnierzy WP, grupy kierowanej przez podchorążych Zbigniewa Zimmera i Jana Runiewicza oraz grupa młodzieży kierowana przez Romana Dembowskiego. Komenda Okręgu nawiązała kontakt z organizacją konspiracyjną w Brzeżanach, na której czele stali Czesław Lubelski i Marian Jaremovicz – oficerowie stacjonującego w tym mieście do 1939 r. 51. pułku piechoty. Trzeba jednak wyraźnie powiedzieć, że podczas tzw. I okupacji sowieckiej działalność konspiracyjna nie osiągnęła spektakularnych rozmiarów, czego przyczyną był nasilający się cały czas terror NKWD.

Niewątpliwie największą akcją polskiego podziemia na tym terenie było tzw. „powstanie czortkowskie”, do którego doszło w nocy z 21 na 22 stycznia 1940 r. Celem ataku było uwolnienie więźniów, opanowanie dworca oraz przejęcie pociągu, którym zamierzano przedostać się przez Zaleszczyki do Rumunii. Powstanie zostało zorganizowane przez Polską Organizację Walki z Wrogiem kierowaną przez harcmistra i profesora gimnazjalnego Józefa Opackiego. W jej skład wchodziła grupa

harcerzy. Członkowie nie tylko prowadzili szkolenia według przedwojennych wzorów harcerskich, ale także zajmowali się gromadzeniem broni, działalnością wywiadowczą i kontrwywiadowczą oraz szkoleniem wojskowym. Grupa ta przetrwała do 1942 r., a zatem do momentu powstania struktur AK w Czortkowie. Podczas okupacji sowieckiej istniała w tym mieście jeszcze jedna organizacja konspiracyjna – Polska Organizacja Walki o Wolność, znana także pod nazwą „Orzeł Biały”. Jej komendantem bądź jednym z organizatorów był Heweliusz Malawski. Członkowie obu wymienionych organizacji wzięli udział w „powstaniu czortkowskim”. Niestety zakończyło się ono klęską. Większość jego uczestników została aresztowana i skazana na wieloletni pobyt w łagrze lub na karę śmierci. Ci, którzy przetrwali do układu Sikorski–Majski, weszli w skład Armii Andersa. Nieliczni, którym udało się uniknąć aresztowania, wstąpili w szeregi Armii Krajowej podczas okupacji niemieckiej.

Rozpoczęcie wojny niemiecko-sowieckiej w sposób znaczący zmieniło sytuację polskiej konspiracji na tym obszarze. Komendant główny ZWZ Stefan Rowecki, ze względu na niemal całkowite zniszczenie przez Sowietów struktur konspiracyjnych

na tym terenie, podjął decyzję o wysłaniu tam grupy oficerów na czele z generałem Kazimierzem Sawickim ps. „Pрут”. Stał on na czele komendy Obszaru Południowo-Wschodniego ZWZ z siedzibą we Lwowie. Wśród okręgów wchodzących w skład obszaru znalazł się również okręg Tarnopol (kryptonim „Komar”, „Tarcza”, „Ton”). Jego komendantem został mianowany Mieczysław Widajewicz „Czermna”, „Wapno”, który podczas okupacji posługiwał się nazwiskiem Antoni Czerniak. Niebawem, bo 9 grudnia 1941 r., funkcję komendanta objął Franciszek Studziński (nazwisko okupacyjne Andrzej Radwan „Skiba”, „Rawicz”, „Kotlina”, „Skała”), który sprawował to stanowisko aż do końca niemieckiej okupacji. Nowy Komendant Okręgu miał bardzo utrudnione zadanie. Z jednej strony był osobą zupełnie nieznaną na tym terenie, w związku z czym musiał ostrożnie poruszać się po Tarnopolu, jak i poza nim, aby nie wzbudzać nadmiernego zainteresowania niemieckich sił bezpieczeństwa. Z drugiej zaś strony struktury polskiej konspiracji rozbite w dużej mierze przez NKWD musiały być budowane niemal od podstaw. W tej sytuacji w pierwszym okresie funkcjonowania Studziński był zmuszony korzystać z pomocy Zofii Kostanowiczówny



Sluchacze konspiracyjnej szkoły podoficerskiej w Wicyniu



Płk. Franciszek Studziński – komendant Okręgu AK Tarnopol



Por. kpt. si st. Bronisław Żeglin – komendant Inspektoratu AK Tarnopol



Piotr Woźniak (1912–1988), ppor./por. rez., ps. „Wir”, szef oddziału II komendy Okręgu AK Tarnopol

ps. „Weneda”, pełniącej funkcję łączniczki. W maju 1942 r. w strukturach Okręgu służyło zaledwie 217 osób, natomiast we wrześniu 1942 r. liczba ta wzrosła do 3759 (64 osoby w stopniu oficera, 56 podchorążych oraz 696 podoficerów). Na dzień 31 sierpnia 1943 r. siły okręgu liczyły 11 tys. żołnierzy, w tym 72 oficerów, 134 podchorążych i 1930 podoficerów. Dużym problemem komendanta okręgu był brak kadry oficerskiej. Wielu oficerów z pułków stacjonujących do 1939 r. na terenie województwa tarnopolskiego dostało się do niewoli sowieckiej lub niemieckiej podczas wojny obronnej, inni po powrocie do domów zostali aresztowani przez NKWD, jeszcze inni zdobili przedostać się na Węgry lub do Rumunii, a stamtąd do tworzonej we Francji Armii Polskiej. Dlatego też w wielu wypadkach organizatorami struktur konspiracyjnych na terenie Tarnopolszczyzny byli ocaleni przed sowieckimi deportacjami nauczyciele, urzędnicy, leśnicy bądź podoficerowie rezerwy.

Niestety ogromnym problemem odtwarzanych struktur konspiracyjnych na tym terenie podobnie jak na obszarze pozostałych okręgów ZWZ-AK był brak potrzebnego uzbrojenia. Według zachowanych dokumentów w początkowym okresie okupacji niemieckiej w magazynach konspiracyjnych znajdowały się zaledwie 3 ckm-y, 19 rkm-ów, 322 karabiny, 268 pistoletów, 1 pistolet maszynowy oraz 601 granatów. Oczywiście

w miarę upływu czasu liczby te ulegały zmianie, jednak problemu uzbrojenia nie udało się rozwiązać do końca niemieckiej okupacji. Potrzebne uzbrojenie starano się pozyskiwać na różne sposoby. Wydobywano broń ukrytą przez jednostki WP podczas wojny obronnej, zbierano broń i amunicję porzuconą przez jednostki sowieckie podczas panicznego odwrotu w czerwcu 1941 r., kupowano na czarnym rynku. Stosunkowo niewielką część arsenału otrzymano natomiast od Komendy Obszaru we Lwowie. Niestety okręg Tarnopol, w przeciwieństwie do okręgów Lwów i Stanisławów, nigdy nie otrzymał zrzutów z zachodu, mimo że wyznaczono placówki, które miały przyjmować zrzuty. Były to placówki o kryptonimach: „Bomba” (położona w pobliżu wsi Założce w obwodzie Zborów), „Holownik” (w pobliżu wsi Sasów w obwodzie Złoczów) oraz „Proch” (w pobliżu wsi Hucisko w obwodzie Brzeżany). Na żadną z nich nigdy nie nadleciał samolot z zaopatrzeniem, mimo że wszystkie znajdowały się w zasięgu startujących z południowych Włoch. Trudno dziś stwierdzić, dlaczego tak się stało. Wydaje się, że wynikało to prawdopodobnie z przyczyn z politycznych, a nie wojskowych. Zbliżająca się Armia Czerwona i pogarszające się polityczne położenie Polski wynikające z decyzji podjętych w Teheranie spowodowały, iż okręg Tarnopol nigdy nie otrzymał z Zachodu jakże potrzebnego zaopatrzenia.

Warto w tym miejscu dodać, że na terenie okręgu, mimo braków w zaopatrzeniu, bardzo aktywnie działały struktury Kedywu. Ten wydzielony pion w strukturach AK miał zajmować się prowadzeniem działań dywersyjnych i sabotażowych skierowanych zarówno przeciwko regularnym oddziałom Wehrmachtu i policji, jak i przedstawicielom władz okupacyjnych. Na terenie okręgu Tarnopol tworzenie struktur Kedywu rozpoczęto na początku 1943 r. Pierwszym szefem Kierownictwa Dywersji został mianowany cichociemny Stanisław Gilowski „Gotur”. Na tym stanowisku nie rozwinął jednak szerszej działalności i wkrótce został przeniesiony do komendy okręgu. Jego następcą został mianowany Edward Pisula „Tama”, prace nad tworzeniem Kedywu trwały przez cały 1943 r. Pod koniec roku w jego strukturach na terenie całego okręgu służyło około 500 osób. Pod względem organizacyjnym Kedyw dzielił się na dwa rejon dywersji: Tarnopol i Złoczów. Pierwszy z nich składał się z ośrodków w Tarnopolu, Zbarażu i Trembowli. W składzie tego rejonu funkcjonowało łącznie 9 oddziałów dywersyjno-bojowych, podzielonych na 31 patroli. Każdy z patroli składał się najczęściej z dowódcy oraz 5 żołnierzy. W skład drugiego z rejonów wchodziły ośrodki w Złoczowie, Zborowie, Krasnem i w Brodach. Łącznie na jego obszarze działało 13 oddziałów dywersyjno-bojowych, składających się z 52 patroli. Ponadto w skład Kedywu wchodziły samodzielne ośrodki dywersji w Czortkowie (4 oddziały dyspozycyjno-bojowe w składzie 10 patroli), Buczaczu (4 oddziały dyspozycyjno-bojowe w składzie 4 patroli) oraz w Brzeżanach (4 oddziały dyspozycyjno-bojowe w składzie 13 patroli).

W drugiej połowie 1943 r. oddziały Kedywu rozpoczęły prowadzenie intensywnych akcji dywersyjnych. Były to np. działania organizowane na liniach kolejowych. Przykładem może być akcja pod stacją Złota-Słoboda na linii Potutory–Tarnopol w styczniu 1944 r., podczas której wysadzony został pociąg wojskowy. Przerwa w ruchu na tym odcinku trwała blisko 30 godzin. Prowadzono również akcję likwidacji przedstawicieli okupacyjnego aparatu terroru. Przykładem niech będzie akcja likwidacji szefa gestapo w Czortkowie Ferdynanda Randkego dokonana 24 stycznia 1944 r. przez Stefana

Chrostykowskiego ps. „Sokół” oraz Kazimierza Henchena.

Trzeba wyraźnie powiedzieć, że na terenie Okręgu AK Tarnopol akowcy musieli walczyć nie tylko z Niemcami, ale także z oddziałami UPA, które od drugiej połowy 1943 r. regularnie napadały na polskie wsie i kolonie na obszarze Tarnopolszczyzny. W większości miasteczek i wsi, które zamieszkiwała ludność polska, udało się zorganizować placówki samoobrony. Jej żołnierze nie tylko bronili poszczególnych miejscowości przed atakami ukraińskimi, ale także prowadzili ewakuację polskiej ludności z zagrożonych obszarów. Aby przeciwdziałać atakom ukraińskim, dowództwo Okręgu AK Tarnopol podjęło decyzję o uformowaniu oddziału dywersyjnego. Jego zadaniem było również prawdopodobnie udzielenie pomocy jednej z polskich wsi na Wołyniu atakowanej przez UPA. Grupa ta, licząca 50 osób, została skoncentrowana w lasach pod Brodami. Oddział został jednak otoczony przez przeważające siły UPA i gdyby nie pomoc regularnych jednostek armii węgierskiej zostałaby doszczętnie zniszczony.

Pierwsze działania w celu zorganizowania samoobrony na terenie okręgu tarnopolskiego podobnie jak w całej Małopolsce Wschodniej zostały podjęte jeszcze na przełomie 1942 i 1943 roku. Polegały one najczęściej na organizacji w wioskach i miasteczkach Tarnopolszczyzny punktów obserwacyjnych oraz patroli i straży mających na celu ostrzeganie mieszkańców przed przybyciem obcych oddziałów zbrojnych, ukraińskich lub sowieckich. W niektórych miejscowościach budowano również specjalne schrony, w których mieszkańcy mogli znaleźć ukrycie w wypadku niemieckich łapanek. Tak było np. w Wicyniu w pow. Złoczów. W miarę pogarszania się sytuacji rozpoczęto tworzenie zbrojnych struktur samoobrony w poszczególnych miasteczkach, wsiach i koloniach. Niewątpliwie największe szanse na przetrwanie miały te osady, w których istniały silne i dobrze uzbrojone struktury AK. Tam, gdzie struktur takich brakowało, miejscowa ludność musiała najczęściej ratować się ucieczką do miast, w których stały garnizony Wehrmachtu. Niestety sytuacja pogorszyła się w drugiej połowie 1943 roku, kiedy utworzona została dywizja SS-Galicien. W starciu z regularnymi oddziałami tej

dywizji struktury samoobrony nie miały już żadnych szans, co dobitnie pokazał przypadek Huty Pieniackiej.

Trzeba wyraźnie powiedzieć, że aby struktury samoobrony mogły działać w miarę sprawny sposób musiało być spełnionych kilka warunków. Po pierwsze mogły być organizowane jedynie w osadach zamieszkałych wyłącznie przez ludność polską lub w takich, w których ludność polska miała zdecydowaną przewagę liczebną. We wsi nie mógł się znajdować posterunek ukraińskiej policji pomocniczej, nie powinny też w niej stacjonować żadne oddziały niemieckie. Czasami jednak stacjonowanie w osadzie oddziałów niemieckich stanowiło lepszą ochronę niż zorganizowana samoobrona. Siły okupacyjne działały bowiem w pewien sposób odstraszająco zarówno na bojówki upowskie, jak i na kryminalne bandy rabunkowe, które rozpleniły się na terenie Małopolski Wschodniej. Niestety w wypadku napadu banderowskiego problemem mogło być użycie broni palnej, która nie była zalegalizowana przez władze okupacyjne. Ogromnie dużo zależało tutaj od przychylności niemieckiego garnizonu, którego dowództwo często jednak przymykało oko na fakt, że miejscowa polska ludność posiadała broń palną.

Bywało jednak i tak, że Niemcy w mniej lub bardziej otwarty sposób wspierali działania ukraińskie, co w pewien sposób hamowało polskie działania obronne. Odbywało się to w ten sposób, że niemieckie oddziały wkraczały do danej osady, która zdołała odeprzeć banderowski atak, przeprowadzały rewizję, zabierały znalezione broń oraz aresztowały mężczyzn, paraliżując tym samym jakiegokolwiek działania obronne. Trzeba jednak zwrócić uwagę, że czasem bywało i tak, że niektórzy Niemcy indywidualnie wspierali Polaków w walce z banderowcami. Znany jest np. przypadek niemieckiego lekarza ze szpitala wojskowego w Brzeżanach, który dostarczał miejscowej samoobronie broń, lekarstwa oraz środki opatrunkowe. Tego typu sytuacje wbrew obiegowym opiniom były dosyć częste, zwłaszcza jeżeli takie osoby pochodziły ze Śląska czy Pomorza. Mało tego, niektórzy żołnierze Wehrmachtu pochodzący z terenów do 1939 roku wchodzących w skład Polski w końcowym okresie hitlerowskiej okupacji dezertowali, zasilając struktury samoobrony lub oddziały

partyzanckie. Wydaje się, że jeżeli chodzi o stosunek władz niemieckich do powstających struktur samoobrony to wszystko zależało od lokalnych uwarunkowań. W niektórych miejscach Niemcy wyraźnie stawali po stronie ukraińskiej, w innych zaś popierali Polaków, zgodnie ze starą zasadą „Divide et impera”. Spośród istniejących ośrodków samoobrony warto w tym miejscu wymienić bazy w Kozakach, Wicyniu czy Hucie Pieniackiej. Los poszczególnych placówek był różny: jedne dotrwały do ponownego wkroczenia Sowietów na ten teren, inne – takie jak Huta Pieniacka – zostały zniszczone przez siły ukraińskie.

Jednak nie tylko Niemcy i Ukraińcy zagrażali strukturalom polskiej konspiracji oraz skupiskom ludności polskiej. Duże niebezpieczeństwo przedstawiali również Sowieci. Ich wywiad, znakomicie zorganizowany, dysponował wieloma informacjami na temat polskiej konspiracji na Tarnopolszczyźnie. Wynikało to m.in. z faktu, że bolszewikom udało się pozyskać wielu informatorów wśród Polaków na tym terenie. Aby temu przeciwdziałać, komendant okręgu nakazał przedsięwzięcie jak najściślejszych środków ostrożności wobec tych członków konspiracji, którzy podczas okupacji sowieckiej z lat 1939–1941 weszli dobrowolnie lub pod przymusem w jakiegokolwiek stosunki z bolszewikami lub zdradzali sympatię wobec Rosji sowieckiej.

Ostatnim przejawem działań antyniemieckich na tym terenie była akcja „Burza”. Jej celem miało być zmanifestowanie wobec wkraczających jednostek Armii Czerwonej, że Polacy są jedynym i prawdziwym gospodarzem na tych terenach. Ze względu na wyraźną przewagę przeciwnika oraz zagrożenie ze strony UPA na terenie okręgu Tarnopol akcja „Burza” przybrała przede wszystkim postać zintensyfikowanych działań dywersyjnych skierowanych przeciw liniom komunikacyjnym nieprzyjaciela oraz wycofującym się na zachód oddziałom niemieckim. Jedną z bardziej spektakularnych akcji przeprowadzili żołnierze Kedywu z Czortkowa 16 marca 1944 roku. Grupą liczącą 7 ludzi dowodził osobiście komendant Kedywu Inspektoratu Czortków AK por. Władysław Dąbrowski „Kotwica”. Zadaniem patrolu było wysadzenie mostu na trasie kolejowej Czortków–Zaleszczyki,

patrolu znajdującego się w pobliżu wsi Ka-
dłuby. Uczestnicy akcji uzbrojeni byli w broń
krótką, natomiast Kazimierz Henchen dyspo-
nował dodatkowo sowiecką pepeszą. Sama
akcja miała dramatyczny przebieg, ponieważ
obfity deszcz zniszczył groble, po której bie-
gła droga do wsi Biała. W pobliżu tej wsi
znajdował się most kolejowy nad Czartowym
Jarem przeznaczony do zniszczenia. W tej
sytuacji grupa dywersyjna dotarła na tzw.
plażę kolejową nad Seretem, gdzie udało
się zdobyć ponton. Po przepłynięciu się
na drugi brzeg ruszono szybkim marszem
w kierunku mostu. Kiedy grupa dotarła na
miejsce, okazało się, że na moście nie ma
wartowników, jednak w jego pobliżu kwate-
ruje węgierska jednostka. Po założeniu ła-
dunków nastąpił odskok. Po chwili rozległ się
wybuch, po czym rozpoczęła się strzelanina.
To węgierscy żołnierze próbowali ostrzeliwać
domniemanych partyzantów. Na szczęście
grupa wycofała się bez strat.

Była to, jak się okazało, ostatnia akcja
czortkowskiego Kedywu, bowiem niespełna
dwa tygodnie później tereny te zostały zaję-
te przez regularne jednostki sowieckie. Po
ustabilizowaniu się linii frontu z początkiem
kwietnia 1944 roku i podziale terenów okrę-
gu na dwie części, akcja została przerwana.
Wznowioną ją dopiero w czerwcu 1944 roku.
Zgodnie z rozkazami komendanta obszaru
lwowskiego AK dotychczasowy okręg został
przekształcony w podokręg. Jego dowódcą
mianowano kpt. Franciszka Garwola ps.
„Dziry”. Zgodnie z otrzymanymi rozkazami
na terenie podokręgu Tarnopol rozpoczęto
odtworzenie 12. DP AK w składzie 51. pp.
AK i 52. pp. AK. Na jej czele stanął wspo-
mniany wyżej Franciszek Garwol, a jego
zastępcą mianowany został Zdzisław Ki-
nasiewicz „Tor”. W składzie zgrupowania
znajdowały się 1. kompania 52. pp. AK pod
dowództwem Mieczysława Lipca „Wichury”
oraz 2. kompania 51. pp. dowodzonej przez
Zygryda Szynalskiego „Tryka”, liczące łąc-
nie ok. 200 ludzi. Żołnierze 1/52 pp. przy-
stąpili do akcji 16 lipca 1944 r. Atakowali
wycofujące się oddziały nieprzyjaciela, np.
na drodze Zarwanica–Folwarki zniszczona
została niemiecka kolumna samochodowa.
Żołnierze porucznika „Wichury” zaatakowali
też stację kolejową w Złoczowie, którą utrzy-
mali aż do nadejścia regularnych jednostek
sowieckich.



Grupa żołnierzy obwodu Skałat. Od lewej stoją:
N.N., Mikołaj Niedzielczak, Aleksander Ochocki
– dowódca plutonu

Po wkroczeniu bolszewików „Wichura”
nie ujawnił przynależności oddziału do AK,
ale przedstawił go jako samodzielny oddział
partyzancki, dzięki czemu zdołał uchronić
swoich żołnierzy przed aresztowaniem i wy-
wózką w głąb ZSRR. 2. kompania 51. pp.
dowodzona przez por. „Tryka” prowadziła
intensywne działania dywersyjne w rejonie
Brzeżan, atakując wycofujące się jednostki
niemieckie m.in. w rejonie Podwysokiego
i Huciska. Kiedy Brzeżany zostały zajęte,
oddziały AK oraz tamtejszej samoobrony
dowodzonej przez Antoniego Fanderowskie-
go ps. „Wan” zostały rozbrojone. Część żoł-
nierzy skierowano do służby w batalionach
niszczycielskich, część wcielono do Armii
Berlinga, a niektórych, zwłaszcza oficerów,
aresztowano i wywieziono do obozów.

Jedynie nieliczni zdołali uratować się
przed pojmaniem i po zakończeniu wojny
wyjechali do Polski. Wśród nich był Fran-
ciszek Garwol, dowódca 12. DP AK. Tym
samym trwające blisko 5 lat dzieje Armii
Krajowej na tym terenie dobiegły końca.

Zdjęcia pochodzą ze zbiorów Fundacji Centrum
Dokumentacji Czynu Niepodległościowego w Kra-
kowie

Bibliografia

Archiwalia

Biblioteka Jagiellońska w Krakowie, Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego, Archiwum Tarnopolskie Czesława Blicharskiego: Akc. 1320/29, A. Jawor, *Związek Walki Zbrojnej – Armia Krajowa w okręgu tarnopolskim w latach 1939–1945 w świetle relacji i dokumentów*, maszynopis.

Akc. 1320/5/5, P. Woźniak, *Armia Krajowa Okręg Tarnopolski*, maszynopis.

Akc. 5/2, *Relacja z działalności AK na terenie Powiatu Zborowskiego Okręg Tarnopol, prowadzonej w latach 1941–1944, spisana przez b. komendanta obwodu kpt. AK Mariana Nizankowskiego, kryptonim obwodu Żuraw*, maszynopis.

Akc. 5/2, J. Cisiek, *Wspomnienia z działalności Armii Krajowej na terenie powiatu Brzeżany województwa tarnopolskiego*, maszynopis.

Biblioteka Jagiellońska – sekcja rękopisów
Przyb. 9/85, P. Woźniak, *Z niw i ugorów mego życia*, t. 2, maszynopis.

Bonusiak W., *Małopolska Wschodnia i Wołyń podczas II wojny światowej*, Rzeszów 2022.

Czajkowski T., *W służbie Kierownictwa Dywersji*, „Historia Lokalna”, nr 1, 2010, s. 15.

Krajewski K., *Na straconych posterunkach. Armia Krajowa na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej*, Kraków 2015.

Krawczyk J., *Tworzenie się samoobrony przed eksterminacją OUN-PA na terenie byłego województwa tarnopolskiego w latach 1943–1944*, [w:] *Stosunki polsko-ukraińskie: wojna i współczesność*, red. J. Marszałek-Kawy i Z. Karpusa, Toruń 2008, s. 102–132.

Mazur G., *Okręg Tarnopol Armii Krajowej*, [w:] *Armia Krajowa Rozwój Organizacyjny*, red. nauk. K. Komorowski, Warszawa 1996.

Młotecki P., *Powstanie w Czortkowie*, „Karta”, 1991, nr 5, s. 28–42.

Polskie Siły Zbrojne w II wojnie światowej, t. 3, *Armia Krajowa*, Londyn 1950.

Rusiński Z., *Tryptyk Brzeżański*, Wrocław 1998.

Ściślak M., *Czortków 1522–1946*, Wrocław 1993.

Ważniewski W., *Stracona nadzieja: polityka władz okupacyjnych w Małopolsce Wschodniej 1939–1944*, Warszawa 2004.

Węgierski J., *Armia Krajowa w okręgach Stanisławów i Tarnopol*, Kraków 1996.

Wnuk R., *„Za pierwszego sowieta”. Polska konspiracja na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej (wrzesień 1939–czerwiec 1941)*, Warszawa 2007.

Zapalec A., *Ziemia Tarnopolska w okresie pierwszej okupacji sowieckiej (1939–1941)*, Kraków 2006.

Igor Megger

30 lat „Głosów Podolan”

Z przyjemnością informujemy, iż w listopadzie 2023 r. upłynęło 30 lat od założenia czasopisma kresowego „Głosy Podolan”. Czasopisma, które od początku swego istnienia skupia się na opisywaniu województwa tarnopolskiego poprzez publikacje wspomnień, artykułów popularnonaukowych, pożegnań zasłużonych kresowian itd. Z okazji jubileuszu pragnę państwu na łamach bratniego czasopisma „Cracovia Leopoldis” przybliżyć historię jego powstania, przypomnieć osoby z nim związane i zachęcić do lektury numerów zarówno archiwalnych, jak i najnowszych.

„Głosy Podolan” – czasopismo poświęcone byłemu województwu tarnopolskiemu, powstało w listopadzie 1993 z pomysłu p. Ireny Kotowicz, czortkowiarki, prezes klubu „Podole” przy stołecznym oddziale TMLiKPW, która to została także jego redaktorem naczelnym. Pierwsze numery, jako dwumiesięcznik, metodą „chałupniczą” wydawała przy pomocy lwowianina, p. Stanisława Parille, który posiadał drukarkę. Nakład wtedy wynosił ok. 50 egzemplarzy, a w skład nieformalnej redakcji wchodził obok I. Kotowicz: Zbigniew Andruchów, Franciszek Siegel i Jerzy Stopa. W tym czasie „Głosom” nadano numer ISSN, a w roku 1997 zarejestrowano tytuł w sądzie. Także w 1997 roku sformalizowano redakcję i w jej skład obok p. Kotowicz weszli: skałatczanka Ewa Popiel-Barczyk oraz tarnopolanin p. płk. Jerzy Stopa (jako zastępca red. naczelnego), który to wniósł duże umiejętności techniczne, wydając biuletyn na komputerze oraz w profesjonalny sposób go łamiąc i wysyłając do drukarni.

W 2001 r. zmarła członek redakcji p. Ewa Popiel-Barczyk, którą zastąpił jej mąż prof. Wiesław Barczyk. W 2001 roku do redakcji dołączył także skałatczanin p. Antoni Gołębiowski, który wcześniej wraz z p. Ewą Popiel-Barczyk, a później z jej mężem wydawał numery specjalne poświęcone Skałatowi. Krótkotrwale (2001–2002) członkiem

redakcji była także czortkowianka p. Danuta Butrówna-Stancel. W czteroosobowym składzie, tj. Irena Kotowicz, Jerzy Stopa, Wiesław Barczyk i Antoni Gołębiowski, redakcja działała przez kilkanaście lat (2002–2015). W roku 2015 zmarł p. Antoni Gołębiowski, a w 2018 roku z prac w redakcji ze względu na wiek i stan zdrowia zrezygnowali płk. Jerzy Stopa i prof. Wiesław Barczyk, co spowodowało de facto zawieszenie wydawania czasopisma, które to w tym czasie miało nakład około 250–300 egz.

Na przełomie lat 2019/2020 p. Irena Kotowicz szukała osób chętnych do pomocy z wydaniem przynajmniej zaległych numerów „Głosów”. Do pomocy zgłosili się prenumeratorzy: Igor Megger z Poznania, Cezary Żyromski i Robert Szczerkowski z Wrocławia oraz Maria Sikorzyńska z Warszawy, sekretarz warszawskiego Klubu „Podole”. Udało się wydać 3 z 4 zaległych numerów.

Niestety śmierć p. Kotowicz w listopadzie 2020 roku pokrzyżowała wydanie ostatniego zaległego numeru i otworzyła dyskusję na temat dalszych losów czasopisma. W związku z tym, że dalsze wydawanie „Biuletynu Informacyjnego” przez poznański oddział TMLiKPW w formie kroniki z życia oddziału ze stronami historycznymi z powodu wielkiego spadku czytelnictwa, a także powielania treści na stronie internetowej traciło sens, Poznański Oddział TMLiKPW zaproponował Klubowi „Podole” przekazanie tytułu do Poznania, na co ten przystał.

Od 2021 tytuł wydawany jest w Poznaniu przez Poznański oddział TMLiKPW. Wielką pomocą w ustalaniu dotychczasowych czytelników były materiały przekazane przez p. Annę Szczepańską – córkę p. Kotowicz, bez których to prace byłyby bardzo ciężkie. Nawiązano także kontakt z byłymi członkami redakcji, tj. płk. Jerzym Stopą i prof. Wiesławem Barczykiem, którzy udzieli wielu cennych porad. Nie można także pominąć roli prenumeratorów, którzy pomogli odnaleźć tych, z którymi nie było kontaktu, oraz pozyskać nowych.

W skład nowej redakcji weszły osoby mniej lub więcej współpracujące z p. Kotowicz, lub też pracujące przy innych wydawnictwach kresowych: Igor Megger (Poznań) jako redaktor naczelny, Hanna Dobias-Telesińska (Poznań), Alicja Kocan (Warszawa), Maria Sikorzyńska (Warszawa), Robert

Szczerkowski (Wrocław) i Cezary Żyromski z Wrocławia jako korektor. W 2022 r. z prac w redakcji ze względu na stan zdrowia zrezygnował p. Żyromski, choć pełnił jeszcze tę funkcję „z doskoku” do czasu znalezienia nowego korektora, którym w 2023 roku został p. Piotr Rudzki. W lipcu 2023 zmarła p. Maria Sikorzyńska – przedstawiciel w redakcji byłego już Klubu „Podole”.

Na łamach „Głosów” znajdują się głównie artykuły wspomnieniowe – nadsyłane przez czytelników z kraju i z zagranicy. Nie brakuje i artykułów popularnonaukowych, jak publikowane cykle „Zapomniani pisarze z Podola” czy „Cuda Podola”, oraz artykułów ściśle naukowych opisujących wybrane zagadnienia, takich jak m.in. artykuły p. Eugeniusza Jaworskiego z Żar piszącego o swojej rodzinnej wsi Kretowce k. Zbaraża, artykuły Tadeusza Błażyńskiego i Jerzego Stoszka o czortkowskim sądownictwie, cykl biogramów czortkowskich nauczycieli Hipolita Chojeckiego, albo też artykuły opisujące budowle lub przedmioty: sakralne, jak figury i obrazy, czy świeckie, jak np. sztandary, pomniki itd.

Pisała także na naszych łamach bardzo dobrze znana czytelnikom „Cracovia Leopoldis” Anna Madej, która relacjonowała zjazdy Tarnopolan, które także współorganizowała.

Przez 30 lat ukazywania się pisma wyszły 162 numery plus 14 numerów specjalnych poświęconych w całości m.in. ludobójstwu w pow. czortkowskim, miastom: Czortków, Zaleszczyki, Skalał (5 zeszytów) oraz bibliografie.

Przez blisko 30 lat na łamach „Głosów”, zawierających łącznie ponad 9000 stron, opublikowano około 2000 artykułów napisanych przez blisko 400 autorów. Opisane zostało blisko 150 miejscowości byłego woj. tarnopolskiego oraz opublikowano ok. 350 pożegnań-wspomnień pośmiertnych.

Dzięki p. Jerzemu Stopie wszystkie numery „Głosów” znajdują się w wersji cyfrowej na stronie Wielkopolskiej Biblioteki Cyfrowej, dostęp do zbiorów jest bezpłatny, istnieje także możliwość pobrania ich w formacie PDF.

Osoby zainteresowane wydawnictwem prosimy o kontakt z redakcją: tel. **728 252 793** lub e-mail: igor_mode@wp.pl

Mariusz Olbromski***Wyznanie ze Lwowa***

Starsi ludzie – to ani za próg,
już powierzyli domy modlitwie.
To są ich worki w oknach i piach,
To schrony ich i działobitnie.

Bo gdzie jeszcze jest taki gród,
takie ulice, place, przestrzenie?
Wysoki Zamek i widok stamtąd,
jakiego nie ma nigdzie na świecie.

Bo gdzie jeszcze takie świątynie
żarliwym geniuszem zdobione?
Gdzie tacy *syrdeczni* znajomi
Gdzie taki teatr jak teatrów król
zaprasza skinieniem laurowym.

I tyle w muzeach arcydzieł
i tyle rzeźb na fasadach co dzień,
a nocą, gdy zbłądzić w starówce,
taka na wieży ratusza zegara
drżąco-srebrzysta wypowiedź.

I jak to wszystko zabrać do torby
spakować życie i ot tak iść sobie,
gdy serce bałaka, bałaka *ciągli*...
że nigdzie indziej i koniec...

16 kwietnia 2022 r.

Wiersz pochodzi z najnowszego tomu Mariusza
Olbromskiego *Przeziębienie, rozkwitną róże*

Franciszek Haber***Odlamek pamięci***

Odziany w inne miasto
pod grzywą obłoków
z czasem na bakier
cyganki bałakiem
egzemplarz okazały

uganiały się za nim
liryczne kielichy Atlasa
kochały muzy z Parnasu
uwielbiały gazety

w zadumanej
melancholii świtu
rozmawiał z wersami
wciąż niesyty słów
ocalających pamięć
zwany Nemo*
wygnaniec
z lwowskiej
inwokacji.

Wiersz pochodzi z najnowszego tomu Franciszka
Habera *Zwierszenia*

* Nemo – pseudonim literacki barda Lwowa
Henryka Zbierzchowskiego (1881–1942)

Michał Piekarski

Lwowska Filharmonia: odśnięcie tablicy oraz koncert poświęcony polskim kompozytorom

We Lwowie odbyły się uroczyste obchody Święta Konstytucji 3 Maja zorganizowane przez Konsulat Generalny Rzeczypospolitej Polskiej. 7 maja 2024 r. w Lwowskiej Filharmonii Narodowej im. Myroslawa Skoryka miało miejsce odśnięcie pamiątkowej tablicy poświęconej Mieczysławowi i Adamowi Sołtysom (ufundowanej przez Konsulat Generalny RP) oraz koncert złożony z ich utworów.

Przejęcia wstęgi dokonali: konsul generalna Eliza Dzwonkiewicz, dyrektor Lwowskiej Filharmonii Wołodmyr Sywochup oraz Maria Ewa Sołtys – zamieszkała we Lwowie córka Adama i wnuczka Mieczysława Sołtysa. Poświęcenia tablicy dokonał bp Leon Mały, reprezentujący Archidiecezję Lwowską obrządku łacińskiego (do której należeli obaj Sołtysowie).

Maria Sołtys podkreśliła, że jest to moment wyjątkowy, zwłaszcza że rozmowy na temat tablicy poświęconej jej przodkom prowadzone były od 20 lat. Poza podobiznami Mieczysława i Adama Sołtysów na tablicy widnieje napis po polsku i ukraińsku:

„W tym gmachu w latach 1906–1968 działalność prowadzili dyrygenci, realizatorzy najwybitniejszych dzieł muzyki światowej i rodzimej, pedagogzy i wychowawcy kilku pokoleń muzyków, kompozytorzy, krytycy muzyczni, animatorzy lwowskiego życia muzycznego: Mieczysław Sołtys – dyrektor Galicyjskiego (od 1919 r. Polskiego) Towarzystwa Muzycznego i Konserwatorium w latach 1899–1929 i Adam Sołtys – dyrektor Polskiego Towarzystwa Muzycznego i Konserwatorium 1929–1939”.

Co istotne, udało się doprowadzić do tego, że napisy w obydwu językach utrwalone zostały literami tej samej wielkości (co we Lwowie na współczesnych tablicach nie należy do reguły) oraz – zgodnie z prawdą – widnieje oryginalna nazwa instytucji: Polskie Towarzystwo Muzyczne.



Odsłonięcie tablicy w Filharmonii Lwowskiej, od lewej: Maria Sołtys, konsul Eliza Dzwonkiewicz, dyrektor Wołodmyr Sywochup, fot. ze strony Konsulatu Generalnego RP we Lwowie

Obecny gmach Filharmonii Lwowskiej to historyczny budynek Polskiego (do 1918 r. Galicyjskiego) Towarzystwa Muzycznego, który powstał w latach 1906–1910 za dyrekcji i dzięki staraniom Mieczysława Sołtysa (ur. 1863 we Lwowie, zm. 1929 we Lwowie), jednego z głównych przedstawicieli życia muzycznego Lwowa pierwszej ćwierci XX w. Gmach ten zaprojektował Władysław Sadłowski w stylu secesyjnym z elementami stylu zakopiańskiego (w wystroju sali koncertowej), przez co stanowi on doskonały przykład polskiej secesji.

Mieczysław Sołtys skomponował m.in. oratorium *Śluby Jana Kazimierza* (1895) i operę *Panie Kochanku* (1924). Do jego uczniów należeli m.in. Tadeusz Szeligowski, Tadeusz Zygfryd Kassern, ks. Hieronim Feicht oraz związani z Krakowem: Bolesław Wallek-Walewski i Zdzisław Jachimecki.

Adam Sołtys (ur. 1890 we Lwowie, zm. 1968 we Lwowie) był autorem m.in. *Sonaty fis-moll* na skrzypce i fortepian (1925) i *II Symfonii* (1946). W gronie uczniów Adama Sołtysa znaleźli się m.in. Józef Chomiński, Jerzy Kołaczkowski, Stanisław Skrowaczewski, a po 1946 r. m.in. Andrzej Nikodemowicz, Myroslaw Skoryk i Jurij Łuciw.

Musica Leopoldis

Podczas koncertu 7 maja zabrzmiały utwory fortepianowe, kameralne oraz pieśni Mieczysława i Adama Sołtysów w wykonaniu: Oksany Rapity (fortepian), Myroslawa Dragana (fortepian), Iryny Kluczkowskiej (sopran) i Mykoły Hawiuka (skrzypce).

Spośród utworów Mieczysława Sołtysa zabrzmiało jedynie *Intermezzo* z opery *Opowieść kresowa* w wersji na fortepian. Do solowych utworów fortepianowych należał również *Temat z wariacjami* op. 4 Adama Sołtysa, który został brawurowo wykonany przez Oksanę Rapitę, wzbudzając powszechne uznanie. Spośród przedwojennej twórczości Adama Sołtysa publiczność mogła zapoznać się również z trzema pieśniami do wierszy poetów polskich: Marii Konopnickiej (*Noc majowa*), Kazimierza Wierzyńskiego (*Ziemia obiecana*) i Leopolda Staffa (*Przyjście*). Wykonane zostały także trzy powojenne utwory Adama Sołtysa na skrzypce i fortepian, wszystkie z wyraźnym nawiązaniem do muzyki polskiej: *Na połoni-*

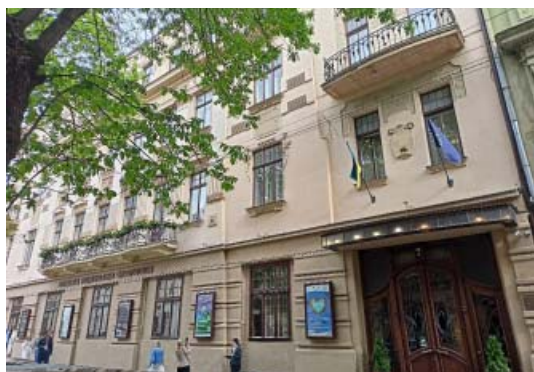
nie i Taniec (z cytatem melodii *W murowanej piwnicy*) z *Suity na tematy polskie* z 1953 r. oraz *Kujawiak* z 1962 r.

Miałem wielką przyjemność prowadzić ten koncert, podczas którego wyraźnie zaznaczyłem, że Adam Sołtys, decydując się pozostać w swoim rodzinnym mieście po 1945 r., musiał przyjąć obywatelstwo sowieckie, jednak pozostawał wyłącznie kompozytorem polskim, co zresztą sam niejednokrotnie podkreślał. Przypomniałem też, że ukraiński kompozytor Myroslaw Skoryk (którego imię nosi obecnie Lwowska Filharmonia) ukończył klasę kompozycji prowadzoną przez Adama Sołtysa.

Do grona licznie przybyłej publiczności należeli także przedstawiciele życia muzycznego, m.in. Małgorzata Nikodemowicz (córka Andrzeja Nikodemowicza, ucznia i przyjaciela Adama Sołtysa), Jurij Łuciw (dyrygent, uczeń Adama Sołtysa), a także polscy muzycy i muzykolodzy urodzeni i zamieszkali we Lwowie – Joanna Pacan-Świetlicka, Wiktoria Zielińska-Kuc i Edward Kuc.

Podczas uroczystości wręczyłem Marii Sołtys oraz Wołodymyrowi Sywochopowi 4 tom z serii „Muzyka polska za granicą” *Wśród Słowian* (m.in. z artykułem na temat polskich muzyków we Lwowie po 1945 r.), który właśnie ukazał się nakładem Instytutu Sztuki PAN.

Lwowska Filharmonia, fot. autor



Od lewej: Mykoła Hawiuk, Myroslaw Dragan, Oksana Rapita, Iryna Kluczkowska, fot. ze strony Konsulatu Generalnego RP we Lwowie

Tadeusz Chlipalski

WOLNOŚĆ KRZYŻAMI SIĘ MIERZY

*Dziennik
podróży patriotycznej*



Zmierzaaliśmy na Monte Cassino, by w 80. rocznicę sławetnej bitwy oddać hołd polskim żołnierzom 2. Korpusu, którzy na zawsze już tam, na włoskiej ziemi, zostali... Po latach dołączył do nich gen. Władysław Anders, ich dowódca. Poruszaliśmy się w przeciwnym kierunku niż polscy żołnierze wiosną 1944 roku. Oni szli z południa na północ, my jechaliśmy z północy w dół włoskiego buta. W wyjeździe wzięli udział uczniowie wyróżnieni w konkursie „Kresy – polskie ziemie wschodnie w XX wieku” w 2023 i 2024 roku organizowanym przez Instytut Pamięci Narodowej Oddział w Krakowie, do których mam szczęście należeć. Towarzyszyli nam opiekunowie, nauczyciele historii oraz pracownicy IPN, a także ks. Robert Bieleń, kapelan wycieczki. Po drodze zwiedzaliśmy miejsca, gdzie walczyli żołnierze polscy wyzwalający Włochy. Odwiedziliśmy cmentarze, miejsca pamięci, składając kwiaty i oddając hołd tym, którzy „oddali Bogu – ducha, ziemi włoskiej ciało, a serca Polsce” – jak głosi napis na obelisku wzniesionym na wzgórzu 593, sąsiadującym z Monte Cassino. Czytelnikom kwartalnika „Cracovia Leopoldis” nie trzeba przypominać,

że ok. 60 proc. tych żołnierzy pochodziło z Kresów Wschodnich przedwojennej Polski.

DZIEŃ PIERWSZY – 14 MAJA

Zaraz po północy ruszyliśmy z Krakowa do Włoch. Pierwszy etap naszej podróży trwał ok. 16 godzin. W tym czasie nie tylko spaliśmy, ale też słuchaliśmy wykładów pracowników IPN. Wykłady były codziennym elementem wyprawy. W pierwszym dniu naszej podróży dr Maciej Korcuć przybliżył nam w wielkim skrócie historię Włoch, a także zarysował kontekst polityczny, jaki doprowadził do powstania 2. Korpusu. Późnym popołudniem dotarliśmy w okolice Wenecji, do miejscowości Sottomarina, gdzie czekał na nas zarezerwowany hotel.

DZIEŃ DRUGI – 15 MAJA

Wczesnym rankiem wyruszyliśmy do Bolonii, która w kwietniu 1945 roku została wyzwolona przez 2. Korpus. Po drodze dr Dariusz Gorajczyk opowiedział nam o tym, jak Niemcy zorganizowali obronę Półwyspu Apenińskiego przed nacierającymi aliantami, i o operacji, która doprowadziła do wyzwolenia Bolonii, a także zaznajomił nas

Uczestnicy wyjazdu edukacyjnego
na wzgórzu 593 Monte Cassino



ze strukturą organizacyjną 2. Korpusu, wyjaśniając m.in., czym różni się pluton od dywizji, a korpus od pułku.

Cmentarz polski w Bolonii jest największą nekropolią spośród czterech polskich cmentarzy wojskowych na ziemi włoskiej (pozostałe to Loreto, Monte Cassino i Cassamassima). Spoczywa tu ok. 1400 żołnierzy. Na cmentarzu uczestniczyliśmy we mszy świętej odprawionej przez naszego kapelana, a potem oddaliśmy hołd poległym. Nasi przedstawiciele złożyli znicze i kwiaty w asyście pocztów sztandarowych z Prywatnego Liceum Ogólnokształcącego dla Młodzieży z Nowego Targu oraz Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Zawodowych im. Ignacego Jana Paderewskiego w Ciężkowicach. Następnie panowie z IPN-u rozdali nam kartki z planem cmentarza i lokalizacją grobów czwórki polskich żołnierzy, których mieliśmy za zadanie odnaleźć. Byli to: Henryk Gromulski, Józef Pławski, Zbigniew Kiedacz – pochodzący z Drohobycza i Tadeusz Ajdukiewicz – lwowianin. W Bolonii

zwiedziliśmy m.in. bazylikę św. Petroniusza i dawną siedzibę najstarszego europejskiego uniwersytetu założonego w 1088 roku. W nieodległej Imoli, miasteczku, które również zostało wyzwolone przez 2. Korpus, złożyliśmy kwiaty pod pomnikiem gen. Władysława Andersa. Znajduje się tam także pomnik Misia Wojtka, adoptowanego przez żołnierzy legendarnego niedźwiedzia, który

przeszedł z 2. Korpusem cały szlak bojowy. Noc spędziliśmy w letniskowej miejscowości Cattolica, położonej nad Morzem Adriatyckim. Ale zanim dotarliśmy do hotelu, mieliśmy okazję sprawdzić, co zapamiętaliśmy z informacji przekazanych tego dnia, uczestnicząc w konkursie.

DZIEŃ TRZECI – 16 MAJA

Rankiem ruszyliśmy do Ancony, którą Polacy zdobyli w lipcu 1944 roku. Po drodze Piotr Milczanowski przybliżył nam szczegóły tej największej samodzielnej operacji przeprowadzonej przez 2. Korpus. Do miasta wchodziliśmy bramą św. Stefana, przez którą wkroczyli polscy żołnierze, wyzwalając Anconę. Po wojnie ta ulica nazwana została Via Reggimento Polacco Lancieri Dei Carpazi. Po latach wróciła do dawnej nazwy Via S. Stefano, niewielki skwer nieopodal bramy św. Stefana nazwano Largo Il Corpo d'Armata Polacco. W bramie znajduje się pamiątkowa tablica poświęcona polskim żołnierzom – tylko w języku włoskim...

Z Ancony udaliśmy się do Loreto. Miasteczko znane jest przede wszystkim z sanktuarium Santa Casa, wewnątrz którego znajduje się przeniesiony w średniowieczu Święty Domek. Miał on być nazaretańskim domkiem Matki Boskiej. Warto przypomnieć, że w czasie wyzwania miasta polscy żołnierze, nie zważając na ostrzał wroga, rzucili się do ra-



Przedstawiciele IPN składają wieńce na grobie gen. Andersa i jego żony Ireny



Pomnik gen Andersa w Imoli

towania bezcennego zabytku, gdy na kopułę sanktuarium spadła niemiecka bomba. Na pamiątkę tego wydarzenia w sanktuarium znajduje się polska kaplica. Znajdujący się w niej witraż przypomina o tym wydarzeniu. Na ścianach widnieją dwa freski namalowane przez Arturo Gattiego obrazujące dwie ważne batalie Polaków, które miały kapitalne znaczenie dla dziejów Europy: odsiecz Wiednia z 1683 roku i bitwę warszawską z 1920 roku.

Nieco poniżej loretańskiego sanktuarium znajduje się polski cmentarz wojskowy, na którym spoczywają żołnierze polegli w bitwie o Loreto i Ankonę. Wśród nich jest Adolf Bocheński, który zginął pod Anconą, rozbrajając minę. Był publicystą i pisarzem politycznym. Jego brat, ojciec Innocenty Bocheński – dominikanin, kapelan w Armii Andersa, był wybitnym logikiem, który po wojnie został

profesorem uniwersytetu we Fryburgu.

W drodze do Fiuggi niedaleko Rzymu, gdzie zatrzymaliśmy się na dwie noce, wysłuchaliśmy wykładu dra Pawła Należniaka, który opowiadał o wcześniejszych losach żołnierzy 2. Korpusu, o gehennie, jaką przeszła większość z nich w Związku Sowieckim, zanim trafili do Wojska Polskiego tworzonego przez gen. Andersa.

DZIEŃ CZWARTY – 17 MAJA

Wczesnym rankiem w podniosłych nastrojach wyruszyliśmy w kierunku najważniejszego celu naszej podróży – Monte Cassino. Był 17 maja, czyli dzień przed 80. rocznicą zdobycia klasztoru. Następnego dnia miały się tu odbyć państwowe uroczystości z udziałem prezydentów Polski i Włoch. Po drodze wysłuchaliśmy interesującego wykładu dr. Wojciecha Frazika o tej największej i najbardziej znanej bitwie stoczonej przez 2. Korpus. Po pokonaniu widowiskowych serpentyn prowadzących na wzgórze, na którym znajduje się klasztor Bernardynów, przeszliśmy prosto na polski cmentarz wojskowy, gdzie uczestniczyliśmy we mszy świętej. Oddaliśmy hold polskim żołnierzom poległym w bitwie oraz gen. Władysławowi Andersowi (zm. w 1970 r.) oraz jego żonie Irenie (zm. w 2010 r.), którzy są tam

pochowani. Na cmentarzu spotkaliśmy wiele drużyn polskich harcerzy, którzy przyłączyli się do nas w czasie śpiewania hymnu narodowego i pieśni *Czerwone maki na Monte Cassino*. Po uroczystości ruszyliśmy szlakiem kluczowych miejsc walki: Wzgórze 593, Gardziel, Domek Doktora i Albaneta. Na każdym kroku przypominały mi się dramatyczne opisy walk z reporterskiej książki Melchiora Wańkowicza *Bitwa o Monte Cassino*. Tymi ścieżkami wraz z żołnierzami podążał też legendarny kapelan spod Monte Cassino – o. gen. Adam Studziński, dominikanin



Autor artykułu na cmentarzu na Monte Cassino

Polski cmentarz wojskowy w Loreto



krakowski, którego imieniem nazwano krakowski plac obok kościoła św. Idziego. Wszędzie spotykaliśmy Polaków, przede wszystkim harcerzy, tak że mieliśmy wrażenie, że rzeczywiście „ta ziemia do Polski należy”. Możliwość obejrzenia terenu, na którym rozegrała się bitwa, i objaśnienia dr. Frazika pozwoliły nam lepiej zrozumieć jej przebieg i trudności, z jakimi zmagali się żołnierze polscy. Po spacerze zwiedziliśmy opactwo założone przez św. Benedykta z Nursji w VI wieku. Niestety nie udało się nam tego dnia dotrzeć do Piedimonte San Germano, kolejnego miejsca oporu Niemców, które zdobyli Polacy w tydzień po Monte Cassino.

Bolonia – cmentarz żołnierzy 2. Korpusu



DZIEŃ PIĄTY – 18 MAJA

Jedziemy do Rzymu! Pobudka o 4:45. Najpierw jednak Watykan. Msza święta odbyła się w Kaplicy Węgierskiej w Grotach Watykańskich. Niestety nie udało się nam zobaczyć grobu św. Jana Pawła II, który zasłonięty był kotarą, co było związane z uroczystościami 104. rocznicy Jego urodzin przypadającymi właśnie w tym dniu (18 maja). Następnie wędrówka po strasznie zatłoczonym Rzymie zakończona przy Koloseum. W tym samym czasie dr Paweł Naleźniak pojechał na cmentarz Campo Verano złożyć kwiaty na grobie profesor Karoliny Lanckorońskiej, wybitnej Polki zasłużonej dla nauki i kultury polskiej, żołnierza Armii Krajowej, następnie 2. Korpusu, działaczki emigracyjnej. Po niezwykle męczącym dniu pojechalśmy na nocleg do Chinchiano Terme.

DZIEŃ SZÓSTY – 19 MAJA

Tego dnia nieodwołalnie rozpoczęliśmy powrót do Polski. Jednak czekała nas jeszcze jedna, nie byle jaka, atrakcja: Asyż. Najpierw zatrzymaliśmy się pod bazyliką Matki Boskiej Anielskiej, wewnątrz której znajduje się Porcjunkula. Jest to mała kaplica, którą własnoręcznie odbudował św. Franciszek. Następnie uczestniczyliśmy we mszy świętej w kaplicy w klasztorze Franciszkanów przy bazylice św. Franciszka, a potem zwiedziliśmy miasto, zobaczyliśmy m.in. grób św. Klary i San Damiano, pierwszy klasztor Klarysek. Na noc zatrzymaliśmy się w Lido de Jesolo nieopodal Wenecji.

DZIEŃ SIÓDMY – 20 MAJA

Cały ostatni dzień spędziliśmy w autobusie, słuchając wykładów. Dr Frazik opowiedział nam o powojennych losach żołnierzy 2. Korpusu, a także przywołał niezwykłą historię kobiety szpiega – Felicji Władysławy Wolff. Dr Korkuć opowiadał nam o sytuacji międzynarodowej po zakończeniu II wojny, a pan Łukasz Płatek przybliżył nam zagadnienia związane z transportem lotniczym w czasie II wojny światowej. Dr Naleźniak zabierał głos dwukrotnie. Najpierw odczytał nam fragmenty wspomnień p. Bolesława Skoczni, żołnie-

rza 2. Korpusu, a przy okazji ojca jednego z uczestników naszej wyprawy. Następnie, jako przedstawiciel pokolenia Jana Pawła II, przekazał nam swoje refleksje nt. wpływu, jaki miał Papież Polak na jego rówieśników i na niego samego. Obejrzelśmy także dwa filmy – o Karolinie Lanckorońskiej i o Armii Andersa. Do Krakowa, niezwykle zmęczeni ale szczęśliwi i dumni, przybyliśmy koło 10 wieczorem.

POST SCRIPTUM

Wyjazd edukacyjny śladami 2. Korpusu nie tylko poszerzył moją wiedzę historyczną o II wojnie światowej i kampanii włoskiej, ale także był dla mnie wielkim przeżyciem. Uświadomił mi okrucieństwa wojny i bohaterstwo, jakim wykazali się polscy żołnierze walczący o wyzwolenie „ziemi włoskiej” i – pośrednio – ich Ojczyzny, Polski, która jednak musiała na tę wolność poczekać jeszcze niemal pół wieku. Gdy śpiewaliśmy pieśń *Czerwone maki* na cmentarzu na Monte Cassino, specjalnie utkwiły mi w pamięci słowa: „wolność krzyżami się mierzy”. Stojąc, patrzyłem na krzyże, którymi mierzy się nasza obecna wolność, i miałem szansę uświadomić sobie, jak bardzo powinna być ona dla nas cenna. Jestem bardzo wdzięczny IPN-owi za stworzenie mi okazji do takich przemyśleń, które bez tej podróży nie miałyby miejsca.

TADEUSZ CHLIPALSKI, uczeń XX LO im. Leopolda Staffa w Krakowie. Laureat III miejsca tegorocznej edycji konkursu „Kresy – polskie ziemie wschodnie w XX wieku” organizowanego przez IPN. Wnuk Andrzeja Chlipalskiego – założyciela i wieloletniego redaktora naczelnego kwartalnika „Cracovia Leopoldis”.



Fotografie: Karol Chlipalski

Bolonia – cmentarz żołnierzy 2. Korpusu

Piotr Świątecki

Lotniska Kresów

Ludzie od dawna zazdrościli ptakom. Dowodem tej tęsknoty był mit o Ikarze. W końcu XVIII w. we Francji bracia Montgolfier wysłali w przestrzeń najpierw zwierzęta, potem ludzi balonami na ogrzane powietrze, potem – wypełnionymi wodorem; wpięrow na uwięzi, później – balony wolne. Tak narodziły się aerostaty – statki powietrzne lżejsze od powietrza.

Wkrótce dotarli i do Polski. Już 10 maja 1789 roku krótko po godzinie 13 w obecności króla Stanisława Augusta Poniatowskiego Francuz Jean-Pierre François Blanchard wystartował balonem z ogrodu Foksal w Warszawie, by po 45 minutach 7 kilometrów dalej wylądować w podwarszawskiej – wówczas – Białolece. Blanchard wzniósł się na 2 km nad ziemią; był to pierwszy lot balonem w Polsce, ale już trzydziesty czwarty udany balonowy lot Blancharda.

Rozwój lotnictwa – wojskowego, komunikacyjnego, sportowego i gospodarczego – wiąże się jednak przede wszystkim z aerodynamami – statkami powietrznymi cięższymi od powietrza, takimi jak przede wszystkim samoloty i śmigłowce, przy czym samoloty zdominowały lotnictwo komunikacyjne, a śmigłowce – niektóre rodzaje usług (jak np. ratownictwo medyczne Lotniczego Pogotowia Ratunkowego w Polsce).

Za pionierów lotnictwa samolotowego uważa się braci Orville'a i Wilbura Wrightów. 17 grudnia 1903 r. na wzgórzach Kill Devil w Karolinie Północnej odbył się pierwszy lot zbudowanego przez nich samolotu.

I tu również Polacy nie pozostawali daleko w tyle; pierwszy polski pilot samolotu inżynier Michał Scipio del Campo (zm. w 1984 r.) już w 1910 r. zdobył w aeroklubie francuskim licencję pilota nr 210. Scipio del Campo był też pierwszym Polakiem, który samolotem kilkanaście minut krążył nad Warszawą 13 sierpnia 1911 r. Za życia Michała Scipio del Campo, pierwszego polskiego licencjo-

nowanego pilota samolotowego maszyny te zwiększyły swoją prędkość podróżną ok. sześć razy (ze 150 do 850 km/h).

I wojna światowa wpłynęła na szybki rozwój lotnictwa. Po jej zakończeniu rozwój bojowej techniki lotniczej pozwolił na komercyjne, cywilne zastosowania. Nie licząc wcześniejszych prób przewozu poczty czy prasy, pierwszą pasażerską, komercyjną, cywilną linią lotniczą na terenie Polski było połączenie Warszawy z Pragą czeską, od 1921 roku obsługiwane przez francuskie linie lotnicze CIDNA. Z Pragi można było lecieć dalej – do Paryża.

Rok później – w 1922 r. – polski przewoźnik Aerolloyd (późniejsza nazwa – Aerolot) rozpoczął przewozy na krajowej linii z Gdańska przez Warszawę do Lwowa. Wówczas miasto to było centrum przemysłu naftowego. Przewoźnika Aerolloyd założyli też przedsiębiorcy związani z wydobywaniem ropy naftowej w tym regionie. Połączenie było obsługiwane czteroosobowymi junkersami.

W 1925 r. samorząd poznański powołał kolejną lotniczą firmę – Aero, obsługującą linię Warszawa–Poznań. Po kilku latach pionierskich wysiłków kapitału prywatnego i samorządowego do gry włączyło się państwo. 14 marca 1928 r. prezydent rozporządzeniem z mocą ustawy ustanowił pierwsze polskie prawo lotnicze, stanowiące narzędzie inkorporacji do prawa polskiego regulacji Konwencji Paryskiej zarządzającej żeglugę powietrzną.

W 1929 r. powołano PLL LOT sp. z o.o., która przejęła mienie prywatnych przewoźników Aerolotu i Aera. Kontrolowany i wspierany przez budżet państwa LOT połączył Warszawę z Gdańskiem, Poznaniem, Lworem, Katowicami i dalej – Brnem i Wiedniem, później z Wilnem, Rygą, Tallinem, Helsinkami, Bukaresztem, Sofią, Salonikami, Atenami, Rodos i Lyddą w Palestynie. Władze II Rzeczypospolitej traktowały jako oczywiste i naturalne, że państwowy przewoźnik lotniczy wymaga stałego wsparcia środkami publicznymi. Mimo to korzystanie z podróży lotniczych było dostępne jedynie osobom zamożnym. Bilety były drogie – w kraju od 35 zł na lot do Bydgoszczy do 50 zł do Wilna. Za granicę jeszcze drożej – od 90 zł do Rygi do 150 zł – do Bukaresztu. 150 zł to wówczas wysokość zasadniczego uposażenia miesięcznego posterunkowego

Policji Państwowej lub plutonowego w wojsku polskim.

Zajrzyjmy do letniego rozkładu lotów PLL LOT – od 1 maja do 31 sierpnia 1933 r. i informacji o podróżach z warszawskiego lotniska Pole Mokotowskie.

6:50 odlatywał samolot do Krakowa (Czyżyny), później – 7:10 – do Wilna, o godzinie 10:30 – do Lwowa, o 15:30 lot do Gdańska-Wrzeszcza, o 16:00 codziennie odlatuje samolot do Poznania (Ławica – nadal czynna!). 16:30 – lot Warszawa – Katowice Muchowiec. Tylko trzy dni w tygodniu można skorzystać z lotu do Bydgoszczy (start o 15:45).

GUS w roczniku 1939 pokazał dynamikę przewozów PLL LOT. Liczba pasażerów rocznie wzrastała szybko: 1922 r. – tysiąc osób, 1933 r. – 14 tysięcy, 1938 r. – 35 tysięcy. W 1939 w służbie PLL LOT było 14 samolotów komunikacyjnych.

Porównajmy – w 2019 roku – przed pandemią – z lotniska Okęcie w Warszawie skorzystało prawie 19 milionów pasażerów. Również parametry samolotów wykorzystywanych w komunikacji w tamtych czasach i współcześnie uzmysławiają skalę postępu. Początkowo wykorzystywane przez PLL LOT niemieckie Fokkery czy produkowane w Białej Podlaskiej PWS poruszały się z prędkością ok. 150 km na godzinę na wysokości ok. 1000 m, co pozwalało pasażerom na otwieranie okien w podróży. Wprowadzony do PLL LOT Lockheed L-14 Super Electra rozpędzał się aż do 400 km/h i wznosił na ponad 7 km nad ziemię. Tu już nie było mowy o otwieraniu okien, przy tych prędkościach i wysokościach kabiny musiały być hermetyczne.

Współcześnie, od 10 lat LOT użytkuje Boeingi 787 – Dreamlinery korzystające z dróg lotniczych na wysokości od ok. 10 kilometrów (10 razy wyżej niż w 1933 r.), poruszające się z prędkością do 950 km/h (sześciokrotnie szybciej niż w 1933 r.) i zabierające – w maksymalnej konfiguracji – do 330 pasażerów (pięćdziesiąt pięć razy więcej). A odwiedzający niekiedy Warszawę Jumbo Jet (Boeing 747) może ich zabrać nawet 660...

Sam lot nie jest najtrudniejszy. Nie nadmiernie trudny jest start. Najwięcej ryzyka wiąże się z lądowaniem. O bezpieczeństwie lotnictwa decyduje więc stan i wyposażenie lotnisk. Ówczesne samoloty nie wymagały nawierzchni sztucznych (betonowych, asfaltowych; te pojawiły się dopiero w czasie II wojny światowej). Wymagały jednak równego pola wzlotów o dostatecznej wytrzymałości. Najlepiej temu wymaganiu odpowiadałaby dobrze zadarniona, zdrenowana nawierzchnia trawiasta, nie zawsze jednak – jak wynika z przestawionych niżej informacji – to się udawało.

Wymiary pól wzlotów umożliwiały w miarę bezpieczne lądowanie w kierunkach zgodnych z przeważającymi wiatrami (samolot ląduje w miarę możliwości pod wiatr) i odpowiedni dobieg (wytracenie prędkości w trakcie toczenia się po polu wzlotów po wylądowaniu). W nawigacji wykorzystywano zarówno łączność radiową, jak i goniometrię (wyznaczanie pozycji w przestrzeni z wykorzystaniem fal radiowych), świetlne pomoce nawigacyjne (latarnie lotniskowe, przeszkodowe, silne latarnie transowe na drodze lotniczej Warszawa–Poznań) oraz pomoce wzrokowe dzienne – znaki krańdźwi pól wzlotów, tzw. rękawy wiatrowe, oznakowanie przeszkód na podejściach do lotnisk i na trasach.

Przejdźmy do szczegółów wybranych obiektów. I tak warszawskie lotnisko Mokotów miało nawierzchnię gliniastą krytą darnią; w informatorach ostrzegano pilotów przed kretowiskami. Nieregularny wielobok mokotowskiego pola wzlotów rozciągał się na długości: NW–SE 470 m, E–W – 1200 m.



Otwarcie linii lotniczej Warszawa–Wilno–Ryga–Tallin

Warszawskie Okęcie, przejmujące powoli ruch z Mokotowa, to gliniasta nawierzchnia drenowana prostokątna 1470 na 1270 m. Oba lotniska warszawskie były własnością państwową, oba miały już dość rozwiniętą infrastrukturę: hangary, magazyny materiałów pędnych, restauracje, stacje meteo, oświetlenie nocne, posterunki policji etc.

Port lotniczy Bydgoszcz (własność gminy miejskiej) to nawierzchnia piaszczysta słabo porośnięta trawą, rozmiary pola wlotów 900 m na 800 m. Lotnisko współużytkowane przez wojsko. Państwowe lotnisko Kraków Czyżyny to gliniasto-piaszczyste pole wlotów 1000 na 500 m. Państwowy port Poznań-Ławica dysponował piaszczystym polem wlotów 1300 na 800 m.

A na Kresach... Państwowy Port Lotniczy Lwów-Skniłów (nb. nadal w tym miejscu jest lotnisko) to wyznaczone w terenie koło o średnicy ok. 1000 m. Na lotnisku były wybudowane hangary i magazyn paliw, pracował lekarz, był bufet, posterunek meteo i policji państwowej. Co godzinę z przystanku przy szosie gródeckiej, ok. 1,2 km od lotniska, odchodził autobus do Lwowa. W nocy pracowała latarnia błyskowa. Podobnie bogato wyposażony był komunikacyjny port lotniczy Wilno-Porubanek, należący do samorządu miejskiego. Pole wlotów prostokątne o wymiarach 700 na 800 m, hangary i paliwa, kwatery, restauracja, dojazd do miasta autobusem PLL LOT lub koleją ze stacji odległej o 800 m.

Dotąd była mowa o lotniskach wykorzystywanych w komunikacji lotniczej, tj. do regularnych, stałych, odpłatnych przewozów lotniczych osób. Na Kresach ulokowano również lotniska dostępne dla wszystkich użytkowników samolotów, tj. również użytku publicznego, ale wykorzystane w innych celach: sportowych, gospodarczych i oczywiście także – wojskowych i bezpieczeństwa. Ponieważ nie było tam regularnych komercyjnych lądowań, standardy obsługi były niższe.

Wymieńmy je według alfabety. Państwowe, dzierżawione przez LOPP (Ligę Ochrony Powietrznej i Przeciwigazowej) lotnisko Baranowicze koło miasta Baranowicze w województwie nowogródzkim (dziś na Białorusi również ważny ośrodek lotniczy) było nieregularnym prawie-prostokątem o wymiarach 370 na 650 m. Na tym lotnisku ani hangaru, ani materiałów pędnych nie było. Przewidywano

rozbudowę obiektu w 1940 roku, na co nie pozwoliła wojna. W odległości około 1000 m od lotniska była możliwość zakwaterowania i żywienia w restauracji. Komunikację z miastem zapewniały dorożki i autobusy.

W województwie tarnopolskim w powiecie brodnickim ulokowane było lotnisko Brody należące do LOPP. Wymiary prostokąta pola wlotów to 413 na 625 m. Materiały pędne były dostępne w mieście, na lotnisku hangaru nie było, obsługi również, załogi mogły korzystać z kwater, żywienia i pomocy lekarskiej w mieście.

W Brześciu nad Bugiem w województwie poleskim było prywatne lotnisko. Pole wlotów niewyrównane, o wymiarach 500×950 m. Na lotnisku nie było ani hangaru, ani magazynu materiałów pędnych. Załogi mogły korzystać z kwater i pomocy lekarskiej oraz żywienia w mieście. Nie było też stałej komunikacji z miastem, ale można było telefonicznie zamówić dorożkę.

W Brzeżanach w województwie tarnopolskim lotnisko o wymiarach 400×1500 m pokryte było czarnoziemem krytym darnią. Lotnisko należało do Ligi Ochrony Powietrznej i Przeciwigazowej i podobnie jak na innych lotniskach sportowych nie było na nim obsługi, hangaru ani magazynu materiałów pędnych.

Na południowy zachód od Grodna Liga OPP miała lotnisko w Karolinie. Wymiary pola wlotów – mniej więcej prostokąt 340×580 m. Pole wlotów pokryte próchnicą na podglebiu żwirowym, co ważne – przepuszczalne, a więc nie należało się obawiać zastoisk wody w razie opadu. Hangaru i obsługi nie było, materiały pędne dostępne w mieście, tam również poczta, restauracja, możliwość skorzystania z pomocy lekarskiej, posterunek policji państwowej – mniej więcej 7 km od lotniska. Najbliższy telefon kilometr od lotniska, najbliższa stacja kolejowa w odległości 5 km w Łosośnie. Komunikację z miastem zapewniały autobusy linii Grodno–Białystok.

Liga prowadziła również lotnisko w Łucku w województwie wołyńskim. Wymiary lotniska 196×630 m. W Łucku był hangar, ale nie było materiałów pędnych. Na samym lotnisku był posterunek meteo, dwa pokoje gościnne dla załóg, ale już restaurację znajdujemy niestety dopiero w mieście. Najbliższy przystanek pozwalający pojechać

do centrum Łucka był w odległości około 500 m od lotniska.

W województwie wileńskim w Mołodeczynie Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej dysponowała lotniskiem o wymiarach mniej więcej 400 × 650 m. Tu również wszystkie ułatwienia dla załóg były ulokowane na terenie samego miasta, w odległości pół kilometra

W województwie nowogródzkim w Słonimie ulokowane było należące do LOPP lotnisko Derewiańczyce. Pole wzlotów to mniej więcej prostokąt 320 × 480 m, w zasadzie żadnych ułatwień na lotnisku, ani do obsługi samolotów, ani dla załóg nie było. Kwatery, pomoc lekarska, telefon posterunek meteorologiczny w samym Słonimie w odległości 7 km od lotniska.

Liga dzierżawiła lotnisko należące do gminy Stanisławów w województwie stanisławowskim. Lotnisko miało twardą nawierzchnię, położone było na planie kwadratu o boku mniej więcej 600 m. Na lotnisku ulokowano hangary, materiały pędne i obsługę mechaniczną, ale pomoc lekarska, restauracja i noclegi już dostępne były tylko w mieście w odległości około 3 km od lotniska.

W tym krótkim przeglądzie trudno nie dostrzec pewnych prawidłowości funkcjonujących również współcześnie. Lepiej wyposażone były lotniska wykorzystywane do przewozu osób (do komunikacji), gorzej – te inne, należące do tzw. lotnictwa ogólnego. Lotniska komunikacyjne należały do państwa lub – ewentualnie – do nieco zamożniejszych samorządów miejskich. Dziś również koszty utrzymania lotniska komunikacyjnego wymagają zaangażowania środków publicznych. Lotnisko samo w sobie dochodu nie przynosi; ono jest katalizatorem rozwoju.

Dlatego państwo polskie w dwudziestolecie międzywojennym, mimo silnej rywalizacji innych potrzeb, dużo inwestowało w utrzymanie flagowego przewoźnika – monopolisty PLL LOT i w rozwój infrastruktury lotniczej, w skład której – prócz samych lotnisk – wchodziły również trasowe urządzenia nawigacyjne, stacje meteorologiczne i środki łączności.

Różnice w wyposażeniu lotnisk komunikacyjnych i sportowo-gospodarczych są również wynikiem oddziaływania standardów międzynarodowych. Prawo lotnicze to taka szczególna dziedzina prawoznawstwa, w któ-

rej regulacje krajowe postępują nie przed, lecz za regulacjami międzynarodowymi. Najpierw powstawały więc konwencje międzynarodowe, a potem dopiero przepisy krajowe. Zamożne kraje zachodniej Europy zmusiły więc wszystkich sygnatariuszy konwencji do wprowadzenia restrykcyjnych warunków odnoszących się do odpowiedzialności, także materialnej, za życie i zdrowie pasażerów. I w tym momencie przymus ekonomiczny zaczął działać (działa zresztą do dziś), zmuszając do wyjątkowo kosztownych wydatków na bezpieczeństwo. A o bezpieczeństwie lotów i w dwudziestolecie międzywojennym, i obecnie decyduje wiele czynników: sprzęt (samoloty), personel (wyszkolenie), wyposażenie lotnisk, systemy nawigacyjne itd.

W monografii *Komunikacja lotnicza* wydanej w 1937 roku pionier polskiego piśmiennictwa technicznego w zakresie lotnictwa doktor Tomasz Kluz przeprowadził analizę stanu gospodarki Polski i zaprojektował sieć połączeń lotniczych, która jego zdaniem powinna powstać na terenie Rzeczypospolitej w ciągu kilku kolejnych lat przebudowy gospodarki kraju z rolniczej na przemysłową. Z analiz doktora Kluz wynika, że największe przewozy lotnicze powinny się nadal koncentrować w głównych ośrodkach środkowej i zachodniej Polski, czyli w Warszawie, Łodzi, Katowicach, Krakowie i Poznaniu. Na wschodzie nieco większych przewozów można byłoby się spodziewać we Lwowie i Wilnie. Mimo to doktor Kluz proponował włączenie do sieci lotnisk komunikacyjnych następujące miejscowości leżące dziś poza granicami wschodnimi Polski: na północy prócz Wilna także Grodno, Baranowicze, Pińsk, Brześć, Kowel, Łuck, Równe, a na południu, prócz Lwowa, także Drohobycz, Stanisławów, Kołomyje, Buczacz, Tarnopol i Krzemieniec. Sieć ta miała jednocześnie i wpływać na rozwój Kresów i silnie wiązać ją z pozostałymi ośrodkami kraju.

Wykorzystane źródła

- Tomasz Kluz, *Komunikacja lotnicza*, Warszawa 1937
20-lecie komunikacji w Polsce odrodzonej 1918–1939, Warszawa 1939
Informator pilota turystycznego, Warszawa 1939
Mały rocznik statystyczny 1939 (GUS, Warszawa)
Przewodnik polskiej komunikacji lotniczej – lato 1933

Marek A. Koprowski

KTO MIECZEM WOJUJE...

Jeśli wierzyć wspomnieniom naczelnika wywiadu Z Cz OUN Stepana Mudryka-Mecznyka, wielokrotnie uprzedzał on Bandere, że grozi mu niebezpieczeństwo. W 1959 roku SB OUN miała otrzymać informację, że zamach na Bandere jest już przygotowany i może zostać dokonany w każdym momencie. Kierownictwo OUN Z Cz doszło do wniosku, że Bandera chociaż na jakiś czas powinien zniknąć z Monachium. Bandera początkowo nie zgadzał się na opuszczenie Monachium. Twierdził, że koledzy przesadzają, że nic mu nie grozi. Gdy w końcu się zgodził, było już za późno. Stepan Mudryk-Mecznyk nie zdążył przygotować kwatery awaryjnej. W swoich wspomnieniach ten banderowiec pisze: „Wiele lat mam przed oczami przebieg posiedzenia Prowidu OUN, na którym osobiście uprzedzałem o grożącym niebezpieczeństwie. Mówiłem ostrzej, niż wymaga tego etykieta, ale na marne. I całe życie, gdy myślałem o Prowidnyku, mimo woli cisnęła mi się do głowy myśl, iż ostrzeżenia były poważne, a nie wydumane, w co Bandera uwierzył dopiero w ostatnich sekundach swojego życia”.

W początkach października 1959 roku Staszyński po raz kolejny pojechał do Monachium, zabierając ze sobą całe wyposażenie kilera. Kilka dni chodził po Monachium, kręcąc się po miejscach, w których Bandera bywał. Zajrzał do cerkwi, gdzie natknął się na swoją ofiarę. Pozwolił się Banderze zobaczyć. Musiała go widzieć także ochrona. Gdy po mieście poruszał się samochód z członkami SB, stale mu towarzyszył. 15 października Bandera ze swojego monachijskiego biura pojechał do domu na obiad. Po drodze wstąpił, pewnie z polecenia żony, do sklepu, by kupić pomidory. Staszyński zobaczył Bandere, gdy przejeżdżał pod kamienicą z ochroną. Podjechał pod zamknięty garaż, otworzył go, wjechał do niego samochodem, zamknął

i przed kamienicą jak zwykle pożegnał się z ochroną. Ta odjechała, gdy tylko otworzył drzwi kamienicy i wszedł do środka. Było to z ich strony działanie wysoce nieprofesjonalne. Bandera powinien zostać odprowadzony pod drzwi mieszkania. Kamienica powinna być strzeżona zarówno od środka, jak i na zewnątrz. Policja niemiecka czy dawni towarzysze z SS powinni zwrócić ochronie SB uwagę, że jej działania mają słabe punkty. Dlaczego tego nie zrobiła, nie wiadomo. Może zależało jej na pozbyciu się Bandery i zrobieniu przy tym dodatkowego interesu. Ciekawe wnioski w tej kwestii wyciągnął ukraiński analityk Igor Kaganeć. Do jego wniosków jeszcze wrócimy, a na razie trzeba przedstawić finał historii. Gdy Bandera zajmował się wprowadzaniem samochodu do garażu, Staszyński otworzył drzwi kamienicy i wszedł do środka. Wjechał windą na 3. piętro i zaczął powoli schodzić. Na drugim piętrze spotkał się z prowidnykiem. Według jego relacji Bandera zdumiał się i zapytał go: „Co wy tu robicie?”, poznał bowiem w nim człowieka, którego widział w cerkwi. W prawej ręce niósł torbę z zakupami, nie zdołał sięgnąć po broń. Staszyński strzelił mu z gazowego pistoletu prosto w twarz. Był on inny od tego, którego Staszyński użył do likwidacji Rebeta. Miał dwie lufy, czyli podwójny ładunek. Nie wiadomo, czy spece z Łubianki uznali, że na takiego gada na wszelki wypadek trzeba podwójnej ilości zabójczej trucizny. Okazało się, że mieli rację. Bandera zmarł w karetce pogotowia w drodze do szpitala. Przed śmiercią zaczął krzyczeć. Sąsiedzi wyszli na korytarz i zobaczyli Bandere leżącego na półpiętrze między 2 a 3 kondygnacją. Na jego twarzy pojawiły się ciemne plamy. Żona Jarosława wezwała karetkę i zawiadomiła Z Cz OUN o nagłym zdarzeniu z mężem, który na jej oczach stracił przytomność. Lekarze początkowo uznali, że pacjent zmarł na paraliż serca. Gdy jednak doktor znalazł pod pachą pacjenta kaburę z pistoletem, uznał, że trzeba wezwać policję. Ta zaś szybko ustaliła, że Stepan Popel to Stepan Bandera, i wykonano szczegółową sekcję w celu ustalenia przyczyny śmierci. W toku badań stwierdzono, że Bandera został otruty cyjankiem potasu. Wtedy Staszyński był już bezpieczny w bazie KGB w Karlshorst. Wrócił do niej, jak czynił to dotąd.

Z Monachium wyjechał pociągiem do Frankfurtu nad Menem, a następnego ranka poleciał samolotem do Berlina. Kierownictwo operacji było przygotowane na to, że niemiecka policja przeprowadzi dochodzenie i ustali prawdziwą przyczynę śmierci Bandery. Używając swoich agentów w zachodnio-niemieckich mediach, podano informację, że za śmiercią Bandery może stać Theodor Oberländer, minister w rządzie Rzeszy. Bandera miał wiedzieć o nim zbyt dużo i mógł być niegodnym świadkiem w jego procesie. Jesienią 1959 roku Theodor Oberländer, ówczesny minister do spraw wypędzonych w rządzie Konrada Adenauera, został oskarżony o współudział w aktach ludobójstwa dokonanych we Lwowie po wkroczeniu do niego armii niemieckiej. Zeznania Bandery mogły mu poważnie zaszkodzić, więc ten polecił go sprzątnąć. Agentura KGB w Niemczech Zachodnich rozpuściła też plotkę, że Bandera mógł popełnić samobójstwo. Nie mógł bowiem pogodzić się z tym, że jego najbliższy współpracownik, przyjaciel i powiernik okazał się zdrajcą, który przeszedł na służbę do KGB. Z opóźnieniem miała do niego dojść informacja, że już w 1958 roku dekretem Prezydium Rady Najwyższej ZSRR z 19 czerwca tego roku Miron Matwijejko za pomoc w likwidacji nacjonalistycznego podziemia na Zachodniej Ukrainie został zwolniony z odpowiedzialności karnej. Dla Bandery sprawa Matwijejki była niewątpliwie kompromitująca. Urząd Śledczy w Monachium od początku był zdania, że Bandera został zamordowany przez KGB. Nie miał jednak żadnych dowodów. O zamieszanu, jakiej kampania dezinformacyjna KGB wywołała w środowisku ukraińskim, najlepiej świadczy list, jaki Borys Łewicki napisał do redaktora paryskiej „Kultury” Jerzego Giedroycia. Proszony przez niego o napisanie artykułu do miesięcznika po śmierci Bandery 9 listopada 1959 roku odpowiedział mu m.in.: „Niestety o Banderze nie mogę napisać w sposób obiektywny żadnego artykułu. Jeśli on został otruty przez bolszewików, to zgodnie z relacją miejscowej «mordkomision» agent Moskwy należał do najbliższego otoczenia Bandery. Ale nie można też innych możliwości wykluczyć (pomsta, konkurencja)”.

W drugim liście z 9 listopada 1959 roku ten należący do najwybitniejszych i najbar-

dziej sumiennych ukraińskich sowietologów napisał: „Z Banderą rzeczywiście dziwna historia. I mnie uderzyło, że w prasie jego obozu nie ma żadnych szczegółów na temat morderstwa, a wszystko jest zasypane kadzidłami”.

9 grudnia 1959 roku Łewycki, odpowiadając, co się dzieje ze sprawą Bandery, powiedział, że: „Jest dziwne milczenie w prasie ukraińskiej, które ogranicza się jedynie do dytyrambów i artykułów o charakterze ogólnym”. Z materiałów źródłowych opublikowanych po raz pierwszy w Monachium w 1965 roku pod redakcją Danyła Czajkowskiego wiadomo, że pogrzeb Bandery był wielką manifestacją banderowców i wszystkich sił politycznych z nimi związanych. Na pogrzeb przyjechało około 2000 gości, głównie Ukraińców, ale także emigracyjnych organizacji antysowieckich, najczęściej w czasie wojny związanych z Niemcami, którzy po wojnie, tak jak banderowcy, kontynuowali swoją działalność, tyle że korzystając ze wsparcia innych mecenasów. Część z nich należała do założonego przez banderowców Antybolszewickiego Bloku Narodów. Przed pogrzebem z oblicza zmarłego zdjęto pośmiertną maskę i złożono ciało do trumny. Ceremonie żałobne rozpoczęły się „20 października o godzinie 9 rano w ukraińskiej cerkwi św. Jana Chrzciciela przy ul. Kirchen 46, ojciec prałat Petro Hołynski odprawił w asyście współsłużących 5 ojców i w obecności Apostolskiego Egzarcha dla Ukraińców-katolików w Niemczech Wielce Świątobliwego biskupa Kyr Płatona Kornyljaka żałobną Służbę Bożą, do której śpiewał chór pod dyrygenturą dra Mykoły Filja. Po Świętej Liturgii Kyr Płaton w asyście wszystkich uczestniczących księży odprawił panachydę za spokój duszy św. pam. St. Bandery. Obydwie Służby Boże filmował Iwan Procyk. [...] Cerkiew była wypełniona wiernymi (500 osób). Wśród nich były delegacje od organizacji członkowskich OUN i społecznych organizacji z terenów Austrii, Niemiec Zachodnich, Francji, Hiszpanii, Belgii, Holandii, Wielkiej Brytanii, Kanady i USA”. Pogrzeb został starannie wyreżyserowany. Miał się rozpocząć o 15.30, ale już od rana duża liczba Ukraińców zbierała się na cmentarzu Waldfriedhof, żeby jeszcze ostatni raz spojrzeć na swojego Prowidnyka. Kondukt miał od kaplicy przechodzić główną aleją, po obu

stronach której rozłożono wieńce z szarfami, które delegacje przywoziły ze sobą, by oddać hołd prowadnikowi. Napisy na nich świadczyły, jak wielkim mitem stała się już postać Stepana Bandery. Można było na nich przeczytać m.in.: „»Natchnieniu młodych pokoleń – Centralny Zarząd SUM-y«, »Niezlomnemu Bohaterowi Walczącemu o Wolność«, »Wielkiemu Prowadnikowi Ukraińskiej Narodowej Rewolucji – Społeczne Organizacje w Belgii« [...] »Bohaterowi walczącemu o wolność Ukrainy, Głowie Prowodu Z Cz OUN – St. Banderze, od Głównego Komendanta. Ukraińskiego Hetmańskiego Ruchu«, »Naszemu ukraińskiemu przyjacielowi – Węgierski Ruch Wyzwoleńczy«, »Współwalczącemu o wyzwolenie ujarzmionych narodów – Słowacki Komitet Wyzwoleńczy« itd.". Nie było tylko wieńca od jakiegokolwiek polskiej organizacji. Żadna polska organizacja emigracyjna nie skompromitowała się współpracą z banderowskim Antybolszewickim Blokiem Narodów. Polacy doskonale zdawali sobie sprawę, kto odpowiada za rzeź wołyńską i analogiczne wydarzenia w Małopolsce Wschodniej. Nie uznawali też Wołynia i Małopolski Wschodniej za ziemie ukraińskie, ale za integralną część Rzeczypospolitej. W sumie wszystkich oficjalnych wieńców od różnych organizacji było 250. Wśród nich przeszedł kondukt żałobny z otwartą trumną niesioną przez sześciu towarzyszy Bandery, za nią szła żona Jarosława wraz trójką dzieci i najtwardsi banderowcy, którzy pomimo najróżniejszych rozłamów do końca byli wierni swojemu przywódcy, weterani OUN: Jarosław Stećko, Mychajło Krawciw, Stepan Łenkawski. W ich imieniu Banderę pożegnał Jarosław Stećko, który w swoim mocno zafalszowanym i zmanipulowanym przemówieniu dokonał heroizacji prowadnika. Pokazał jego postać tak, że aż dziw bierze, iż Kościół greckokatolicki nie rozpoczął od razu jego procesu beatyfikacyjnego (choć, rzecz jasna, może to jeszcze zrobić). Stećko mówił m.in.: „On był silną osobowością, swoim duchem, stał jak skała wśród burzliwego morza, od której odbijały się fale, był schronieniem dla tych, którzy mieli wątpliwości i wahania”.

Fragment rozdziału XII: *Kto mieczem wojuje...*

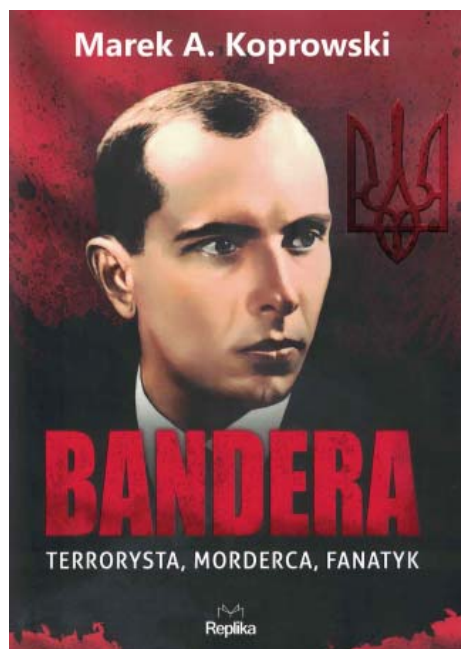
Tomasz Specywał

JAK DO TEGO DOSZŁO?...

Biografia Stepana Bandery budzi szereg uzasadnionych pytań i wątpliwości. Marek A. Koprowski wychodzi im naprzeciw i przedstawia odpowiedzi na wiele z nich. Także tych najbardziej kłopotliwych.

Czytelnik dowie się przede wszystkim, jak w ogóle doszło do tego, że syn greckokatolickiego księdza powołał do istnienia ruch, który uczynił zbrodnię podstawowym narzędziem walki politycznej. Zobaczy, kim była jego rodzina i jak wyglądało środowisko, w którym wzrastał. Pozna jego lektury z dzieciństwa oraz wydarzenia, które zdeterminowały to, kim się stał jako dorosły człowiek.

Koprowski przytacza wiele interesujących szczegółów z życia tej wyjątkowo nikczemnej postaci. Podaje, jak ten zagorzały ukraiński nacjonalista przygotowywał się, zadając sobie fizyczny i psychiczny ból, do



walki z państwem polskim. W ten sposób nastawiał się do ewentualnego aresztowania i przesłuchiwania przez policję. I tak Bandera, przystąpiwszy do Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, sam siebie dręczył. Wbił sobie szpilki pod paznokcie i biczował. Głodził się, wieszając nad łóżkiem kielbasę, torturował się jej zapachem. Swoim kolegom imponował nie tylko aberracyjnym zachowaniem, ale także rozległą wiedzą i sprawnością fizyczną, którą nieustannie rozwijał.

Polska policja rzeczywiście miała wówczas pełne ręce roboty, walcząc z ukraińskimi nacjonalistami, którzy usiłowali terroryzować społeczeństwo głównie Małopolski Wschodniej. 15 czerwca 1934 roku przed budynkiem Klubu Towarzyskiego przy ulicy Foksał w Warszawie został zastrzelony minister spraw wewnętrznych Bronisław Pieracki. Jednym z organizatorów tej zbrodni był sam Bandera, który wyrokiem sądu w Warszawie został skazany na karę śmierci. Jednak na mocy łaski zamieniono ją na dożywotnie więzienie.

Koprowski ostro krytykuje tę decyzję władz II RP, które jego zdaniem zanadto pobłażliwie obeszły się z terrorystą. Stawia wręcz tezę, że gdyby karę śmierci wówczas wykonano, historia stosunków polsko-ukraińskich mogłaby potoczyć się zupełnie inaczej. Bandera, który zawisłby na szubienicy, nie miałby okazji wykreować swego mitu i stać się patronem zbrodniarzy.

Ponadto Koprowski utrzymuje, iż to właśnie władze polskie uczyniły z Bandery bohatera ukraińskiego nacjonalizmu. Nie tylko darowały życie, ale też „urządziły” mu drugi proces we Lwowie, który dał mu rozgłos.

Będąc przewodnikiem Krajowej Egzekutywy OUN, Stepan Bandera podejmował rozmaite działania, by poderwać Wołyń do antypolskiego czynu. Tuż przed aresztowaniem chciał organizować na Wołyniu tzw. zielone oddziały złożone z członków OUN zmuszonych do ukrywania się przed policją. Początkowo ich zadaniem miało być odbijanie z więzień aresztowanych towarzyszy, z których dalej miały powstawać „zielone kadry” – pierwowzór przyszłego UPA.

Postać Bandery jest zatem nierozłącznie związana z tragedią Polaków na Kresach Wschodnich i zawsze będzie się kojarzyć ze zbrodniami dokonanymi na tamtejszej ludności. Samo stwierdzenie, że nie ponosi on od-



Klatka schodowa, gdzie Bandera został zatruty z pistoletu gazowego przez agenta KGB Bohdana Staszyńskiego (miejsce upadku zaznaczono krzyżykiem) oraz rekonstrukcja użytego pistoletu. Źródło: domena publiczna

powiedzialności za ludobójstwo na Polakach, gdyż w czasie rzezi wołyńskiej przebywał w Sachsenhausen, jawi się w tym kontekście absurdalne. Zresztą warunki, w jakich żył w obozie koncentracyjnym, mogą przywołać na myśl jedynie te, jakie panują w sanatorium. Jak więc pisze Koprowski, nawet jeśli Bandera nie wydał bezpośredniego rozkazu, to przygotował podatny grunt pod ostateczne rozwiązanie kwestii polskiej, zarówno na Wołyniu, jak i w Małopolsce Wschodniej.

Sięgając po książkę Marka A. Koprowskiego, można w przystępny sposób zapoznać się ze złożonymi niuansami stosunków polsko-ukraińskich, na których Stepan Bandera swym budzącym odrazę życiorysem wywarł tak ogromne piętno. Oprócz działalności terrorystycznej autor dotyka tutaj również kwestii współpracy z Niemcami. Mówi o absurdalnych planach, jakie snuł Bandera w kwestii utworzenia niepodległej Ukrainy, a także o rozłamie, jakiego ostatecznie dokonał w OUN. W konsekwencji doprowadziło to do wewnętrznej wojny w tej organizacji i powstania słynnej frakcji OUN-B, nazywanej od jego nazwiska „banderowcami”.

Przechodząc od zaangażowania w mordowanie Polaków i Żydów, Koprowski przedstawia również ciekawe powojenne losy Bandery, który nie ustawał w swoich mrzonkach, podejmując współpracę z angielskim i amerykańskim wywiadem.

Bandera został zlikwidowany przez KGB. Śmierć spotkała go na klatce schodowej w Monachium.

Michał Piekarski

O książce Normana Daviesa z perspektywy dziejów Lwowa i kultury muzycznej Galicji

Bylem bardzo ciekaw, jak Norman Davies, historyk brytyjski, podejdzie do znanego nam przecież zagadnienia historii Galicji. Davies narrację na temat Galicji prowadzi w szerszych ramach czasowych, obejmujących lata 1772–1945, co tłumaczy tym, że dopiero w wyniku II wojny światowej została unicestwiona jako spójny byt społeczny i kulturowy. Dla Daviesa historia społeczna jest główną osią narracji. Ciekawe są niektóre ujęcia znanych zagadnień, na przykład kiedy autor znany nam termin „autonomia galicyjska” stosuje pod pojęciem „ograniczonej autonomii” lub też „połowicznej autonomii” (s. 305, 311).

Autor pisze o kształtowaniu się specyficznej galicyjskiej tożsamości, odróżniającej (zresztą do dziś) Polaków, którzy mieli przodków pochodzących z innych dawnych zaborów. Porusza zarówno kwestie identyfikacji galicyjskich Polaków, jak i Ukraińców oraz Żydów – od w pełni ortodoksyjnych po w pełni zasymilowanych z narodem polskim. Davies pisze np. że w latach 20. XX w. co czwarty grekokatolik i co trzeci Żyd identyfikował się jako Polak (s. 553). Omawia też kwestię nielicznej w Galicji ludności niemieckojęzycznej (wskazując np., że galicyjski niemiecki wykazywał wpływy słowiańskie, s. 124). Ponadto wśród ludności ukraińskiej w XIX w. wskazał na różne odmiany identyfikacji – od przyjmujących „ukraińską” tożsamość, poprzez tych, którzy trzymali się starszej idei „ruskości”, po „moskalofili” twierdzących, że są Rosjanami (s. 286).

Już w trakcie czytania książki niejednokrotnie odnosiłem wrażenie, że Davies robił co tylko mógł, żeby jego praca na temat Galicji w równym stopniu obejmowała stołeczny Lwów czy Kraków, jak i szereg średnich oraz małych miast i miasteczek. Niemało miejsca poświęcił też opisowi życia na galicyjskiej wsi, podejmując też temat panujących tam

warunków życia. Czasami próbuje stosować porównania, które nieraz budzą sprzeciw, na przykład gdy autor równorzędnie traktuje Kraków i Czerniowce (jako drugie po Lwowie miasto Galicji), nie zwracając uwagi na całkowicie inną rangę, znaczenie oraz wielkość obydwu miast (s. 275). Omawiając średniej wielkości miasta, pisze o Tarnowie, Rzeszowie, Brodach, Tarnopolu, Stanisławowie – które błędnie określa „trzecim miastem Galicji” (s. 332–333), niemal całkowicie pomijając Przemyśl, który od lat 90. XIX do 1918 r. był właśnie trzecim co do wielkości miastem Galicji. O Przemyślu wspomina prawie wyłącznie w kontekście austriackiej twierdzy (s. 428). Więcej miejsca niż Przemyślowi poświęca za to takim ośrodkom, jak Brody, Zbaraż czy Krakowiec. Zdumienie i sprzeciw budzi zwłaszcza koncentracja na Krakowcu, który zdaniem Daviesa stanowił „reprezentatywne galicyjskie miasteczko”.

Dla czytelnika zaznajomionego z dziejami Lwowa od razu czytelne się stanie, że Davies nie dokonał wnikliwej lektury na temat tego miasta. Do znalezionych przeze mnie błędów faktograficznych należą następujące: 1) Teatr Skarbkowski we Lwowie otwarto w 1842 r. (a nie w 1848 r. – jak podaje na s. 224); 2) Teatr Miejski we Lwowie otwarto w 1900 r. (a nie w 1895 r. – s. 329) – była to ważna kwestia w konkurencji między Lwowem i Krakowem (w którym Teatr Słowackiego otwarto w 1895 r. – pięć lat wcześniej niż w stołecznym Lwowie), 3) filharmonię we Lwowie otwarto w 1902 r. (a nie w 1907 r.) – tu autor nie zauważył, że bardzo ważną instytucją dla Lwowa (o wiele starszą od filharmonii) było Galicyjskie Towarzystwo Muzyczne (którego początki sięgały 1838 r.) i Konserwatorium (założone w 1853 r.) z nowym gmachem otwartym w 1906 r. (i salą koncertową z 1910 r.) – zdaje się zresztą, że pomylił obie instytucje; 4) poświęcenie kościoła św. Elżbiety miało miejsce w 1911 r. (a nie w 1903, bowiem dopiero w 1905 r. położono kamień węgielny) – nie wiadomo też dlaczego autor uważa, że był to kościół „podmiejski”, skoro znajduje się bliżej śródmieścia niż np. dworzec kolejowy. Ponadto zdarzają się błędy w pisowni (we Lwowie był plac Smolki, nie Smółki, ulica Rutowskiego, nie Rutkowskiego itp.). Autor nieprecyzyjnie opanował też topografię Lwowa (o „przedmiejskim” kościele św. Elżbiety już pisałem), będąc zdania, że

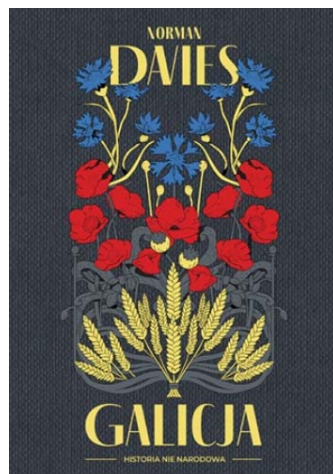
podczas okupacji niemieckiej „obok miejskiego rynku budowano getto” (s. 657), które przecież znajdowało się ponad kilometr od Rynku. Należy też zwrócić uwagę, że majątek Potockich w Tulczynie nie leżał nigdy w Galicji (s. 72), a na dalekim Podolu, znajdując się pod władzą rosyjską, a nie austriacką.

Podczas lektury książki widoczna jest też nieznamość autora w zakresie wiedzy o kulturze dawnej Galicji, zwłaszcza w zakresie muzyki. Davies nie wspomina ani razu o bogatych tradycjach muzycznych Lwowa, nie dowiemy się chociażby o znanych kompozytorach i dyrektorach Galicyjskiego Towarzystwa Muzycznego (GTM) we Lwowie, jak Karol Mikuli (uczeń Fryderyka Chopina), Mieczysław Sołtys czy kierujący już Polskim Towarzystwem Muzycznym Adam Sołtys. Brak jakiegokolwiek wzmianki o GTM jest tym bardziej dotkliwy, że właśnie na tym przykładzie można doskonale pokazać, jak instytucja z nazwy „galicyjska” (der Galizische Musikverein) zamiast pierwotnej roli germanizacyjnej już od połowy XIX w. stała się instytucją polską (i w tym języku prowadziła też dokumentację). W książce Daviesa nie przeczytamy też o znanym we Lwowie w latach 30. XX w. awangardowym kompozytorze żydowskiego pochodzenia, jakim był pochodzący z galicyjskiego Stryja Józef Koffler, który w Przemysłu redagował jedno z najciekawszych czasopism muzycznych II RP. Nie poznamy też kompozytorów ukraińskich, jak np. Stanisław Ludkiewicz czy Wasył Barwiński. W związku z tym powstaje przeświadczenie, jakby jedynym kompozytorem działającym we Lwowie był... Franz Xaver Wolfgang Mozart (autor nawet nie wspominał o jego współpracy z Karolem Lipińskim). Podobne rażące braki można zauważyć, gdy jest mowa o kulturze muzycznej Krakowa, bowiem choć wspomniana jest pedagog fortepianu Klara Czop-Umlaufowa (s. 336), która prowadziła własny instytut muzyczny, za to nie dowiemy się już wcale np. o Władysławie Żeleńskim, wieloletnim dyrektorze Konserwatorium Towarzystwa Muzycznego w Krakowie, głównej uczelni muzycznej w mieście (o której Davies nie wspomina). Pisząc o Młodej Polsce w muzyce wymienia Davies jedynie Mieczysława Karłowicza (s. 356), nic nie pisząc o Karolu Szymanowskim (w 1911 r. na konkursie kompozytorskim we Lwowie zdobył I nagrodę) czy Ludomirze Różyckim, o którym wspomnieć

należało, zwłaszcza że jako jedyny reprezentant Młodej Polski w muzyce mieszkał we Lwowie na stałe (1908–1912), stając się jednym z najważniejszych kompozytorów działających w tym mieście przed 1914 r. Zupełnie bez pokrycia jest zdanie Daviesa na temat Salomei Kruszelnickiej, która „osiągnęła jeszcze większy sukces sceniczny” niż Helena Modrzejewska (s. 530). Autor

w żaden sposób nie udowodnił tej hipotezy (trudne zresztą są do porównania sukcesy aktorki Modrzejewskiej i śpiewaczki Kruszelnickiej, pracujących zawodowo na różnych kontynentach). Brak przy tym wzmianki np. o Marcelinie Sembrich-Kochańskiej, Janinie Korolewicz-Waydowej czy Adamie Didurze, a byli to wykształceni we Lwowie śpiewacy o światowej sławie, nieraz większej niż Kruszelnicka. Autor nie podaje też przypisu na potwierdzenie tego, że podobno w 1939 r. „sensacją miesiąca” miał być powrót Kruszelnickiej do Lwowa (s. 606). Wielka szkoda, że tak doświadczony i zasłużony historyk swojej pracy o Galicji pod tym względem nie potraktował bardziej interdyscyplinarnie, sięgając po dostępną przecież literaturę na temat życia muzycznego Galicji i II RP, w związku z czym czynił (nieudane) próby uchwycenia pojedynczych zjawisk z tego zakresu.

Gdy mowa o czasach II Rzeczypospolitej, autor nie sprawdził, że Lwów stanowił trzecie (a nie drugie) co do wielkości miasto polskie – po Warszawie i Łodzi (s. 560). Owszem, Lwów był drugim po Warszawie miastem co do swej rangi akademickiej i kulturalnej oraz skupiskiem polskiej inteligencji, ale o tym już nie przeczytamy. Zdaniem Daviesa po 1918 r. we Lwowie „zniknęła warstwa austriackich urzędników” (s. 560), co wprowadza czytelnika w błąd. Choć we Lwowie do 1918 r.



Norman Davies, *Galicja. Historia nie narodowa*, przekład Bartłomiej Pietrzyk, Znak Horyzont, Kraków 2023, ss. 848, ilustracje, mapy

pracowali liczni urzędnicy podlegający władzy w Wiedniu, ale od czasów autonomii galicyjskiej urzędy w Galicji były polskie, w których większość stanowisk obejmowali Polacy. To właśnie z Galicji po 1918 r. rekrutowała się znaczna część kadry urzędniczej Warszawy i innych miast, o czym Davies jednak nie wspomina.

Pisząc o II Rzeczypospolitej (s. 593) autor nie wspomina o osiągnięciach kobiet. W związku z tym w książce Daviesa ani razu nie przeczytamy np. na temat Karoliny Lanckorońskiej (która jako pierwsza kobieta uzyskała habilitację na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie w 1934 r.), Łucji Charewiczowej (habilitacja na UJK w 1937 r.) czy też Bronisławy Wójcik-Keuprulian (pierwsza w świecie habilitacja kobiety z muzykologii, która miała miejsce na UJ w 1934 r.)¹.

Przeróżne nieścisłości można zresztą odnaleźć nie tylko w opisach miasta Lwowa. W ustępie poświęconym galicyjskim uzdrowiskom wspomina Krynicę i Kosów, nie wymieniając nawet Truskawca (s. 340). Autor nie słyszał też, że Lwów leży na tzw. wielkim dziale wód (między zlewiskiem Morza Bałtyckiego i Morza Czarnego), określając Spisz i Orawę „jedyną częścią byłej Galicji leżącą w zlewisku Morza Czarnego” (s. 597). Piszę też o „galicyjskim pluralizmie religijnym” (s. 314), za przykład podając to, że rzekomo Wielkanoc w obrządku rzymskokatolickim następowała „14 dni przed bizantyńską”, co w większości przypadków nie jest prawdą, bowiem Wielkanoc – jako święto ruchome – inaczej odliczana jest w kalendarzu gregoriańskim, a inaczej w juliańskim w zależności od danego roku (np. w bieżącym roku Wielkanoc w kościołach wschodnich wypadła dopiero pięć tygodni po Wielkanocy w obrządku rzymskokatolickim). Nieraz zdarza się, że autor sam sobie przeczy (jak w przypadku konieczności ukazywania działalności kobiet). Raz pisze, że w listopadzie 1918 r. „Ukraińcy nie wysuwali roszczeń wobec Galicji Zachodniej” (s. 505), innym razem wskazuje, że mapy „etnicznego terytorium ukraińskiego” sięgały po okolice Krakowa (s. 523). Szkoda, że nie podjął w tym kontekście kwestii, czy np. Przemyśl (który Ukraińcy

próbowali opanować w listopadzie 1918 r.) należy uznać za część tzw. Galicji wschodniej czy zachodniej. Ponadto autor mylnie uważa, że w dawnym Stanisławowie (dziś Iwano-Frankiwsk) nie ma już dziś żadnych polskich pomników (s. 729), nie wiedząc że w centrum miasta stoi przecież pomnik Adama Mickiewicza (podobnie jak we Lwowie, Przemyślu, Krakowie, świadcząc o trwającej do dziś ciągłości w przetrzeniu tych miast).

Bardzo wiele zastrzeżeń zawiera rozdział książki poświęcony okresowi II wojny światowej (*Podzwonne*). Całkowicie niesprawdzona i niepoddana weryfikacji jest podawana przez Daviesa informacja, że w czerwcu 1941 r. sowieci w lwowskich więzieniach „wymordowali głównie Ukraińców” (s. 644–645). Zdaniem autora SS Galizien „nie było przestępcze jak samo SS” i Ukraińcy „zaciągali się wyłącznie po to, by walczyć” (s. 647). Autor nie łączy tego ze swoim własnym zdaniem, w którym kilkaset stron wcześniej pisał o tradycji współpracy niemiecko-ukraińskiej (s. 627). Zabrakło choćby podstawowych faktów na temat tej współpracy, owoconie rozwijanej w Krakowie w latach 1939–1941.

Po raz kolejny autora bardziej zajmują wątki ukraińskie niż polskie, gdy pisze o Armii Krajowej, której o wiele mniej miejsca poświęca niż Ukraińskiej Powstańczej Armii – choć zgodnie z założeniem Daviesa jego książka o Galicji miała być „historią nienarodową”.

Autor w pracy liczącej 848 stron wyjątkowo zdawkowo pisze o zamordowaniu przez Niemców polskich profesorów lwowskich wyższych uczelni w lipcu 1941 r. Piszę o nich jako „profesorach lwowskich”, omijając fakt, że przecież wszyscy do 1939 r. pracowali na polskich uczelniach. Jak wspominałem, ani razu w książce nie pojawia się Karolina Lanckorońska, której postać należałoby tu przywołać, bowiem jako pierwsza dowiedziała się o zamordowaniu profesorów od samego Hansa Krügera. Piszę o okupacji niemieckiej, autor nie wspomina też, że działał wówczas Opernhaus Lemberg – teatr opery i operetki zgodnie z ustaleniem władz przeznaczony tylko „dla Niemców i Ukraińców”. Davies nie napisał też nic o powołanych przez Niemców kursach weterynaryjnych, które za sprawą kadry stanowiły kontynuację przedwojennej lwowskiej Akademii Medycyny Weterynaryjnej. Nie dowiemy się też o tak ważnej instytucji, jaką był Instytut Badań nad

¹ Recenzja książki Daviesa szerzej uwzględniająca problematykę szkolnictwa ukazuje się w „Kwartalniku Historii Nauki i Techniki” 2024, nr 3.

Tyfusem Plamistym prowadzonym przez prof. Rudolfa Weigla. W książce znalazło się za to niemało miejsca np. na zajmujące kolejne strony wspomnienia członków UPA (s. 679–682, 689–693). Przy braku podstawowych faktów z okresu okupacji tak obszernie cytowanie wspomnień niestety nie dostarcza czytelnikowi jasnego obrazu.

Nie do przyjęcia jest pogląd autora, który akcją „Wisła” lat 1946–1947 określa „mianem dokonanej przez państwo [w domyśle państwo polskiej] czystki etnicznej”, choć przyznaje wcześniej, że odbywała się ona „pod batutą NKWD” (s. 688). Nie zwraca uwagi na to, że po 1945 r. Polska nie była suwerennym krajem, a ponadto akcja „Wisła” nie stanowiła wewnętrznej akcji polskiej, bowiem znaczna część przesiedlonej ludności trafiła do ZSRR (co przecież wymagało wcześniejszych dyrektyw podjętych w Moskwie). Po drugie, pisząc o „czystce etnicznej”, autor sugeruje, że akcja „Wisła” była skierowana na fizyczną likwidację ukraińskich (i łemkowskich) mieszkańców południowej Polski, tymczasem ludność ta została (owszem, w okrutny sposób) przesiedlona do ZSRR lub na nowe ziemie zachodnie Polski, co rok wcześniej spotkało większość ludności polskiej z terenów zagarniętych przez ZSRR.

Autor słusznie stwierdził, że Lwów po 1945 stracił być może nawet 90% przedwojennej ludności (s. 694), jednak w ogóle nie wspomniał o 10–15 tys. Polaków, którzy zdołali po 1946 r. pozostać w swoim rodzinnym mieście. Większe zainteresowanie autora sprawami ukraińskimi zdradza to, że znalazł on miejsce na cytaty o grekokatolikach w powojennym Krakowie (s. 692). Jest to zastanawiające, bo osobiście odwiedził niedawno Lwów, w śródmieściu którego do dziś działają trzy polskie parafie (prowadzące duszpasterstwa dla wiernych polskojęzycznych i osobno dla mniej licznych wiernych ukraińskojęzycznych). Nie wspomniał o tym, że np. lwowska katedra rzymskokatolicka po 1945 r. uchwalała się od zamknięcia właśnie dzięki lwowskim Polakom. Za to niezgodnie z prawdą napisał na temat lwowskich Ormian, że „wystarczająco wielu z nich przetrwało [po 1945] w ukraińskim Lwowie, żeby utrzymać katedrę ormiańską i w 2013 r. świętować 650. rocznicę jej budowy” (s. 757). Po pierwsze lwowska katedra ormiańska przez kolejne dekady w czasach sowieckich i na począt-

ku istnienia Ukrainy pozostawała zamknięta (więc nie zdołano jej „utrzymać”), po drugie niemal wszyscy lwowscy Ormianie byli tak zasymilowani z kulturą polską (identyfikując się właściwie jako Polacy pochodzenia ormiańskiego), że niemal bez wyjątku po zagarnięciu Lwowa przez ZSRR w latach 1945–1946 wyjechali na ziemie zachodnie Polski w granicach jałtańskich (pojedynczy, którzy zostali we Lwowie, zmienili obrządek na rzymskokatolicki). Obecni parafianie lwowskiej katedry ormiańskiej pochodzą z nowej emigracji z terenów dawnego ZSRR (nie jest to zresztą już katedra ormiańskokatolicka, a podległa Apostolskiemu Kościołowi Ormiańskiemu), o czym autor nie pisze, wprowadzając czytelnika w błąd.

Doceniam za to słowa autora, który podkreśla, jak ważna jest dla Polaków pamięć o zmarłych i dbałość o cmentarze. Davies nawet dwukrotnie stwierdził: „zajmują się cmentarzami tak, jak potrafili to robić tylko Polacy” (s. 717 i 726). Nie jest dla mnie jednak zrozumiałe zdanie: „na peryferiach ukraińskiej Hałyczyny [Galicji] można było napotkać nekropolie polskie” (s. 734). Przecież polskie cmentarze do dziś występują w niemal każdej historycznej miejscowości na terytorium całej dawnej Galicji, a największe z nich znajdują się we Lwowie (a więc nie na peryferiach dawnej Galicji). Cmentarz Łyczakowski czy Cmentarz Janowski z historycznego punktu widzenia są polskimi nekropoliami, na których do dziś odbywają się pogrzeby pozostałych we Lwowie przedstawicieli polskich rodzin.

W *Galicji* Normana Daviesa bardzo zajmujące i cenne są spostrzeżenia na temat różnej tożsamości mieszkańców Galicji. Dzięki temu czytelnik dowie się, jak niejednorodną grupą byli np. galicyjscy Żydzi, w niemałym stopniu spolonizowani i to nie tylko we Lwowie. Kwestie tożsamościowe pozostają zresztą najcenniejszym wkładem autora i ich lekturę polecić można każdemu. Jednak ze względu na liczbę nieścisłości oraz często niesprawdzonych i przez to kontrowersyjnych sformułowań znaczne fragmenty książki rekomendowałbym raczej osobom dobrze obeznanym z historią (i topografią) Lwowa oraz z kwestią relacji polsko-ukraińskich w XX w. w związku z koniecznością konfrontacji tez Normana Daviesa z właściwymi źródłami i innymi publikacjami na ten temat, zwłaszcza w odniesieniu do lat II wojny światowej.

• Kuchnia lwowska Jadwigi Sabadasz •



W maju jak w kulinarnym raj. W maju pojawiają się pierwsze, długo oczekiwane wiosenne warzywa i owoce, a dania z nimi to prawdziwe kulinarne rarytasy. A więc delektujmy się ich smakiem!

Kresowe gołąbki z młodej kapusty

Składniki

1 główka kapusty, 1 kg ziemniaków, 300 g kaszy gryczanej, 2–3 cebule, sól, pieprz

Wykonanie

Do surowych, startych ziemniaków dodać surową kaszę, podsmażoną cebulkę pokrojoną w kosteczkę (można też dodać jedną startą cebulę surową). Farsz zawijać luźno w sparzone liście kapusty. Układać w garnku niezbyt ciasno, ponieważ pęcznieją. Zalać gorącym bulionem i piec przykryte liśćmi kapusty w piekarniku przez 1–1,5 godziny w temperaturze 160°C. Do tego sos grzybowy i pychotka!



Wykonanie

Masło przetrzeć z mąką i szczyptą soli, dodać jajko, zimną wodę. Zagnieść ciasto. Zrobić kulkę i odłożyć do lodówki na 30 minut. Umyty, osuszony szpinak pokroić drobno. Cebulę i czosnek pokroić drobnutko i udusić, dodać szpinak, sól, pieprz. Poddusić razem przez parę minut. Bryndzę natrzeć na tarce. Do śmietanki dodać jajka, sól, pieprz, wymieszać razem. Ciasto rozwałkować cieniutko i wyłożyć formę na tartę, rozłożyć szpinak, posypać bryndzą i zalać masą jajeczną. Piec w temperaturze 180°C przez 50 minut.

Sernik z truskawkami

Składniki

Ciasto: 250 g mąki, 160 g zimnego masła, 5 łyżek cukru, 1 jajko, 1 łyżeczka proszku do pieczenia

Masa serowa: 0,8–1 kg sera zmielonego, 1/2 szklanki cukru, 1 łyżka cukru waniliowego, 3 jajka, budyń śmietankowy

Dodatkowo: 400 g truskawek, 2 łyżki mąki ziemniaczanej

Wykonanie

Z podanych składników zmiksować jednolite ciasto i odłożyć do lodówki. Na masę serową również zmiksować wszystkie składniki razem. Połowę ciasta wylepić foremkę lub tortownicę o średnicy 25 cm, wyłożoną papierem do pieczenia. Na ciasto wyłożyć masę serową. Truskawki pokroić na małe kawałki, wymieszać z mąką ziemniaczaną i wyłożyć na masę serową. Całość posypać rozdrobnioną drugą połową ciasta. Piec w 180°C przez 50 minut. Życzę Państwu smacznego!



Tarta ze szpinakiem i bryndzą

Składniki

280 g mąki, 170 g masła, 1 jajko, 2 łyżki zimnej wody, 1/2 płaskiej łyżeczki soli. Nadzienie: cebula, 1–2 ząbki czosnku, 250 g szpinaku, 150 g bryndzy, 400 ml śmietanki 33%, 3 jajka, sól, pieprz, olej



Na I stronie okładki

Fotografia bramy prowadzącej do – widocznego w tle – zamku w Tarnopolu. Brama umieszczona jest pomiędzy dwoma klasycystycznymi kamiennymi słupami, pylonami, w których znajdowały się furtki wejściowe na dziedziniec zamku. Na pylonach znajdowały się wykute herby Potockich i Korytowskich – Ostoja i Mora oraz kule i głowy lwów. Fotografia, zapewne sprzed I wojny światowej, pochodzi ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego.

Wydawca:

Oddział Krakowski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Prezes Zarządu:

Kamil S. Woźniak

Rada Programowa:

Stanisław Czerny – Oddział Krakowski TMLiKPW, dr Karolina Grodziska – Biblioteka PAN i PAU, ks. prof. dr hab. Józef Wołczański – Uniwersytet Papieski Jana Pawła II, Katedra Historii XIX i XX wieku, dr Tadeusz Skoczek – dyrektor Muzeum Niepodległości w Warszawie, Janusz M. Paluch – redaktor naczelny kwartalnika, Kamil S. Woźniak – prezes Zarządu Krakowskiego Oddziału TMLiKPW

Redakcja:

Piotr Boroń, Paweł Brzegowy, Jarosław Krasnodębski (Warszawa), Janusz M. Paluch (redaktor naczelny), Michał Piekarski (Warszawa), Krystyna Stafińska, Anna Stengl, Natalia Tarkowska, Aleksandra Solarewicz (Wrocław), Antoni Wilgusiewicz (Katowice)

Strona internetowa CL: www.cracovia-leopolis.pl

oraz www.facebook.com/Kwartalnik-Cracovia-Leopolis-306168136114769/

Adres redakcji:

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: cracovialeopolis@gmail.com

Informacje o kwartalniku CL: cracovialeopolis@gmail.com, tel. 608 155 693

Konto bankowe Oddziału TMLiKPW w Krakowie:

53 1020 2892 0000 5002 0121 7918

Przygotowanie do druku: FALL, Kraków, tel. 502 022 027, fall@fall.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania srodtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja nie odpowiada za opinie, stwierdzenia i reklamy, które stanowią wyraz poglądów ich autorów.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Spis treści

Antoni Wilgusiewicz PERUKOWIEC PODOLSKI WUJA ZIELIŃSKIEGO	1	Igor Megger 30 LAT „GŁOSÓW PODOLAN”	50
Ewa Laskowska-Kusztal NASZ MISTRZ PROFESOR KAZIMIERZ MICHAŁOWSKI (1901–1981)	5	P o e z j a Mariusz Olbromski WYZNANIE ZE LWOWA	52
Karolina Grodziska TARNOPOLSKIE LATA PROFESORA ADAMA PRZYBOSIA I JEGO MONOGRAFIA TARNOPOLA W ZBIORACH BIBLIOTEKI NAUKOWEJ PAU I PAN W KRAKOWIE	14	Franciszek Haber ODŁAMEK PAMIĘCI	52
Józef Skrabski DOMINIKANIE W TARNOPOLU	18	M u s y c a Leopold Michał Piekarski LWOWSKA FILHARMONIA: ODSŁONIĘCIE TABLICY ORAZ KONCERT POŚWIĘCONY POLSKIM KOMPOZYTOROM	53
Igor Megger „NASZA PANI TARNOPOLSKA” W POZNANIU	26	Tadeusz Chlipalski WOLNOŚĆ KRZYŻAMI SIĘ MIERZY. DZIENNIK PATRIOTYCZNEJ PODRÓŻY	55
Antoni Wilgusiewicz MAJOR CZESŁAW Blicharski – Z TARNOPOLA DO ZABRZA	31	Piotr Świątecki LOTNISKA KRESÓW	60
Karol Chlipalski RZĄDY MOSKIEWSKIE W TARNOPOLU 1809–1815	36	P r o z a Marek A. Koprowski KTO MIECZEM WOJUJE...	64
Karolina Grodziska JANINA REICHERT I JEJ ANIOŁY-RYCERZE W KOŚCIELE MATKI BOSKIEJ NIEUSTAJĄCEJ POMOCY W TARNOPOLU	40	Tomasz Specyał JAK DO TEGO DOSZŁO?...	66
Tomasz Dudek ARMIA KRAJOWA NA TARNOPOLSZCZYŹNIE	44	Michał Piekarski O KSIĄŻCE NORMANA DAVIESA Z PERSPEKTYWY DZIEJÓW LWOWA I KULTURY MUZYCZNEJ GALICJI	68
		KUCHNIA LWOWSKA JADWIGI SABADASZ	72